W NUMERZE: Literatura, sztuka i nauka zaprzyjaźnionego z Łodzią radzieckiego Iwanowa ■ Dyskusja historyków o rozwoju polskiej myśli politycznej: „Jak wybić się na niepodległość" ■ Sejmowe tradycje Piotrkowa ■ Początek cyklu: „Leksykon łódzki" ■ Ballada o dworcu tramwajowym ■ „List polecający" POM w Gorczynie ■ Wielkie katastrofy kolejowe ■ Felietony — Recenzje — Listy ■ Horacy Safrin „Miscellanea"

tygodnik społeczno-kulturalny

Łódź

odgłosy

NR 46 (1092) ROK XXI 12 LISTOPADA 1978 R. CENA 3 ZŁ

Z TAŚMY MAGNETOFONOWEJ

„JAK WYBIĆ SIĘ NA NIEPODLEGŁOŚĆ"

Obchodzona w tym roku 60 rocznica odzyskania niepodległości budzi zainteresowanie historią naszego narodu. Stanowi okazję do nowego spojrzenia na wiele zjawisk i procesów, jakie zachodziły w przeszłości. Nim Polska stała się znów wolna, minęło przeszło 100 lat, ale przez ten trudny i tragiczny okres naszych dziejów Polacy nie wyrzekli się walki o wolność, o wolny byt narodowy. Jak przebiegała ta walka? Jak kształtowała się polska myśl niepodległościowa? Jakie siły o tym decydowały? Oto tematy, które zaproponowaliśmy do dyskusji historykom:

— profesorowi dr habil. Stefanowi BANASIAKOWI
— docent dr Alinie BARSZCZEWSKIEJ
— profesorowi dr habil. Andrzejowi F. GRABSKIEMU.
— docentowi dr Waldemarowi MICHOWICZOWI

Materiały z dyskusji, która odbyła się w redakcji tygodnika „Odgłosy", będziemy publikowali w kolejnych numerach pisma. Dziś publikujemy pierwszą część dyskusji.

A. F. GRABSKI: — Niepodległość jest dziś dla nas wartością trwałą i mamy do niej jasny, sprecyzowany stosunek. Ale przecież zawsze tak nie było. Zatem, kiedy niepodległość stała się wartością spełniającą w Polsce podobną do dzisiejszej funkcję? Jak przebiegał ten proces?

W okresie kryzysu Polski szlacheckiej, kiedy „Polska nierządem stała", nie traktowano niepodległości jako wartości o podstawowym znaczeniu dla dalszego rozwoju narodu. Dopiero w okresie reform zaczęto traktować ją inaczej, ale to już Polski nie uratowało. Ale wtedy właśnie zaczął się proces kształtowania się niepodległości jako trwałej wartości narodu.

W. MICHOWICZ: — Waga tego zagadnienia zaczęła narastać wtedy, kiedy niepodległość została zagrożona. Na przełomie XVIII i XIX wieku usiłowano zachować niepodległość za pomocą reform społecznych i politycznych. Później, kiedy utracono niepodległość, usiłowano — jak to się wówczas mówiło — „wybić się na niepodległość" w różny sposób, w różnych warunkach politycznych.

A. BARSZCZEWSKA: — *Samo pojęcie niepodległości jest też pojęciem historycznym. Do czasu rozbiorów wiązało się ono ze sposobami obrony państwa poprzez unowocześnienie jego urządzeń wewnętrznych. Reformy miały zamożnej szlachcie pozwolić zachować dominującą rolę w uratowanym państwie. Ale wraz z upadkiem Polski pojęcie niepodległości rozszerza się w sensie społecznym. Do głosu dochodzą nowe siły społeczne: średnia i drobna szlachta oraz mieszczaństwo.*

A. F. GRABSKI: — Arystokracja i bogata szlachta w przeważającej mierze nie odczuły upadku Polski. Dla nich było to tylko załamanie. Nie przejęli się tym zbytnio. Szczęsny Potocki powiedział na przykład, że teraz każdy z byłych Polaków musi sobie wybrać ojczyznę. On wybrał — będzie Rosjaninem na zawsze. Szlachta w Poznańskiem korzystała z możliwości brania pruskich kredytów i przepijała je, nie przejmując się zbytnio losem Polski.

A. BARSZCZEWSKA: — *Ale to już czasy trochę późniejsze.*

A. F. GRABSKI: — Nie tak bardzo. Ten proces zaczął się jeszcze przed powstaniem Księstwa Warszawskiego. Na ogół stratę niepodległości właściwie oceniali ci, którzy rozumieli, że u podstaw upadku Polski leżała jej anachroniczna struktura społeczna i polityczna.

A. BARSZCZEWSKA: — *Nie ulega wątpliwości, że po upadku Polski idea niepodległości stała się ideą nadrzędną, integrującą społeczeństwo. Stała się czynnikiem łączącym Polaków, mieszkających w różnych zaborach, a także czynnikiem, który łączył różne warstwy społeczne. Co prawda każda z warstw społecznych inaczej rozumiała niepodległość.*

W okresie wojen napoleońskich sprawa niepodległości Polski została podniesiona do rangi najwyższej. Szukano wtedy sposobów na przekreślenie aktów zaborczych. Nosicielem idei niepodległości stała się wówczas średnia szlachta.

Po upadku Napoleona idea niepodległości staje się popularna wśród drobnej szlachty. Idea niepodległości demokratyzuje się. Jej nosicielem staje się także inteligencja, i tak będzie niemal do końca XIX wieku. Po Powstaniu Listopadowym i Styczniowym idea ta, poprzez szlachtę i inteligencję, będzie przenikała do warstw plebejskich.

A. F. GRABSKI: — Tak. Ale nie zapominajmy, że po Powstaniu Listopadowym myśl niepodległościowa kształtuje się jakby dwutorowo: w kraju i na emigracji. Wielka Emigracja jest jakby tyglem, w którym mieszają się różne poglądy. Nowe idee rodzą się wprawdzie wśród górnych warstw emigracji, ale też szybko obejmują warstwy niższe — gromady ludu polskiego, podoficerów i żołnierzy. W tym tyglu ścierają się z sobą nie tylko poglądy tworzone przez samych emigrantów, ale i poglądy przejmowane przez nich z zachodniej myśli społecznej i politycznej. Wpływa to na przyśpieszenie procesu kształtowania się polskiej myśli niepodległościowej.

W. MICHOWICZ: — Warto pamiętać, że przez cały ten czas dominuje pogląd, iż niepodległość Polski można wywalczyć zbrojnie. To jest motyw, jaki przewija się nieustannie w idei niepodległościowej przez cały XIX wiek i początek XX wieku. Właściwie do Powstania Warszawskiego.

A. BARSZCZEWSKA: — *Ale już Powstanie Styczniowe ujawniło, że idea walki zbrojnej o niepodległość bez idei reform społecznych nie ma szans powodzenia. Zbrojną walkę o niepodległość akceptowali w zasadzie wszyscy, niezależnie od zaboru i poglądów. Granica podziału przebiegała w inny sposób. Jeśli łączyła walka o niepodległość, to dzielił stosunek do reform społecznych. Na pytanie: jaka ma być ta niepodległa Polska, padały różne odpowiedzi. W pewnym uproszczeniu można te odpowiedzi podzielić na dwie grupy.*

Pierwsze — to były koncepcje szeroko pojętej lewicy demokratycznej. Zakładała ona, że Polska będzie republikańska, że wszystkich będzie obowiązywała równość wobec prawa. Miała to być Polska burżuazyjno-demokratyczna, odrodzona w granicach z 1772 roku. Wszystkie warstwy miały korzystać z urządzeń kulturalnych, oświatowych i gospodarczych w granicach nakreślonych przez ustrój.

A. F. GRABSKI: — Granice historyczne z 1772 roku to oni wszyscy akceptowali.

A. BARSZCZEWSKA: — *Niezupełnie. Właśnie wśród koncepcji należących do drugiej grupy, a były to koncepcje arystokratycz-*

Dalszy ciąg na str. 3

KONTROLA SPOŁECZNA

Kontrola społeczna to bardzo ważny instrument doskonalenia zarządzania oraz gwarancji przestrzegania w codziennej działalności organów państwa zasad równości i sprawiedliwości. Dlatego tak mocno rozwinięta jest w krajach socjalistycznych, gdzie na pierwszym miejscu stawia się człowieka i zaspokajanie jego potrzeb. Problem jej umacniania nabrał szczególnego znaczenia po II Krajowej Konferencji PZPR. Sprawa ta znalazła także odbicie w deklaracji wyborczej FJN.

Podkreślono, że kontrola społeczna ma zasadnicze znaczenie dla podnoszenia efektywności gospodarowania, walki z marnotrawstwem oraz dla umacniania dyscypliny. Jest jedną z podstawowych form udziału mas w rządzeniu, przynosi duże efekty wychowawcze, umacnia współodpowiedzialność obywatelską oraz kształtuje klimat zaangażowania w sprawy publiczne. Stanowi niezbędne uzupełnienie kontroli zawodowej, pomagając w eliminowaniu braków w działalności aparatu państwowego. Odmienne podejście do badania prawidłowego funkcjonowania jednostek administracyjnych czy gospodarczych ma tu istotne znaczenie. Siła kontroli społecznej polega na tym, że reprezentuje ona interesy wszystkich mieszkańców i jest szczególnie wyczulona na wszelkie przejawy niewłaściwego postępowania. Szybka i zdecydowana reakcja w takich przypadkach ma duży rezonans.

Uczestnictwo w kontroli społecznej i zgłaszanie wniosków należy do podstawowych praw obywateli PRL, zagwarantowanych w artykule 86 naszej Konstytucji. W ten sposób realizowana jest zasada ludowładztwa, podkreślająca właściwą socjalizmowi służebną rolę aparatu państwowego wobec społeczeństwa. Korzysta ona także szeroko z instytucji skarg, możliwości zgłaszania postulatów oraz uczestniczenia w konsultacjach czy dyskusjach nad węzłowymi problemami kraju, regionu, miasta, gminy.

Kontrola społeczna organizowana jest przez związki zawodowe, samorządy: mieszkańców i robotniczy, spółdzielczość: mieszkaniową, spożywców, wiejską, wreszcie rady narodowe. Wojewódzki Zespół Koordynacji Kontroli Społecznej przy Łódzkiej Radzie Związków Zawodowych koordynuje działalność 1.550 kontrolerów społecznych, pracowników 195 zakładów oraz 29 rad zakładowych upoważnionych przez ŁRZZ do prowadzenia samodzielnych kontroli. Tylko w ubiegłym roku w placówkach handlu detalicznego, usługowych i gastronomicznych przeprowadzono ich 4.689. W efekcie skierowano do Wydziału Handlu i Usług Urzędu Miasta Łodzi 1.639 wniosków organizacyjno - usprawniających, do Wydziału Finansowego 93 wnioski, do Państwowej Inspekcji Handlowej 24, a do Kolegium d/s Wykroczeń 21. Kontrolerzy powoływani przez związki zawodowe upoważnieni są także do badania prawidłowości oznaczeń cen na artykułach wystawianych do sprzedaży, zgodności pobieranych cen z obowiązującymi, prawidłowości stosowanych miar i wag. Stwierdzono 12 przypadków zawyżania cen na usługi w punktach prywatnych. Tyle zdołano ujawnić. Ponieważ podobne tendencje nie należą do rzadkości, ten typ kontroli należy nasilić. Nie można dopuszczać, by kosztem społeczeństwa różnego typu cwaniacy uzyskiwali korzyści.

Związki zawodowe sprawują też kontrolę nad realizacją zadań przemysłowej służby zdrowia. Na początku tego roku wizytowano 12 przychodni rejonowych i 2 specjalistyczne. Stwierdzono przypadki naruszenia dyscypliny pracy personelu lekarskiego i pielęgniarskiego, a także braki w obsadzie kadrowej, trudne warunki lokalowe, kłopoty w transporcie. W sumie kontrola związkowa przyczynia się do ujawniania występujących niedociągnięć i zaniedbań, wykrywania przestępstw popełnianych na szkodę nabywców, konsumentów, czy korzystających z usług, oddziałuje na prawidłowe wykonywanie obowiązków przez personel kontrolowanych jednostek a jednocześnie wpływa na zabezpieczenie mu właściwych warunków pracy.

Bardzo szeroki zakres i oddźwięk ma kontrola samorządu mieszkańców. Obejmuje ona wszystkie instytucje i przedsiębiorstwa, których działalność wpływa na warunki życia mieszkańców miast i wsi, a więc placówki handlowe i usługowe, administracje domów mieszkalnych, służbę zdrowia, placówki kulturalno-oświatowe, Samorządy zajmują się też porządkiem i bezpieczeństwem, stanem sanitarno-epidemiologicznym i przeciwpożarowym terenu, badają sposób wykorzystania terenów sportowo-rekreacyjnych. Tam, gdzie nie zabrakło aktywistów z prawdziwego zdarzenia, także efekty są widoczne.

W ogólnopolskim finale konkursu „Samorząd w służbie mieszkańców' znalazł się jako jedyny z Łodzi Komitet Osiedlowy nr 11 „Bawełna" na Górnej. Do sukcesu przyczyniła się doskonała współpraca z Oddziałem Górna WSS „Społem" oraz RSM „Bawełna". Duże osiągnięcia mają do zanotowania i inne komitety tej dzielnicy: nr 4 „Czerwony Rynek", nr 6 „Dworzec Chojny", nr 14 „Kurczaki", nr 23 „Kurak", nr 28 „Nowe Rokicie", nr 3 „Siedlecka-Poznańska". Do wyróżniających się należy Komitet Obwodowy nr 23 na Śródmieściu, przeprowadzający częste kontrole z widocznymi rezultatami. Wiele podobnych można znaleźć i w innych dzielnicach oraz miastach naszego województwa.

Od 20 lat obowiązuje już ustawa o samorządzie robotniczym, która nadała załogom prawo kontroli i nadzoru nad całokształtem działalności przedsiębiorstwa. Najczęściej spotykana forma to rozliczanie na naradach z realizacji poprzednio przyjętych ustaleń, kontrolowanie wykonania uchwał KSR, umacnianie dyscypliny pracy. Zbyt rzadko jednak spotyka się korzystanie z uprawnień w zakresie nadzoru nad działalnością gospodarczą i finansową zakładu ze szczególnym zwróceniem uwagi na fundusz płac, nagrody, premie, czy prace zlecone. Duże szanse na poprawę sytuacji w tym zakresie rysują się w związku z wytycznymi Biura Politycznego KC PZPR dotyczącymi kierunków rozwoju samorządu robotniczego.

Duży zasięg ma kontrola społeczna w spółdzielczości. Najszerzej realizowana jest w WSS „Społem" poprzez komitety członkowskie, rady oddziałów i radę spółdzielni. Najliczniejsze i najważniejsze ogniwo stanowią komitety członkowskie, nadzorujące działalność placówek handlowych i gastronomicznych. Czuwają nie tylko nad ich pracą, lecz interesują się także stanem zaopatrzenia, poziomem obsługi konsumentów. Realizacji funkcji kontrolnych służą dyżury, posiedzenia i kontrole. W wyniku tego zgłoszono w 1977 r. 3.418 wniosków dotyczących zaopatrzenia, modernizacji i zmian godzin otwarcia placówek handlowych, poprawy wyposażenia, stanu zatrudnienia.

Na terenie wiejskim społeczną kontrolę działalności placówek podległych WZSR „Samopomoc Chłopska" zajmują się rady nadzorcze, komitety członkowskie oraz komitety dostawców. Kontroluje się m. in. sprawność i rzetelność obsługi dostawców — producentów w punktach skupu i nabywców artykułów do produkcji rolnej, przestrzeganie cen na towary i usługi, zasad gospodarności oraz ładu i porządku, zabezpieczenie przeciwpożarowe i ochronę majątku spółdzielni. Niewielki zasięg i skromne efekty ma kontrola społeczna przeprowadzona przez organy samorządowe Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych, Spółdzielni Kółek Rolniczych oraz przez aktyw związków branżowych producentów rolnych.

Bardzo ważne zadania stoją w spółdzielczości mieszkaniowej przed radami spółdzielni oraz radami osiedli. Te ostatnie kontrolują działalność administracji, opiniują pracę gospodarzy domów, przeprowadzają analizy wykonania planów pracy administracji i planów finansowych, wizytują placówki kulturalno - wychowawcze i wnioskują o dalszych kierunkach ich pracy. 22 rady osiedli uzyskały jednocześnie uprawnienia komitetów osiedlowych co w znacznej mierze rozszerzyło ich uprawnienia kontrolne w stosunku do agend różnych organizacji i instytucji działających w osiedlu i na rzecz jego mieszkańców. Niezwykle istotna jest szczególnie działalnćść Społecznych Komisji Mieszkaniowych, opiniujących wnioski w sprawie przyśpieszenia przydziału mieszkania. Rozpatrzono ich w ubiegłym roku 6.347.

Zasadniczym ogniwem kontroli społecznej są rady narodowe stopnia wojewódzkiego i podstawowego oraz ich komisje. Kierują one całokształtem rozwoju społeczno-gospodarczego terenu. W okresie VI kadencji przeprowadziły 6.702 kontrole formułując 2.472 wnioski. Dotyczyły one tak ważnych dla życia województwa dziedzin, jak: gospodarka komunalna, komunikacja, łączność, opieka zdrowotna, oświata, kultura fizyczna. Kontrole często prowadzone są wspólnie z samorządami mieszkańców, co daje lepsze efekty.

Ogólnie można stwierdzić, że system kontroli społecznej w naszym województwie ma szeroki zasięg, jednak nie obejmuje wszystkich dziedzin, w których jest potrzebny. Nie wykorzystywane są także uprawnienia, szczególnie w zakresie egzekwowania odpowiedzialności za stwierdzone zaniedbania i nieprawidłowości. Brak też wystąpień z wnioskami o wyciągnięcie konsekwencji wobec osób winnych. Niejednokrotnie działalność kontrolna samorządów ogranicza się do spraw drobnych, jednostkowych, rzadko natomiast zajmują one stanowisko w zasadniczych dla nadzorowanych czy kontrolowanych organów sprawach. Stąd chyba rodzą się w niektórych ogniwach administracji państwowej i gospodarczej tendencje do niedoceniania kontroli społecznej.

Wiadomo, że nie jest ona celem samym w sobie, lecz środkiem do uzyskania wyraźnej poprawy. Wtedy przynosi rzeczywiście pożądane efekty. Z tą nadzieją powołano więc ostatnio komitety kontroli społecznej. Nie chodziło tu o stworzenie jeszcze jednego organizmu dublującego już istniejące, lecz o zapewnienie właściwej realizacji wniosków pokontrolnych. KKS związane są ściśle z radami narodowymi, mając zgodnie z ustawą służyć im pomocą. W ich skład weszli doświadczeni działacze, przedstawiciele głównych sił społeczno-politycznych danego terenu, winny więc cieszyć się dużym autorytetem.

Powołując komitety czynimy kolejny krok w pogłębianiu demokracji socjalistycznej w naszym kraju, dążąc do dalszej eliminacji niekorzystnych zjawisk.

ADAM NONAS

MISCELLANEA

Na kilka miesięcy przed wybuchem pierwszej rzezi światowej byłem już w gmachu pojezuickim naszego gimnazjum dość znaczną personą. Popularność moja nie opierała się bynajmniej na walorach fizycznych lub umysłowych, uchodziłem jednak za rekordzistę w pisaniu zadań szkolnych. Bywali koledzy, którzy w takich wypadkach polegali na mnie jak na Zawiszy.

W tym czasie odbywały się prace kontrolne z języka ojczystego, a nasz polonista podyktował nam temat: „Opisy przyrody w pierwszej księdze „Pana Tadeusza". Przebiegłem w pamięci całą tę księgę, no i znalazłem jeden jedyny, dość skąpy opis zachodu słońca. Bujna młodzieńcza wyobraźnia pozwoliła mi poszerzyć ten mało słowny obraz, skończywszy jednak „wypracowanie" nie mogłem powstrzymać się od uwagi: „Więcej opisów przyrody, niestety, nie znalazłem". Pedagog ocenił mój wysiłek na piątkę, ale uszczypliwy docinek pod adresem wychowawcy znalazł swój wyraz w obniżeniu stopnia z tak zwanych „obyczajów'.

Cóż by jednak powiedział nasz nieśmiertelny Wieszcz, gdybym — w związku z „Panem Tadeuszem" — zarzucił i Jemu mimowiedny faux pas, który zakradł się do szczytów poezji polskiej, do jakich zalicza się niewątpliwie „koncert nad koncertami" Jankiela. Ten niezrównany cymbalista wyczarowujący na swoim instrumencie niedaleką przeszłość rozszarpywanego przez najeźdźców kraju, w pewnym momencie pozwala sobie na niedwuznaczną aluzję do zdradliwych poczynań Targowicy, paraliżującej realizację Konstytucji Trzeciego Maja. A robi to, jak wiadomo, poprzez fałszywy akord, przejmujący „wszystkich dreszczem". po czym Klucznik, zakrywając oblicze, nazywa rzecz po imieniu. Całe szczęście, że znamienny ten epizod był jedynie wymysłem autora naszej najznakomitszej epopeji — w przeciwnym razie byłby to niesłychany afront i rękawiczka rzucona w twarz Twórcy Legionów. Albowiem Jan Henryk Dąbrowski, który wszedł na wieki do naszego hymnu narodowego, był sam Targowiczaninem i członkiem generalskiego Sądu, który po Insurekcji z 1794 roku wykluczył Tadeusza Kościuszkę z szeregów armii polskiej.

* * *

Ale — przyznajemy z ręką na sercu — jakże trudno ustrzec się czasami od mimowolnych poślizgów językowych!

Si parva cum magnis componere licet, to na początku lat pięćdziesiątych odbył się w stolicy Drugi Kongres Satyry. Ulokowano nas, uczestników tej ogólnopolskiej imprezy, w Hotelu Sejmowym.

Wczesnym rankiem odwiedziłem tamtejszą fryzjernię i natknąłem się na posła ludowego. Ten trybun mas chłopskich z miejsca mnie zagadnął:

—To pan jest jeden z tych, jak tam ich zwać, satyryków?

— A jakże... — odpowiedziałem bez cienia dumy.

— Bo wie pan, nie starczy mi czasu na czytanie wszystkich gazet. Ale mój syn, licealista, stale mnie upomina: „Tatusiu! Powinieneś obowiązkowo co tydzień czytać „Szpilki". To bardzo p o w a ż n e pismo... '

A jeśli już mowa o owym Kongresie, który jeszcze nie potrafił przeciwstawić się wszechwładnemu schematyzmowi, to wsławił się na nim nasz nieodżałowany, świetny karykaturzysta, łodzianin Kazimierz Grus. Podjąwszy w gotówce koszty podróży i diety, zdążył je już przepuścić w przedwieczerz pierwszego dnia obrad. Zarządziliśmy zatem zbiórkę pieniędzy na rzecz znakomitego kolegi, który je nazajutrz wydał do ostatniego grosika.

A że w prezydium Kongresu zasiadał obok przewodniczącego Edmunda Osmańczyka ówczesny pierwszy wicepremier, nasz spłukany ze środków do życia i biletu powrotnego karykaturzysta wpadł na niebywały pomysł.

Podczas przerwy, gdy wicepremier udał się do kuluarów na papierosa, Grus zaszedł mu drogę i w pozycji „na baczność" zarecytował:

— Panie premierze! Artysta-grafik i karykaturzysta Kazimierz Grus ma zaszczyt prosić o pożyczkę dwustu złotych do pierwszego. Dalibóg, że oddam!

Dygnitarz sięgnął po portfel, aliści przedstawiciel Wydziału Kultury odciągnął go na bok.

A my byliśmy zgodni co do jednego: Mąż stanu zaprzepaścił okazję przejścia do nieśmiertelności, bo gdyby faktycznie otrzymał z powrotem swoje pieniądze, byłby jedynym człowiekiem na świecie, któremu Kazio zwrócił w terminie zaciągnięty dług...

Ilekroć wspominam zaś Kazia, ożywają w mojej pamięci ozdobione karykaturami Sichulskiego i Grusa ściany lwowskiej knajpy Atlasa, gdzie siedziało się na beczułkach i spożywało dary Boże, suto zakrapiane alkoholem. A choć ten lwowski „Zielony balonik" odwiedzały znakomitości literackie, jak „baca" Jan Kasprowicz i Leopold Staff, prym w tym lokalu wodził nieodłączny kumpel Grusa, Henryk Zbierzchowski, pogrobowiec Młodej Polski, komediopisarz („Małżeństwo Loli"), prozaik i poeta, znany najbardziej ze swych żartobliwych wierszyków, drukowanych pod pseudonimem „Nemo'. Spod jego to pióra wyszedł wierszyk parodiujący motto Dantejskiego Piekła i zaklęcia z II części „Dziadów", a stanowiący credo bywalców tej sławetnej knajpy:

Rzućcie nadzieję, wy, co tu wchodzicie,
Że obla trzeźwość będzie wam udziałem!
Wżdy nawet troska, smęt i szare życie
W owej piwnicy pija gardłem całem.
Pijmy ochoczo, miło, bez nakazu,
Jak pradziadowie pijali przed wiekiem,
Bo kto nie zaznał pijaństwa ni razu,
Ten nie jest godny, by się zwać człowiekiem!

HORACY SAFRIN

LISTY DO REDAKCJI

DWOREK KONOPNICKIEJ

Szanowny Panie Redaktorze.

Od jakiegoś czasu dowiaduję się z przeglądów bieżących wydarzeń kulturalnych w pismach wychodzących w Łodzi (m. in w „Odgłosach") i poza Łodzią (ostatnio w „Życiu Literackim" nr 48/1391), że w dawnym dworku Marii Konopnickiej w Bronowie ma powstać w wyniku starań miejscowych działaczy kącik muzealny poświęcony pamięci wielkiej poetki i „sile fatalnej" jej twórczości. Dowiaduję się również o inicjatywie harcerzy z pobliskich Poddębic, którzy postanowili objąć patronat nad dworkiem.

Wiadomość tę, skądinąd bardzo optymistyczną i mogącą tylko cieszyć, przyjąłem z uczuciami mieszanymi (poza radością dominowało zdziwienie i niepokój).

Otóż w roku 1960, kiedy obchodzono w Polsce uroczyście pięćdziesięciolecie śmierci Autorki „Roty", właśnie z inicjatywy miejscowych działaczy (prof. Sławińska) przy poparciu Zarządu Głównego i Łódzkiego Towarzystwa im. Marii Konopnickiej, dworek został odnowiony, na jego frontonie odsłonięto odnośną tablicę i uroczyście otwarto w dworku właśnie kącik muzealny. Odbyła się wtedy w upalny letni dzień uroczysta akademia na świeżym powietrzu przed historycznym dworkiem z udziałem rodziny Poetki, najwyższych władz politycznych i administracyjnych b. województwa i powiatu, kuratorium szkolnego, Zarządu Głównego Towarzystwa, reprezentowanego m. in. przez prezesa wicemarszałka Stanisława Szwalbego i prezesa Oddziału Łódzkiego prof. dra Bieżanka i sporego grona literatów, w imieniu których miałem zaszczyt przemawiać. W kąciku muzealnym znalazły się, jak pamiętam, odnalezione przez prof. Sławińską akta metrykalne rodziny poetki, trochę sprzętów i bibelotów związanych z domem Konopnickich, stary zegar, szereg pierwszych wydań książek poetki, m. in. unikalne dziś „Jak się dzieci w Bronowie bawiły" oraz II tom poezji z dedykacją Autorki dla mego ojca (jedna z moich największych pamiątek rodzinnych). Wkrótce potem zbiory zostały powiększone o dary amerykańskiego Towarzystwa im. Marii Konopnickiej, któremu przewodziła prezes Jagodzińska. Polki z Chicago ofiarowały kącikowi portret Konopnickiej pędzla wybitnego malarza Feliksa Paszkowskiego.

Podczas wspomnianej uroczystości, na którą napłynęły depesze z całej Polski, m. in. od wicepremiera Ignara, ogłoszono, że harcerze poddębiccy obejmują uroczyście i po wieczne czasy patronat nad dworkiem, miejscowe koła PTTK wytyczyło zaś z Poddębic do Bronowa specjalną iluś punktową trasę turystyczną. Wydany został również z okazji uroczystości piękny znaczek okolicznościowy wyobrażający „Kronikarza" Koszałka-Opałka z wielkim gęsim piórem.

Po co o tym wszystkim wspominam? Jest bowiem coś niepokojącego w sformułowaniach komunikatu o planach i dokonaniach obecnego, kolejnego grona entuzjastów. Wynikałoby z enuncjacji, że działają niejako na „całiźnie". A więc, że albo śladu już nie ma po kąciku i dawnym patronacie harcerskim (jeśli po raz drugi zasłużona ta i o długiej metryce organizacja występuje z tą samą inicjatywą, nawet nie formułując jej jako reaktywizację dawniejszych zobowiązań), szlaku turystycznym itp. Albo też nowe pokolenie działaczy i entuzjastów ocenia dokonania swych poprzedników jako zbyt blahe, by zasługiwały na wspomnienie i traktowanie swej pracy jako nową inicjatywę, nie zaś kontynuację.

Obie te ewentualności, mimo, jak powiedziałem, pozytywnej treści samej notatki, są dla mnie jednakowo bodaj przykre.

Jeśli prawdziwą jest druga, nowi działacze powinni się nastawić psychicznie również i na to, że w naszym kraju, w którym tak chętnie i często robi się wszystko od nowa, za kilkanaście lat ktoś młodszy od nich będzie na nowo otwierał powyższą placówkę — także bez wiedzy o tym, że byli jacyś tam poprzednicy.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!

W „Odgłosach" nr 43, w artykule pt. „Pomnik Władysława Reymonta" podaje się, że: „...nie ma — jak dotąd — w Polsce pomnika tego wielkiego pisarza".

Jest to, proszę Szanownego Redaktora, tzw. „rzeczywistość ustalona", przez autora artykułu podpisującego się inicjałami J. W.

Natomiast rzeczywistość obiektywna jest następująca. W Małkowie k. Warty, w parku krajobrazowym, obok pałacu zbudowanego w 1825 roku w stylu klasycystycznym, w którym przebywał Wł. Reymont, znajduje się pomnik pisarza wystawiony w r. 1967 z okazji stulecia urodzin.

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

„JAK WYBIĆ SIĘ NA NIEPODLEGŁOŚĆ"

Dalszy ciąg ze str. 1

no-liberalnej szlachty, dopuszczono możliwość autonomii w ramach cesarstwa rosyjskiego. Mam tu na myśli między innymi program Adama Czartoryskiego, ale nie tylko. Można też mówić o pewnych elementach programu Ksawerego Druckiego-Lubeckiego. I jeszcze o innych. Rozważano też możliwość utworzenia federacyjnego związku słowiańskiego, na czele którego stałaby Rosja, a do którego należałaby Polska.

Ca jednak ważniejsze twórcy tej koncepcji nie wyobrażali sobie rezygnacji z przywilejów szlacheckich w sensie ekonomicznym, społecznym czy kulturalnym. Zakładali wprawdzie konieczność dokonania pewnych reform społecznych, ale takich, które nie naruszałyby ich dominującej roli.

A. F. GRABSKI: — Stali oni w zasadzie na płaszczyźnie Konstytucji 3 Maja.

A. BARSZCZEWSKA: — *Tak, ale już zmodyfikowanej o te wszystkie elementy, które przyniósł ze sobą rozwój cywilizacji.*

A. F. GRABSKI: — Struktury społecznej jednak nie chcieli ruszać.

A. BARSZCZEWSKA: — *Podstawy tej struktury nie chcieli ruszać. Gotowi byli nawet pójść na ustępstwa wobec innych warstw społecznych, ale pod warunkiem wszakże, że nie naruszy to ich przywilejów.*

W. MICHOWICZ: — Adam Czartoryski w swoim rozwoju ideologicznym przeszedł znaczną ewolucję poglądów i odegrał poważną rolę w opracowaniu programu przeciwstawnego programowi lewicy demokratycznej.

A. BARSZCZEWSKA: — *Adam Czartoryski, jako przywódca Hotelu Lambert, miał dwie koncepcje przyszłego terytorium Polski. Jedna — to była Polska w granicach z 1815 roku. A druga — to Polska w granicach z 1772 roku. Tę pierwszą stworzył po to, aby akceptowała ją Anglia, która nie chciała dopuścić do konfliktu z Rosją. Drugą próbował realizować w swojej praktyce politycznej w kraju. Miał na przykład swoich współpracowników na Podolu, w Galicji, na Ukrainie.*

A. F. GRABSKI: — A jednak. Mówiłem, że oni wszyscy akceptowali granice z 1772 roku.

W. MICHOWICZ: — Bo jako polityk był realistą. Dobrze rozumiał, gdzie i jakie hasła znajdą uznanie.

A. F. GRABSKI: — Utarło się obóz Czartoryskiego nazywać konserwatywno-arystokratycznym, ale to jest termin z tamtej epoki. Jeśli nie spojrzeć na to głębiej, to może powstać pewne skrzywienie. Domniemanie, że na prawo od tego obozu nie było już nic. A to nieprawda. Było tam mnóstwo ugrupowań konserwatywnych, które dążyły do odbudowania Rzeczypospolitej szlacheckiej w jej pełnej starej formie. I na lewo od tego obozu było całe mnóstwo koncepcji aż do skrajnie rewolucyjnych, głoszących powszechną rewolucję europejską. Tylko, że te wszystkie piękne koncepcje zachwiały się wobec wydarzeń z 1846 roku. Był to w gruncie rzeczy przełom. Pojawiła się na politycznym horyzoncie siła, której nikt nie oczekiwał — chłopi.

A. BARSZCZEWSKA: — *Powstał największy w tym czasie konflikt między ideą walki o niepodległość a walką o zachowanie przywilejów szlacheckich. Ta nowa siła zburzyła mentalność szlachecką. Do tej pory nawet najbardziej postępowe ugrupowania szlacheckie nie doceniały chłopów. Rok 1846 przeraził szlachtę i nasunął wniosek, że chłopi mogą zahamować walkę o niepodległość.*

W. MICHOWICZ: — Powiedziałbym to inaczej. Nie tyle, że nie można już było walczyć o niepodległość, bo chłopi staną walce w poprzek, ile, że w walce o niepodległość trzeba było liczyć się z postawą chłopów.

A. F. GRABSKI: — Ale do tego wniosku dojdzie już inne pokolenie.

W. MICHOWICZ: — Jakże — inne pokolenie? To była kwestia 10—15 lat. A więc to samo pokolenie.

A. F. GRABSKI: — Ale pierwszą reakcją było cofnięcie się szlachty. Nie wiedziano, jak na ten fakt reagować.

A. BARSZCZEWSKA: — *Rzeczywiście, takie zjawisko wystąpiło. Ale z drugiej strony część inteligencji dostrzegła, że dokonał się już pewien awans warstw plebejskich i w walce o niepodległość mogą już być partnerami rzemieślnicy, umiejący czytać chłopi. W Towarzystwie Demokratycznym Polskim mówiło się przecież, że rewolucja 1846 i 1848 roku nie poszła na marne, bo obudziła się świadomość narodowa u chłopów. Może nie zawsze właściwie ukierunkowana, ale dzięki temu chłopi stali się partnerem w tej walce.*

W latach czterdziestych XIX wieku pojawił się jeszcze jeden ważny element, który spowodował dalszą ewolucję idei walki o niepodległość. Do roku 1848 włącznie demokracja polska liczyła na współdziałanie ludów europejskich. Po 1848 roku koncepcja wspólnej walki uciskanych ludów załamała się. Okazało się, że w walce o niepodległość Polski nie można liczyć ani na pomoc ludów, ani rządów. Trzeba więc liczyć tylko na własne siły.

A. F. GRABSKI: — Lata sześćdziesiąte XIX wieku przyniosą jeszcze większą modyfikację idei walki o niepodległość.

A. BARSZCZEWSKA: — *Wprawdzie Czerwoni z Powstania Styczniowego, choć krytycznie odnosili się do poprzednich koncepcji walki o niepodległość, to w gruncie rzeczy przyjęli tę samą ideę walki zbrojnej. Ale też w ich koncepcjach pojawia się idea sojuszu z narodem rosyjskim. Jest to sojusz oparty na nowych zasadach. I to jest naturalne. Przecież znaczna grupa młodzieży polskiej kształciła się na uniwersytetach rosyjskich. Polacy brali udział w różnych związkach i organizacjach rosyjskich.*

A. F. GRABSKI: — Sojusz z narodem rosyjskim, w różnym sensie i różnie rozumiany, istniał dawniej. Teraz nabrał innego znaczenia. Między innymi dlatego, że po klęsce rewolucji 1848 roku załamała się wiara w możliwość dokonania rewolucji w całej Europie. Trzeba było szukać nowego sojusznika i właśnie w latach sześćdziesiątych zaktualizowała się wiara w możliwość i celowość wspólnej walki narodu polskiego i rosyjskiego o wyzwolenie społeczne i narodowe.

W. MICHOWICZ: — Nowe w ówczesnej myśli politycznej było również i to, że obok wiary w możliwość wspólnej walki obu narodów pojawił się kryzys wiary w powodzenie walki zbrojnej. To nie było wyrzeczenie się tej idei, ale jej poważny kryzys. Im bliżej będzie przełomu XIX i XX wieku, tym silniejszy będzie nurt wspólnej walki obu narodów o wyzwolenie społeczne. A u początku XX wieku pojawi się znów w polskiej myśli niepodległościowej, szczególnie wśród ugrupowań rewolucyjnych, idea walki zbrojnej.

A. BARSZCZEWSKA: — *Kryzys idei walki zbrojnej o niepodległość wynika też z tego, że po Powstaniu Styczniowym do głosu dochodzi racjonalizm pozytywistyczny i bierze górę nad światopoglądem romantycznym. Teraz ceni się trzeźwość w myśleniu, ma się zaufanie do nauki.*

A. F. GRABSKI: — Nie można zapominać też, że uwłaszczenie chłopów przyszło z góry. Ten fakt miał ogromny wpływ na rozwój myśli niepodległościowej. Niektórzy myśliciele, na przykład Józef Szujski, doszli do wniosku, że nie ma już żadnego problemu społecznego. Był i został rozwiązany.

Nastąpiło także załamanie się wiary w pomoc obcych rządów. W tej sytuacji musiał narodzić się nowy program. Był to program pracy nad sobą, odkupienia win. Nastąpił porachunek z tezą „mierz siły na zamiary", z romantycznym myśleniem.

W polskiej myśli społecznej i politycznej lat sześćdziesiątych XIX wieku pojawiły się jakby dwa nurty. Jeden, który głosił potrzebę modernizacji społeczeństwa, uprzemysłowienia kraju, podniesienia poziomu kulturalnego ludu. Był to sposób na to, aby podnieść wartość społeczeństwa i uczynić go partnerem dla mocarstw. Nie było to całkowite wyrzeczenie się niepodległości, ale odsunięcie jej na daleki plan. I drugi nurt, który głosił potrzebę ugody z zaborcami i podjęcie walki o autonomię, bez naruszania stosunków społecznych.

A. BARSZCZEWSKA: — *Od 1815 roku właściwie w polskiej myśli niepodległościowej ścierały się ze sobą te dwa nurty: orężna walka o niepodległość i walka o wewnętrzną przebudowę społeczeństwa.*

W. MICHOWICZ: — Do tej pory mówimy o tym, jak kształtowała się polska myśl polityczna w oparciu o przesłanki wewnętrzne. Ale przecież oddziaływało na nią również i to, co działo się na świecie.

W 1871 roku doszło przecież do klęski Francji i obalenia cesarstwa. Następuje zjednoczenie Niemiec. Niemcy stały się silnym, agresywnym państwem, konsekwentnie realizującym swoje cele nie tylko w Europie, ale zdobywającym również kolonie zamorskie. Silna w Europie była pozycja reżimu carskiego. Był on z punktu widzenia wewnętrznego skostniały, ale też realizował swoje cele kolonialne w Azji Środkowej i na Bliskim Wschodzie, wyrastając na światową potęgę.

Te procesy były pilnie w Polsce obserwowane. Docierały do świadomości społecznej i odbierały wiarę w możliwość i celowość walki orężnej. Bez uświadomienia sobie roli czynnika zewnętrznego nie zrozumiemy do końca tych procesów, które zachodziły w polskiej myśli społecznej.

S. BANASIAK: — Ponieważ dyskusja zbliża się do okresu, którym interesuję się przede wszystkim, pozwolę sobie powiedzieć, jak ja widzę te czynniki i procesy, które wpływały na kształtowanie się myśli politycznej XIX wieku.

Z jednej strony był lud o parafialno-jarmarcznych horyzontach, przepojony lokalnym patriotyzmem, który obejmował niewielki obszar, nieraz zaledwie kilka folwarków. Na tym opierało się przywiązanie chłopa do języka, religii. Na tym kształtowała się mentalność chłopa. Z drugiej strony występowało zjawisko — jakbyśmy to dziś powiedzieli — kosmopolityzmu. Ulegały mu pewne kręgi arystokracji, kupiectwa, ludzie kierujący manufakturami, zabiegający o rynki zbytu. Ci wszyscy, którzy nie ograniczali swojego działania tylko do siedziby własnego narodu, ale przenosili je w szersze rejony. Te oba zjawiska ograniczały bazę ruchu niepodległościowego.

Na początku walki o niepodległość na czele narodu stała szlachta. W miarę jednak upływu czasu idea walki o niepodległość ogarnia mieszczaństwo. Staje się ono partnerem w tej walce, chociaż początkowo drugoplanowym. Do głosu dochodzą chłopi. W trzecim ćwierćwieczu XIX wieku pojawia się zupełnie nowa siła społeczna — robotnicy. Pojawia się ona wprawdzie nieco później niż na zachodzie Europy.

W badaniach nad historią ruchu robotniczego szeroko rozważa się problem, na ile idee walki ludu kształtowane są przez sam lud, a na ile wnoszą je do ludu ludzie światli, inteligencja, a więc ludzie mający do dyspozycji naukę, kulturę, oświatę. W Polsce tę rolę spełniała bez wątpienia inteligencja pochodzenia szlacheckiego.

W miarę upływu czasu następowała zmiana w metodach walki o niepodległość. Idea walki zbrojnej znalazła swój wyraz w powstaniach — od kościuszkowskiego do styczniowego. Ale obok tej idei pojawiła się inna — idea walki o przetrwanie narodowe poprzez rozwój gospodarki, nauki, kultury i oświaty. Taka idea popularna była nie tylko w społeczeństwie polskim. Na przykład znaczne sukcesy w tej dziedzinie osiągnęli Czesi. Ta idea odsuwa walkę o niepodległość na plan dalszy, ale jej nie neguje. Jej istotą jest dążenie do stworzenia takiego społeczeństwa, którego nie można zdusić. Nie można go ani zgermanizować, ani zrusyfikować.

W myśli politycznej XIX wieku nie bez znaczenia był i ten nurt, który wiązał walkę o niepodległość ze zmianami zachodzącymi na arenie międzynarodowej. Liczono przecież na konflikt zbrojny między zaborcami, co wyrażało się w życzeniu: „Swietą wojnę racz dać nam Panie". Liczono na rewolucję socjalną, która zniszczy zaborców, ich państwową strukturę. A wtedy można będzie się włączyć do walki na zasadzie partnerstwa.

A. BARSZCZEWSKA: — *Trudno mi się zgodzić z tak statycznie potraktowanym problemem świadomości chłopów. Gdybyśmy poprzestali tylko na stwierdzeniu, że mentalność chłopów była parafiańsko-jarmarczna, to wtedy niezrozumiały będzie udział chłopów w ruchach rewolucyjnych połowy XIX wieku i później. Można się zgodzić, że poziom świadomości chłopów wzrastał powoli w stosunku do rozwoju świadomości innych warstw społeczeństwa polskiego, ale trudno byłoby utrzymywać, że nie wzrastał. Dokonywało się to dwoma drogami. Po pierwsze — chłopi byli brani do wojska i już w czasach Napoleona przemierzyli Europę i siłą rzeczy musiały rozszerzać się ich horyzonty. Byli brani do wojska zaborców i służyli nie tylko w rejonie własnej wsi.*

Po drugie — chłopi brali udział w powstaniach. W Powstaniu Listopadowym stanowili około 50 procent armii. W Powstaniu Styczniowym było ich mniej, ale zdarzały się pobory chłopów do oddziałów powstańczych i byli w nich jako ochotnicy.

Poza tym jest to okres gwałtownego rozwoju stosunków kapitalistycznych. Zaczyna się migracja chłopów. Rozwijają się drogi lądowe, wodne i żelazne. Na przykład chłopi z zaboru pruskiego wędrują po całym obszarze niemieckim. Może najmniej ruchliwa była społeczność chłopska Galicji, zwłaszcza wschodniej Galicji.

W. MICHOWICZ: — Współcześnie prowadzone badania nad rozwojem świadomości poszczególnych grup społecznych wykazują szybką ewolucję poglądów chłopskich na sprawę narodową. Ta ewolucja dokonała się pod koniec XIX wieku. Bez niej zupełnie niezrozumiały byłby udział mas chłopskich w rewolucji 1905 roku. A chłopi występowali przecież nie tylko w swoich klasowych interesach, ale przystępowali do walki pod ogólnonarodowymi hasłami na przykład domagali się polskiej szkoły.

A. BARSZCZEWSKA: — *My często na ruch wolnościowy i na rozwój ruchów chłopskich patrzymy przez pryzmat ziem polskich zaboru rosyjskiego i Galicji. A w zaborze pruskim nosicielem polskości i nosicielem walki o polskość, a co za tym idzie i walki o niepodległość był właśnie chłop. Lewica niepodległościowa pod koniec XIX wieku w swoim działaniu nie przypadkiem stawiała właśnie na chłopów z Pomorza, Warmii, Mazur i Śląska.*

S. BANASIAK: — Jesteśmy niewątpliwie zgodni co do jednego, że przez cały XIX wiek społeczeństwo polskie jako naród jest zdecydowane walczyć o niepodległość i ustanowienie samodzielnego swego bytu. Natomiast spór dotyczy właściwie marginesów, postaw krańcowych. I to, co mówiłem o parafiańszczyźnie, nieobce było pewnym grupom chłopskim do czasów Powstania Listopadowego. Natomiast w okresie późniejszym sprawa niewątpliwie wyglądała inaczej, ale i ziemie polskie tego czasu wyglądały inaczej. Do głosu doszły już inne pokolenia, inne były warunki działania, inne problemy nurtowały ludzi, inny więc musiał być sposób myślenia. W tym czasie wpływ arystokracji na kształtowanie się myśli politycznej był znikomy, a przynajmniej nie odgrywał decydującej roli. Do głosu doszły nowe klasy. Wizja walki o niepodległość stała się bardziej złożona, bo każda klasa, każda grupa społeczna miała swoją wizję niepodległości.

Skończyła się powstańcza szamotanina, która nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Nie myślano już: jeszcze jedno powstanie i będzie po wszystkim. Zainteresowania skierowano na wewnętrzne wzmocnienie społeczeństwa. I pojawiają się nowe kategorie: internacjonalizm i nacjonalizm.

Jeśli w pierwszej połowie XIX wieku silne były imperialne tradycje wielkiej, wielonarodowej Polski w granicach od Bałtyku do Morza Czarnego to praktyka wykazała, a mam tu na myśli Księstwo Warszawskie czy Królestwo Polskie, że Polacy korzystali z każdej szansy, każdą okazję wykorzystywali, aby posiadać własne państwo. Nadal wprawdzie jeszcze powtarzano postulat odbudowy wielkiej Polski w granicach z 1772 roku, ale równocześnie liczono się z realiami, z interesami innych narodów, godzono się na państwo zamknięte w granicach obszaru etnicznego.

A. F. GRABSKI: — To nie przychodziło tak łatwo.

S. BANASIAK: — Oczywiście, jednak już w środowisku robotniczym, kiedy rozmawiano o rewolucji społecznej i poprzez rewolucję o odzyskaniu niepodległości, to nie w tym sensie, że Polacy będą zwierzchnikami nad innymi narodami, tylko mówiono o równorzędności. Patrzono na te sprawy już z punktu widzenia internacjonalizmu.

A. BARSZCZEWSKA: — *Tak, ale takie poglądy doszły do głosu znacznie później. Na początku XIX wieku, kiedy głoszono postulat powrotu do granic z 1772 roku, to był to postulat postępowy. Po pierwsze dlatego, że w ten sposób chciano przekreślić rozbiory. Po drugie — w tym czasie jeszcze ani ludność litewska, ani białoruska, ani nawet ukraińska nie była rozbudzona pod względem narodowościowym w takim stopniu, jak to stało się później. Najwcześniej do głosu doszedł ruch narodowy na Ukrainie, bo w latach czterdziestych, na Litwie i Białorusi stało się to dopiero w latach siedemdziesiątych-osiemdziesiątych XIX wieku.*

Ale — i tu jest dramatyzm całej tej sytuacji — ci ludzie, którzy szanując prawa innych narodów występowali z pozycji postępowych, postulując powrót do granic z 1772 roku, byli w zgodzie z wyobrażeniami tamtych narodów gdzieś do początku lat czterdziestych. Później, kiedy zmieniła się sytuacja, wpadli we własną pułapkę — jak to napisał Stefan Kieniewicz — gdyż wraz z budzeniem się narodowych dążeń Ukraińców, Litwinów, Białorusinów głoszenie takiego postulatu stawało się coraz bardziej wsteczne.

A. F. GRABSKI: — W dziejach Polski i w dziejach polskiej myśli politycznej dobiegła końca pewna epoka. Jakie nurty i prądy były wówczas na arenie politycznej?

W Galicji na przykład dość silni nawet w latach osiemdziesiątych XIX wieku byli jeszcze epigoni starej demokracji. Ale pojawili się ludzie nowi, głoszący — wydawałoby się — nowe poglądy. Weźmy choćby takiego Tomasza Teodora Jeża, czyli Zygmunta Miłkowskiego, byłego powstańca, uważającego się za czerwonego, poza tym wziętego powieściopisarza. Otóż Tomasz Teodor Jeż w 1877 roku wydał „Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym". Ta książka zawierała następujący program: walka bierna nie daje już nic, gdyż jesteśmy pod takim naciskiem, że niewiele możemy osiągnąć. Trzeba więc wrócić do idei walki czynnej, ale nie w takim rozumieniu, że zaraz musimy zrobić następne powstanie. Trzeba się do walki czynnej przygotować, zbierać na to środki, stąd idea utworzenia Skarbu Narodowego. Trzeba tworzyć tajne organizacje.

Było to w jakimś stopniu nawiązanie do programu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Zresztą i Liga Polska — organizacja tajna — założona w Genewie przy współudziale Zygmunta Miłkowskiego — też nawiązywała do ideologii Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Miała charakter organizacji niepodległościowej. Ale była to organizacja ludzi odchodzących, odchodzącej generacji. Nie mogła ona wpłynąć znacząco na ewolucję myśli niepodległościowej. Choć pojawili się nowi ludzie, to nie mogli zatrzymać czasu i wrócić do starych idei.

Na mapie politycznej Europy pojawiły się bowiem zupełnie nowe siły — nowoczesny socjalizm. Przenika on również do kraju. Powstają kółka socjalistyczne. Jednocześnie rodzi się nowoczesny polski nacjonalizm. W 1893 roku Ligę Polską przekształca właśnie w Ligę Narodową. Pojawia się też ruch ludowy, o który zaczyna toczyć się walka między poszczególnymi ugrupowaniami politycznymi.

Tak więc odchodzący wiek XIX pozostawia na mapie politycznej kraju trzy wielkie ruchy: socjalistyczny, nacjonalistyczny i ludowy. Każdy z tych ruchów musiał w jakiś sposób określić swój stosunek do niepodległości. Jak to się dokonało i jakie przyniosło konsekwencje, to już osobny temat.

Opr. LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Foto. W. Paryś

WALENTIN ZAJCEW

REPORTAŻ Z DRYFUJĄCEJ KRY

Potężny AN-26 potoczył się po Kołymie, nabrał szybkości i wystartował gładko, biorąc kurs dokładnie na północ (rzekę Kołymę prawie osiem miesięcy w roku skuwa gruby lód). Samolot leciał na dryfującą stację badawczą SP-23. W dole, przez nocny opar przezierały nie kończące się białe pola, gdzieniegdzie zbrudzone ciemniejszą smugą. Miarowy pomruk silników sprzyjał rozmyślaniom.

Właśnie teraz mijało dokładnie czterdzieści lat od dnia pierwszej pomyślnej próby ujarzmienia Arktyki przy pomocy stacji dryfujących. Dopiero co uruchomiono już dwudziestą czwartą z kolei. Wybierając się w tę daleką podróż, jeszcze raz z ogromnym zainteresowaniem przeczytałem książkę dwukrotnego Bohatera Związku Radzieckiego, kontradmirała I. D. Papanina pt. „Życie na krze". Spośród mnóstwa arcyciekawych szczegółów utkwiła mi w pamięci liczba: dziesięć ton. Tyle sprzętu mogło wówczas dostarczyć lotnictwo bohaterskiej czwórce badaczy. Dziś liczbę tę śmiało można zwiększyć aż trzydziestokrotnie. Dowiedziałem się o tym na kontynencie, w robotniczym osiedlu Czerskij, od M. J. Krasnopierowa — kierownika powietrznej podbiegunowej ekspedycji Siewier 30. Po polarnej nocy, zwanej tu po prostu polarką, lotnicy Kołymo-Indigirskiego Przedsiębiorstwa Lotniczego — ich kierownikiem jest zasłużony pracownik narodowej gospodarki Jakucji, P. S. Pierszyn — znów przerzucili niezawodny most powietrzny między kontynentem i biegunem.

Te rozmyślania przerywa mi mechanik pokładowy, W. I. Wasiliew, który wyszedł z kabiny, żeby podgrzać herbatę. Uśmiechając się krzywo do mnie i siedzącego obok współpracownika AANJJ (Arktycznego i Antarktycznego Instytutu Naukowo-Badawczego), Władimira Kisterskiego, lecącego żeby zmienić „zimowników", wskazuje na ładunek przygniatający nas nieomal do ściany samolotu. „No, właśnie, znów nawalili, jak na spychacz! Artyści!". Stary problem. Podobnie, jak niegdyś ich poprzednicy starali się przemycić „kontrabandą" tysiące przeróżnych drobiazgów, nieraz niezbędnych podczas dryfu, tak i dzisiejsi ich następcy starają się pokład samolotu załadować pod samą górę. Arktyka z jej odległościami i surowym klimatem pozostanie zawsze Arktyką. Kiedy znów nadarzy się podobna okazja?! I piloci doskonale rozumieją swych podopiecznych, klną w duchu, ale jest to raczej buczenie pod adresem niesfornego, ale przecież kochanego dziecka.

Odnoszę wrażenie, że samolot nabrał już odpowiedniej wysokości i że sterują nim automaty. Załoga, nieco już rozluźniona po dużym napięciu, zaprasza nas do kabiny pilotów. Przedstawiam się. Dwa pierwsze fotele zajmują piloci pierwszej klasy: I. F. Szapawałow i W. D. Iwanow. Przy radiu odprawia czary, coś tam podkręcając i trzaskając gałkami, radiotelegrafista, W. I. Kukujew. Jakby nie było, zorza polarna jest w rzeczywistości burzą elektromagnetyczną i stwarza duże trudności w utrzymywaniu łączności radiowej. Mimo to, sądząc po rozmowie w eterze, pewnie trzyma nas na kursie to Pewek, to Przylądek Schmidta.

Nawigator, W. M. Leonow, pyta: „Chce pan zobaczyć naszą marszrutę?". I gestem sztukmistrza błyskawicznie rozkłada przede mną mapę. „Może widział pan w iluminatorze drobne światełka? To minęliśmy ostatni punkt orientacyjny — stację polarną na wyspie Czetyrechstołbowoj, nazywanej po prostu Czterema Słupami" — wyjaśnia.

No cóż, nowoczesny turbośmigłowiec dysponuje przyzwoitą szybkością i ultranowoczesnymi przyrządami nawigacyjnymi. Niemniej, jest to nadal bardzo skomplikowana operacja i wymaga wielu zabiegów, żeby sprowadzić ciężko wyładowany samolot na zagubioną na oceanie wyspę — skrawek lodu, który — to też weźmy pod uwagę — nie pomoże sygnałem świetlnym dalekiego i bliskiego prowadzenia. O tym nie ma nawet mowy, ponieważ ujarzmiona przez entuzjastów bryła lodu liczy zaledwie około czterech kilometrów szerokości i pięć długości. Gdzie tu można ulokować „celowniczych" sprowadzających samolot?... Ale piloci polarni to ludzie nawykli do wszystkiego. Latają o każdej porze dnia i nocy, i lądują na każdym, nawet najmniejszym, skrawku ziemi lub śniegu.

Do naszych słuchawek wdarł się wreszcie sygnał z SP-23. Kierownik lotów stamtąd, P. P. Biriukow, polecił nam, żebyśmy podali naszą odległość i kurs. Członkowie załogi przysunęli bliżej laryngofony. Znów rozmowy z krą. Nie widzimy jej jeszcze, chociaż zbliżyła się bardzo i znów słyszymy radę, żeby operator radiowy, Misza Komarow, nacisnął na klucz aparatu nadawczego i podał nasz dokładny kurs. Teraz następuje najbardziej odpowiedzialny moment lotu. Siądziemy czy nie?... Odnajdziemy cel, czy też będziemy musieli zawrócić jak niepyszni?! Wszak i to zdarzyło się w praktyce, jak opowiadali mi później „lokatorzy" dryfującej kry.

Hurra, ujrzeliśmy drobne paciorki światła, które w tej martwocie lodowej pustyni cieszą bezgranicznie! Tradycyjne „kółko" i nasz samolot wychodzi na prostą. Miękko dotyka lodu i toczy się podskakując leciutko, mija drewnianą budkę z rzucającym się w oczy hasłem: „SP-23 wita mężnych lotników!".

Pierwsze na pokład wchodzą... psy. Puszyste psy myśliwskie: Maluch i Miszka, sprawnie wbiegają po trapie i wydaje się, jakby z radością chciały pomóc w wyładunku. Opędzają się od nich łagodnie, pamiętając o najważniejszej sprawie: baczyć, czy aby nie zbliżają się do samolotu niedźwiedzie. Onegdaj ogromne ślady znów widziano w pobliżu. Gospodarze prowadzą nas do domku i rozpoczynają profesjonalny dyskurs. Przede wszystkim interesuje ich nasza opinia o lotnisku. Dowódca samolotu, kładąc rękę na sercu, zbywa ich żartem: „Nie jest to wprawdzie międzynarodowe lotnisko Szeremietiewo, ale...". Że są dumni z tego lotniska, które łączy ich ze światem zewnętrznym, jest całkowicie zrozumiałe. Ileż wysiłku trzeba, żeby na 40-stopniowym mrozie, a jeszcze nieraz przy okrutnym wichrze, utrzymać w dobrym stanie pas startowy prawie dwie wiorsty długi i sto metrów szeroki! Kiedy cichnie kolejna zamieć śnieżna, wszyscy mieszkańcy dryfującej kry, siedemnaście dusz, wychodzą na lotnisko, żeby natychmiast uprzątnąć śnieg z pasa startowego. Obok łopat, trzeba też używać pił ramowych do piłowania zamarzniętych białych brył lodu, by móc je odciągnąć z pasa.

W takich godzinach „szczytu" nie zaznaje spokoju traktorzysta, N. S. Borowskij, w przeszłości dzielny marynarz floty podwodnej, odznaczony orderami za odwagę, a obecnie zasłużony polarnik, znakomicie obeznany z Antarktydą. Zawsze czujną grupą lotniskową kieruje szef lotów na krze, Paweł Biriukow, który nawet wśród wcale niewątłych polarników wyróżnia się ogromną siłą i wytrzymałością. Grupa ta może być rzeczywiście dumna ze swojej pracy. Jeszcze nie tak dawno, przyjmując samoloty na dryfujących krach, ustawiano tylko beczki napełniane mazutem. Zapalano go naprędce tuż przed samym lądowaniem samolotu i płonęły migotliwie liczone minuty, dając więcej swądu niż światła.

Teraz na SP-23 nie tylko świecą elektryczne lampy otaczające lotnisko, lecz — podobnie, jak to jest na wszystkich lotniskach świata — oślepiająco pulsują najprawdziwsze reflektory. Ich jasny blask widać na niebie już z daleka. Jednakże te „błyszczące przedmioty" przyciągają niedźwiedzie, ciekawe niczym wrony i sroki. Ileż to razy tłukły one lampy, przegryzały przewody. Łatwo o tym mówić z perspektywy czasu, ale widzieć to na własne oczy — po prostu serce się kraje.

W domku, w którym mieści się radiostacja i gdzie spędza dni i noce grupa radiowa, pilotów poczęstowano mrożoną rybą i lotnicy udali się w drogę powrotną. My, którzy zostawaliśmy tutaj, wyprawiliśmy samolot i aż do bólu w oczach długo odprowadzaliśmy wzrokiem szybko oddalające się światełka, błyskające na jego skrzydłach...

2.

Kiedy nazajutrz rano zbudziłem się w domku z płyt, szczodrze ogrzewanym piecykiem na oleju solarowym, nie chciało mi się wierzyć, że za oknem jest trzaskający mróz. Ale przecież trzeba się było wziąć do pracy, a także w miarę sił pomóc serdecznym gospodarzom. Wyszedłem za próg i ujrzałem obraz znany mi z książki Papanina: wysoki maszt i łopocącą na wietrze flagę, a wokół okrągłe namioty. Wszelako mój zapał eksperymentatora od razu ostudził kierownik stacji, Władysław Piguzow, który przebrnął przez najchłodniejsze epicentra obu biegunów. „Nie poleca się wędrować u nas w pojedynkę — ostrzegł mnie. — Po pierwsze, nie jest to odpowiednia godzina, może przyłapać gospodarz-niedźwiedź, po drugie: istnieje szansa wpadnięcia w szczelinę...". I podniósł słuchawkę telefonu. Tak więc dzięki miejscowej stacji telefonicznej nowicjusza przekazywano z ręki do ręki niczym pałeczkę sztafety.

Zdumiewającym poligonem jest ten czasowo zasiedlony i zagospodarowany lodowiec. Ileż to razy mieszkańcom kontynentu zdarza się usłyszeć w tradycyjnych radiowych komunikatach meteorologicznych wzmianki o chłodnych masach arktycznego powietrza, które nagłym wtargnięciem wywołują wściekłe cyklony. Ostrzeganie o tym zjawisku należy do obowiązków dyżurnych, których postawiono dzisiaj u samych wrót „kuchni pogody". Meteorologa, Borysa Siemiskara, zastałem na stacji meteorologicznej z jej psychrometrycznymi budkami, termometrami itd. Ustawiał akurat aktynometr, żeby zmierzyć promieniowanie słoneczne (światła oślepiającego oczy po „polarce" jest tutaj tyle, że bez okularów ochronnych nie sposób się obejść). Dalsze prace trzeba było już kontynuować w zamkniętym pomieszczeniu. Borys wyjaśnił mi, że teraz można w zasadzie coraz rzadziej wychodzić na mróz, ponieważ zewnętrzne nadajniki przyrządów są podłączone do czułego „mózgu" wewnątrz domku. A przyrządy samozapisujące są tak czułe, iż reagują nawet na pojawienie się w pobliżu psa, co wywołuje określone zakłócenia. Racjonalizacja nie tylko ułatwiła pracę, lecz także uwolniła ludzi od grożącego im tu stale niebezpieczeństwa. Na krótko przed moim przylotem nadszedł do osiedla Czerskij telegram: „Szczelina o szerokości pięciu centymetrów pojawiła się na całej długości, od budki mechanika przez stację meteorologiczną. Prowadzimy obserwacje". „No i jak? — spytałem. — Obawiano się z pewnością, czy nie pęknie kra?". „Sądzę, że nie pęknie — odpowiada mój rozmówca. — Opuszczałem do tej szczeliny ciężarek, ale wody nie sięgnął. To znaczy, że jest ona pochodzenia termicznego, a zatem powstała nie wskutek zderzenia, lecz różnicy temperatur".

No cóż, słudzy „niebieskiej kancelarii" dobrze łączą teorię z praktyką, młodość z dojrzałością. Borys jest jedynym komsomolcem (chociaż istniała SP-19 z całkowicie komsomolsko-młodzieżowym zespołem) i najmłodszym polarnikiem ze swymi dwudziestoma latami życia. Pokazuje mi czerwoną chustę od podopiecznych pionierów ze słonecznej Azji Środkowej. A jego kierownik i kolega, W. I. Kokoulin, szczyci się pięknie wyhaftowaną uzbecką krymką. Władimir Iwanowicz nie rozstaje się ani na chwilę z przenośnym magnetofonem, jest wielkim miłośnikiem muzyki.

I o ile ta nierozłączna para, zajmująca wspólne locum, ma wzrok utkwiony najczęściej, jak to się mówi, w obłokach, o tyle ich sąsiedzi-oceanolodzy mają w przebitym na wylot lodzie swego rodzaju okna na królestwo Neptuna, chociaż i oni budując model: „ocean — atmosfera" z pewnością respektują osobliwości różnych warstw powietrza. Ci młodzi uczeni — Aleksander Makszta s i Lew Zubkow (Sasza ma już gotową rozprawę kandydacką) mogą mówić o swoich modelach godzinami i wszędzie je teoretycznie konstruować. Uzupełniają się różnymi charakterami, odmiennym wyglądem zewnętrznym. Rozmowny, otwarty Aleksander i małomówny, nieśmiały Lowa. Ale pierwsze wyobrażenia o ludziach — jak to często bywa — są zawodne. Już znacznie później, w Leningradzie, kierownik zimowiska powiedział mi: „Pewnego razu zadomowiła się u nas niedźwiedzica. I chwyciłem się za głowę z przerażenia, gdy przypadkiem ujrzałem, jak nasz delikatny, cichy, nieśmiały Lowa tresuje ją, stojącą na tylnych łapach, na odległość wyciągniętej ręki!".

Hydrochemik, A. A. Dawydow, rozsądny, wysoki brunet, o którego — jak słyszałem — bardzo niepokoi się mama — rdzenna leningradka, ma pasjonujące hobby. W swoim domku przechowuje przywieziony z lądu czarnoziem. Na wiosnę zielenią się w nim najprawdziwsze ogórki i rozkwitają kwiaty. A naukowe zadania Aleksandra to pobieranie próbek wody i opracowywanie atlasu chemicznego. W imię tego ruchliwy Aleksander obleciał chyba cały basen arktyczny.

Oczywiście, bezużyteczne byłyby najbardziej nawet udane odkrycia, gdyby polarnicy nie mieli niezawodnej łączności radiowej. Od czasów legendarnego Ernsta Krenkiela z jego historycznymi znakami wywoławczymi: RAEM, dryfujące stacje wchodzą w eter bardzo regularnie — co trzy godziny — pod hasłem UPOŁ. Słuchają ich bardzo uważnie na wybrzeżu i najmniejsze opóźnienie w seansie łączności już wzbudza niepokój. Co się tam stało?! Huragan złamał antenę czy też, mimo wszystko, pękła kra? „Kiedy słucham przez radio wiadomości z ojczyzny, z uczuciem głębokiej wdzięczności wspominam wielkiego Rosjanina, wynalazcę pierwszego na świecie telegrafu radiowego — Aleksandra Popowa" — zapisał w swoim dzienniku Iwan Dmitriewicz Papanin. I dodał, iż minionej nocy Teodorycz (Krenkiel) znów nawiązał łączność z krótkofalowcami.

Na SP-23, na tym kluczowym posterunku, stale dyżurowali: G. W. Floridow i A. Ł. Sziłow, gotowi w każdej minucie do przyjęcia na słuch dwustu znaków! Operatywne komunikaty o pogodzie, miesięczne sprawozdania dla kraju, osobiste telegramy radiowe, słowem wszystko przechodzi przez ich wprawne ręce. Korzystając z uprzejmego zezwolenia, z radością przesłałem z biegunu życzenia urodzinowe bratu, mieszkającemu na dalekim Uralu. Radiowcy podtrzymują tradycje Krenkiela, utrzymując stały kontakt z krótkofalowcami — amatorami. Komu na świecie nie pochleb: nawiązanie łączności ze Stacją na Biegunie Północnym? A w specjanym dzienniku widnieje spis przeróżnych adresów — od Warszawy po Chicago, od Delhi po Honolulu.

Wieczorami, przechodząc — chcąc nie chcąc — przyśpieszony kurs przyswajania wiadomości, prowadziłem długie i serdeczne rozmowy z szefem. Dowiedziałem się od W wa Michajłowicza Piguzowa, że obecnie na stacji jest nieomal dwukrotnie więcej pracy. Dlatego też pierwszeństwo przy „zameldowaniu na krze" daje się wysoko kwalifikowanym specjalistom, posiadającym, że użyję takiego określenia, zbieżne umiejętności fachowe (np. kandydat nauk geograficznych A. T. Bożko umie prowadzić traktor, hydrolog A. F. Bub posiada uprawnienia minera). Rozumie się samo przez się, iż północ akceptuje w dodatku ludzi mocnych, zahartowanych i dobrze rozwiniętych fizycznie, dobrych, towarzyskich i obowiązkowo obdarzonych poczuciem humoru.

Zwykły dzień pracy zaczął się dla mnie nader symboliczną ceremonią. Polarnicy wycelowali wyniesiony na zewnątrz teodolit na Arktura, następnie na Wagę, wreszcie na mniej znane ciała niebieskie, złowili w skrzyżowaniu ich promienie i przy pomocy specjalnych tablic obliczyli dryf kry. Okazało się, iż tym niezwykłym środkiem lokomocji w ciągu ostatnich dni i nocy, przemieściliśmy się na północny zachód jeszcze o dwadzieścia kilometrów.

A mój tymczasowy dom... W dni i noce spędzone na krze korzystałem z gościnności doktora Aleksandra Szulgina, który użyczył mi wspaniałego łóżka polowego w swoim pokoiku, pełnym leków i instrumentów medycznych z dentystyczną wiertarką włącznie. Wyglądało na to, że młodemu chirurgowi, który wyraził życzenie zamiany zwykłego szpitala na niezwykłą ekspedycję, groziło niebezpieczeństwo utraty kwalifikacji. Nie miał ani jednego pacjenta...

Mnie i Aleksandra wyznaczono na dyżur. Na kontynencie, ludzie znający się na rzeczy prosili mnie o zwrócenie uwagi na warunki życia, w jakich przebywają zimownicy na krze. Wszak bez solidnego zagospodarowania kry są nie do pomyślenia badania naukowe na wysokich szerokościach, jak zresztą w ogóle normalne życie. Regularne, racjonalne odżywianie odgrywa pierwszorzędną rolę. Nasz kucharz jest tu osobą niezwykle ważną. Powiem wprost — nie można się rozczarować jego sztuką kulinarną. Menu nie wyróżnia się jakimiś szczególnymi przysmakami, ale dania są kaloryczne, smaczne, przyciągają uwagę wysokim kunsztem fachowości. Próbując ukraiński barszcz i karski szaszłyk, domową pieczeń czy zwykłe kotlety, byłem szczerze wdzięczny ich „autorowi", W. A. Zagorskiemu skromniutko siedzącemu na uboczu. Pomagaliśmy mu bardzo gorliwie, zmywaliśmy naczynia i obieraliśmy ziemniaki. Tylko piłowanie zamarzniętej kiszonej kapusty autentyczną piłą, przyznaję, było dla mnie zajęciem zupełnie niezwykłym.

Przypadł nam zaiste godny uwagi dyżur. Był to dzień urodzin mechanika, W. A. Jefimowa i z tej okazji zorganizowano uroczystą kolację. Na stole pojawił się kunsztownie wykonany tort i — wybaczcie mi zwolennicy „suchego stołu" — także wódka i mocne wino. Czemskie piwo, dostarczone tutaj znacznie wcześniej na tę uroczystość, skończyło się, niestety. Piszę o tym wszystkim tak szczegółowo dlatego, iż wielu ludzi pytało mnie potem na lądzie, czy wolno tam, na końcu świata, używać napojów wyskokowych, a jeśli tak, to czy aby z dala od ciekawych oczu nie przekształca się taka zwykła biesiada w libację... Mogę teraz z całą stanowczością uspokoić sceptyków. Picie bez umiaru nigdy się nie zakorzeni wśród ludzi mocnych, świadomych swych celów, wśród zwartego kolektywu ludzi, przepojonego wielką ideą. Więc dlaczegóż by nie wypić kieliszka za zdrowie solenizanta, nie wznieść przyjacielskiego toastu?

I ja tam byłem, miód i wino piłem, i powiedziałem też kilka słów. Tym więcej, iż dla jubilata przygotowałem skromny prezent: lśniący kamyk pirytu, który dostałem w prezencie od znajomego kontynentalnego archeologa. Po kolacji urządziliśmy konkurs piosenki, oglądaliśmy film, zorganizowaliśmy turniej szachowy.

Kiedy umilkły rozbawione głosy i nastała głęboka noc — najbardziej napięta część dyżuru — uzbrojeni w rakietnice udaliśmy się z doktorem na obchód obozu na lodzie. Płonęła zorza polarna, martwa cisza sączyła do serca głuchy niepokój. Na każdym kroku majaczyły mi się za plecami niedźwiedzie, a pod nogami widziałem bezdenne szczeliny. Doszedłszy do skraju kry, gdzie przybrzeżny lód jest zdradziecko cienki, patrol dla spokoju własnego sumienia wystrzelił w niebo rakietę oświetlającą. W dzienniku dyżurów, który prowadzi się bardzo skrupulatnie, niczym na okręcie, znalazł się po tej nocy jeszcze jeden, być może nieco sentymentalny, lecz prawdziwy zapis: „Dziś wszyscy byli zadowoleni, a psy dostały smakowite resztki z kolacji"... Do notesu wpisałem też sobie kilka spostrzeżeń, mówiących o sprawach poważnych i błahych, dużych i małych. Cytuję je na wyrywki:

— Na kierunku północnym uformowała się szczelina. Przygotowano awaryjne worki. Materiały z obserwacji naukowych trzymano w dostępnym miejscu.

— Specjalna komisja prowadziła przygotowania do spotkania Nowego Roku. Ubrano choinkę.

— Oszczeniła się Bielka. Amatorzy posiadania jej potomstwa czekają z niepokojem. Szczeniaki już dawno rozdzielono.

— W obozie ukazała się szczelina, miała 40 metrów długości. Mimo to obserwacje prowadzono zgodnie z programem. Wszyscy zdrowi.

— W związku z silnym wichrem znacznie zwiększył się dryf. Sytuacja lodowa bez zmian.

— Po wściekłej śnieżycy wzięliśmy łopaty, piły, sanie i usuwaliśmy śnieg z pasa lotniska.

— „Ja — tak Kokoulin W. J. rozpoczął zapis z całodobowego dyżuru — pragnę powiedzieć, że stacja i kolektyw bardzo mi przypadły do serca..."

Pod tym ostatnim oświadczeniem ja także podpisałbym się obiema rękami. Niegdyś nasze pokolenie zachwycało się heroicznymi czynami uczestników wypraw: Papanina i Amundsena, załogi „Czeluskina" i Nobile. Sprawiło mi niezmierną radość, że udało mi się poznać ich znakomitych następców. Na dalekiej krze „zameldowano mnie na pobyt czasowy" przystawiając stempel z rysunkiem samolotu, namiotów i anteny. I z napisem: „Biegun Północny". Odtąd i do końca mego życia stempel ten będzie mi przypominał o nielekkich, ale także pięknych chwilach spędzonych wśród mężnych ludzi.

Stacja Biegun Północny — 23.

Przeł. Wł. STOKOWSKI

Artykuł napisany specjalnie dla „Odgłosów".

EUGENIUSZ IWANICKI

LIST POLECAJĄCY

Historia Państwowego Ośrodka Maszynowego w Gorczynie, to historia mechanizacji rolnictwa na terenie byłego powiatu łaskiego, ą jego dzień dzisiejszy nierozerwalnie wiąże się z szeroko pojętą politechnizacją i agrokulturą Kółek Rolniczych, PGR-ów i rolników indywidualnych. Nie darmo mówi się o zatrudnionych tu specjalistach jako o ludziach dobrej roboty. W ciągu prawie trzydziestoletniego okresu istnienia POM ugruntował swoje dobre imię nie tylko wśród okolicznych rolników, ale z malutkiego warsztatu z początku lat pięćdziesiątych przekształcił się w producenta wystawiającego swoje wyroby na światowych wystawach maszyn rolniczych. Ale zanim do tego doszło, był

OKRES PIONIERSKI.

Bardzo trudny, wymagający wielu wyrzeczeń od ludzi tu zatrudnionych, okres, w którym dopiero kształtowała się koncepcja tego typu przedsiębiorstw, a także hartowały się ludzkie charaktery. POM otrzymał początkowo pomieszczenia w budynkach pomajątkowych, lecz mieszkający tu dziedzic widać nie należał do zamożnych, bowiem budynek mieszkalny jak i zabudowania inwentarskie już wówczas były za ciasne dla tej drobnej garstki mechaników, którzy rozpoczynali swoją pierwszą pracę w Polsce Ludowej. Wspominając owe czasy dyrektor **JÓZEF WOSIŃSKI** mówi o nich jak o czymś co było wielką przygodą dla nich, wówczas młodych zapaleńców, pragnących zrewolucjonizować tradycyjne polskie rolnictwo. A więc otrzymali miejsce pracy, ale okazało się, że w budynku przeznaczonym dla działalności administracyjnej mieszkają tzw. „działkowicze" (wyrobnicy, którzy przed wojną pracowali u dziedzica, a teraz otrzymali ziemię i budynki z reformy rolnej). Gnieżdżono się więc wspólnie w jednym końcu korytarza „działkowicze", a drugim — biura POM. Dla warsztatów przeznaczono oborę: w jednym końcu naprawiano sprzęt rolniczy, a w drugim stały krowy i pochrząkiwały świnie. Stosunkowo dobrze mieli tokarze — im przydzielono stary spichlerz. Tokarnie były stare, wysłużone, napędzane silnikiem, z kół zamachowych biegły wzdłuż pomieszczenia pasy transmisyjne. Najlepszym w owym czasie monterem, przyuczonym na maszynach niemieckich, był **Józef Barski.** On uczył młodych chłopców i potrafił obchodzić się z tokarkami. Dla pełnego obrazu owego pionierskiego początku należy dodać kuźnię podwórzową, taką na miech, przy którym chłopcy na zmiany ćwiczyli mięśnie. W tej kuźni dorabiano i regenerowano części potrzebne do traktorów czy siewników. A samo spawanie odbywało się metodą zgrzewania: dwa końce metalu rozpalano do czerwieni, posypywano piaskiem i kładąc koniec na koniec walono młotami, aż oba końce się połączyły. Największym specem od takiego zgrzewania był kowal **Figlus** z Łopatek. A wyposażenie? Większość maszyn sprowadzono z Ziem Odzyskanych, ze starych kuźni wiejskich, z poniemieckich gospodarstw.

Praca nie była łatwa: narastały konflikty pomiędzy owymi „działkowiczami" a POM, który się rozrastał i usiłował wyrugować zasiedziałych tu ludzi. Ale tamci się nie dawali. Trwały spory, sprzeczki, dochodziło do starć. POM miał swój kawałek ziemi, jakieś pół kilometra bliżej Łasku, ale nie było zgody na rozpoczęcie budowy. Sadzono więc póki co ziemniaki i zboże. Czekano. W końcu konflikt stał się poważny, władze uznały, że tak dalej nie może być.

— **W 1952 r.** — mówi dyr. **Józef Wosiński — zapadła decyzja budowy przedsiębiorstwa. Przede wszystkim postawiliśmy barak — hotel dla traktorzystów. Następnie warsztat dla remontu własnych ciągników, których w owym czasie mieliśmy około 70 sztuk. Były to czasy, kiedy musieliśmy świadczyć usługi rolne dla wszystkich spółdzielni produkcyjnych, gdyż oprócz nas nikt nie posiadał sprzętu zmechanizowanego. A myśmy dysponowali całą służbą agrotechniczną byłego powiatu łaskiego: mieliśmy zootechników, agronomów, chemizatorów rolnictwa, rachunkowość rolną. Czyli wszystko, co dotyczyło prac w rolnictwie i plonów rolnych znajdowało się w POM w Gorczynie.**

Należy wspomnieć, że **Józef Wosiński** po ukończeniu Gimnazjum Mechanicznego w Pabianicach trafił do POM w Gorczynie w 1950 r., początkowo jako kierownik warsztatów, a w niecałe dwa lata później został mianowany dyrektorem, którą to funkcję pełni do dziś. Ale sprawa przeniesienia przedsiębiorstwa nie odbyła się bez incydentu. Oto maszynistka, a może ten co wykonywał zestawienie, przepisując już „na czysto" pismo do Ministerstwa Rolnictwa o rozpoczęciu budowy, zamiast odległości 500 m napisał 5.000 m. No i zaczęło się! O mało co nie wstrzymano budowy. Trzeba było sporo wyjaśnień, tłumaczeń, rozmów na szczeblu Ekspozytury POM, w Centralnym Zarządzie Technicznym Obsługi Rolnictwa itp. W końcu fakt budowy nowych obiektów został przyjęty i zaakceptowany. Teraz nastąpiło

ZDOBYWANIE ZAUFANIA

wśród chłopstwa, które wówczas posiadało niewielkie pojęcie o mechanizacji. Rozwój POM przypadł na tzw. okres rozkułaczania i trzeba było przejmować gospodarstwa. Chłopi buntowali się, nie chcieli oddawać ziemi. Na pracowników ośrodka spadł dodatkowy obowiązek pracy organizacyjno-politycznej. Jeszcze będąc na starym miejscu, ośrodek otrzymał konie i siodła aby agronomowie mogli jeździć po gospodarstwach spółdzielczych. W owym czasie był to jedyny środek lokomocji, którym można było dotrzeć do odległych wsi. Jeśli natomiast trafiał ktoś ważniejszy, powiedzmy z województwa, zaprzęgano dlań „biedkę", za którą z reguły biegały chmary dzieciaków wiejskich. Mówiono jednak, że POM to bogata firma i ludzie chętnie szli tu do pracy. Oto wspomnienia **JANA SZWEJKOWSKIEGO**, mechanika warsztatowego, który przepracował tu już ponad 27 lat.

— **Rozpoczynałem** — mówi — **jeszcze w budynku podziedzicowskim. Robiło się tam wszystko: ciągniki, brony, kultywatory itp. Mieliśmy ciągników niewiele, były to popularne „papaje" to znaczy C-45 z oponami na żelaznych obręczach. Potem pojawiły się „Fordsony", „Ford Ferguson", „Cejsy", „Jondire", „Fromale", „Zetory K-25" i „Zetory T-25", snopowiązałki „Falla", „Dering", „Krupp". Dziś to już legenda, nikt z młodych nawet nie słyszał tamtych nazw. Pracowały na benzynie, nafcie, na oleju napędowym. Narzędzi mieliśmy mniej niźli mało: mechanik, na ten przykład, miał z reguły dwa jakieś klucze, młotek, przecinak, a o częściach zapasowych tośmy nawet nie słyszeli. Ale umieliśmy wszystko zrobić i nasze ciągniki szły na pola. Praca także nie miała swoich godzin: ja mieszkałem obok stacji kolejowej w Łasku, ale przeważnie nocowałem w POM i nie tylko dlatego, że było dużo pracy, ale zżyliśmy się ze sobą. Często wyjeżdżałem do spółdzielni produkcyjnych w Elodii, Pelagii, Wodzieradach, Anielinie. Takie wyjazdy przeciągały się tygodniami, jedzenie musieliśmy organizować sobie sami, nieraz w nocy, po pracy szukaliśmy po wsiach chleba. Pracowało się wtedy na naszym, pomowskim sprzęcie, a ci ze spółdzielni to się nam tylko przyglądali, nie kwapili się z pomocą. W tamtych latach myśmy nie tylko reperowali traktory, ale pracowaliśmy na nich. Bo myśmy, proszę pana, sami siali, kultywowali i zbierali potem plony dla spółdzielni produkcyjnych. Ot, przypominam sobie, takie zdarzenie: w Pelagii sekretarz partii na próżno nawoływał spółdzielców by wyszli w pole. Siedzieli na rowach i się śmiali. A tu zboże aż dzwoni! Urodzaj! Co było robić? Skosiliśmy.**

Tak więc pomału rodziło się zaufanie do pracy ludzi z POM. Po 1956 r. POM swój sprzęt mógł już udostępnić rolnikom indywidualnym. Wydawało się, że wieś winna przyjąć tę pomoc z otwartymi ramionami. Nieuświadomienie i zabobon wzięły jednak górę: kobiety kładły się w poprzek pola nie dopuszczając traktorów — antychrystów. Dyrektor **Józef Wosiński** wspomina, że stosowano nawet metody jak na owe czasy, śmiałe: w nocy sprzątano chłopskie pola za darmo, by rano mogli się przekonać, że traktor zrobił to szybko i dużo lepiej niż kosą. Tak więc obok pracy na rzecz rolnictwa, ciągle prowadzono akcję polityczno-oświatową. Organizowano zebrania, wyjaśniano. Chłop był bowiem przekonany, że jeśli traktor wjedzie na jego pole, ziemię zabiorą mu pod spółdzielnię. Trwało to do momentu reaktywowania kółek rolniczych. Wówczas otworzyły się możliwości szerszego wejścia ze sprzętem na pola. Chłopi pomału rezygnowali z biernej postawy, a przekonawszy się, że ziemi im nie zabierają, granic nie zaorują, zaczęli korzystać z usług

Foto: Archiwum

ośrodka maszynowego w Gorczynie. Tak oto rodziła się

KONIECZNA POTRZEBA USŁUG,

która przyspieszyła rozbudowę samego ośrodka. Powstały wówczas 4 filie: w **Zapolicach, Widawie, Sędziejowicach** i **Buczku,** co jeszcze bardziej przybliżyło rolników do POM. Zaczęto więc świadczyć usługi w szerszym zakresie: remontowanie maszyn rolniczych zarówno dla powstających kółek rolniczych jak i dla rolników indywidualnych. Przeszkolono wówczas 1.200 traktorzystów. Z istniejących już kółek rolniczych POM zaczął organizować międzykółkowe bazy maszynowe, przez co osiągnięto lepszą koncentrację sprzętu i lepszą organizację pracy.

Ale oto następuje kolejny przełom: powstają Powiatowe Związki Kółek Rolniczych, którym POM przekazał swoje filie, a później PZKR przejęły cały sprzęt. Pozostał jedynie zakład macierzysty, którego zadaniem było świadczenie usług remontowych. W międzyczasie ośrodek rozbudował się, przychodziły nowe urządzenia. Ostatecznie w ramach specjalizacji POM w Gorczynie przejął do napraw kapitalnych ciągniki C 325 i C 328, obejmując całe byłe województwo łódzkie, co było możliwe dzięki przejściu z remontu systemem gniazdowym na system taśmowy. Dziś więc montuje się całe ciągniki, z elementów gotowych, a także prowadzi się naprawę całego sprzętu będącego na wyposażeniu rolnictwa. Tu, w Gorczynie, produkuje się także części do maszyn (lemiesze do kombajnów, przenośniki do kombajnów ziemniaczanych, a także szereg detali do aparatów ochrony roślin). Oddajmy raz jeszcze głos **Janowi Szwejkowskiemu:**

— **Na dobrą sprawę dziś wykonuję zupełnie inną pracę niźli dwadzieścia lat temu, choć nadal pracuję przy naprawie sprzętu rolnego. Dziś dysponuję całym warsztatem podręcznym nie licząc narzędzi będących w narzędziowni. Ale dzisiaj i maszyny są inne, niż te sprzed lat, są bardziej skomplikowane. Mechanik nie może już posługiwać się młotkiem. Dzisiaj obie strony, to znaczy my tu, a rolnicy u siebie, zdajemy sobie sprawę z konieczności potrzeby usług.**

Jan Szwejkowski jest jednym z najlepszych pracowników POM w Gorczynie. W chwili naszej rozmowy był zajęty regeneracją części do ciągników. Jest świetnym fachowcem i wychowawcą. Swojego syna Zbigniewa, który tu, w POM ukończył Zasadniczą Szkołę Zawodową wyuczył fachu i jak sam mówi, nie musi się wstydzić za pracę swojego chłopaka, którego ostatnio wybrano w skład KSR. Jan Szwejkowski twierdzi, że zakład pracy, to jak własny dom: tu i tam winno się wracać z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

I w ten sposób doszliśmy do momentu, kiedy trzeba powiedzieć

O OSIĄGNIĘCIACH I PLANACH

ośrodka maszynowego w Gorczynie, który dla przyspieszenia higienizacji rolnictwa rozpoczął produkcję aparatów do bielenia pomieszczeń inwentarskich typu „H — 900 — GORCZYN", których już 7 tys. sztuk opuściło zakład, a na Światowej Wystawie Maszyn Rolniczych w Moskwie POM otrzymał za nie specjalny dyplom. Projekt tego aparatu zrodził się dość dawno, w połowie lat sześćdziesiątych. Wówczas bowiem zaczęto zwracać w rolnictwie uwagę nie tylko na ilość produkcji, ale na jakość jej asortymentów. Przemysł mleczarski skupując mleko, chciał aby było ono czyste, otrzymane w warunkach higienicznych, dobrze zabezpieczone przed zanieczyszczeniem. Dlatego cała uwaga została skierowana na higienizację pomieszczeń inwentarskich. Początki były skromne: z reguły ogłaszano konkursy na najlepsze warunki zoohigieniczne wśród poszczególnych zagród, potem wsi. Chłop jak sto czy dwieście lat temu bielił swoje obory metodą spryskiwania poprzez zanurzanie miotły w wiadrze z wapnem. A przecież gros obór na wsi to budynki stare, o drewnianych stropach, których nie sposób pobielić pędzlem. Czas jednak wymagał radykalnych zmian, jeśli jakość asortymentów miała ulec poprawie.

Wówczas w POM zaczęto zastanawiać się, co by tu zrobić by pomóc rolnikom. **Józef Wosiński** ze swoim zastępcą mgr inż. **Zenonem Stępnikiem** niejedna noc spędzili nad rysunkami, planszami, wyliczeniami. W końcu wyszło: projekt aparatu do bielenia pomieszczeń inwentarskich skierowano do produkcji. Wykonano w POM w Gorczynie pierwsze 20 sztuk w serii próbnej i zaczęto świadczyć usługi bielenia i dezynfekowania u poszczególnych rolników. Okazało się, że rzecz jest świetna. Odbyły się więc publiczne pokazy w Technikum Rolniczym w Sędziejowicach, na które przyjechały władze powiatowe i wojewódzkie, służba rolna, rolnicy. Gratulowano pomysłu zachęcając do rozpoczęcia produkcji na taką skalę, by zabezpieczyć popyt na te aparaty w całym byłym województwie łódzkim.

Jednakże przed przystąpieniem do produkcji seryjnej aparat przeszedł wiele prób i badań w instytutach naukowych, aż otrzymał „świadectwo dopuszczenia do produkcji seryjnej". Tu ciekawostka: za swój pomysł Józef Wosiński i Zenon Stępnik otrzymali nagrodę województwa łódzkiego za racjonalizację, co zdarzyło się po raz pierwszy w dziejach tej nagrody! Obaj otrzymali także nagrodę Ministra Rolnictwa za wdrożenie aparatu do produkcji. Od tego czasu aparaty te są stosowane w całym kraju, a dwaj jego pomysłodawcy już zastanawiają się nad tym jak go usprawnić, zmniejszyć jego wagę, zastąpić elementy z metali szlachetnych mocnymi tworzywami, a przede wszystkim jak obniżyć jego cenę. Bowiem sam aparat w ciągu 1 godziny bieli ok. 500 m kw. (średnia powierzchnia obory wynosi ok. 120 m kw.), a na pobielenie 1 m kw. zużywa się od 0,7 do 1 litra cieczy wapiennej. Tak więc w ciągu godziny rolnik jest w stanie pobielić i zdezynfekować (po dodaniu preparatu owadobójczego) całe swoje obejście. Jakie to ma znaczenie przy produkcji mleka i innych jego przetworów nie trzeba nikomu przypominać.

Oczywiście nie są to jedyne przedsięwzięcia tego, będącego nadal w czołówce 4 województw, ośrodka maszynowego. Ostatnio zaczęto instalować w oborach rolników indywidualnych i w oborach gospodarstw uspołecznionych, a szczególnie w gospodarstwach specjalistycznych urządzenia mechaniczne: kojce dla inwentarza, zgarniaki obornika, odprowadzenie wody, kanalizację, instalację dojarek automatycznych. Oto w **Marcelowie** i **Okupie** powstają ogromne obory, na tysiąc sztuk każda, gdzie specjalne ekipy z POM prowadzą prace instalacyjne. Ta sama grupa wykonała dla miasta Łasku wodociąg, bez którego nie można byłoby rozpocząć budowy nowego osiedla przy ul. Stefana Batorego.

Jeszcze do niedawna, dyrektor nie mógł nadążyć z przyjmowaniem ofert na tunele foliowe, które jako pierwszy w kraju, rozpoczął produkować na zlecenie Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach. Była to swego czasu rewelacja, za co POM w Gorczynie zebrał wiele pochwał i słów uznania. Dziś ta produkcja należy tu już do przeszłości, wyparły ją inne pomysły i inne przedsięwzięcia. Ot, choćby budowa własnej, nowoczesnej stacji diagnostycznej, w której będzie można sprawdzić wszystkie parametry ciągników i prawidłowo kwalifikować ich do odpowiednich napraw. Do końca kwietnia przyszłego roku Rolnicza Spółdzielnia Budownictwa Wiejskiego w Chociwiu zobowiązała się oddać obiekt do użytku.

POM w Gorczynie zatrudnia 129 osób, ale wydajność na 1 prac. zatrudnionego bezpośrednio w produkcji wynosi ok. 1.200 tys. zł. Dla zobrazowania pracy w tym ośrodku chcę przytoczyć parę liczb, które dadzą świadectwo dobrej robocie zatrudnionych tam mechaników. Oto za 8 m-cy br. dokonano tu 110 napraw głównych ciągników, 1.907 napraw bieżących i gwarancyjnych, wyprodukowano 620 aparatów do bielenia pomieszczeń gospodarskich i 123 dojarki mechaniczne zamontowano w gospodarstwach indywidualnych. Długa jest także lista ludzi dobrej roboty, ale wymienię tutaj tych z najdłuższym, ponad 10-letnim stażem: **Jan Szymański** — monter gwarancyjny, **Robert Biederman** — brygadzista, **Bronisław Mituta** — monter ciągnikowy, **Feliks Wódka** — spawacz, **Anna Dudaczyk** — prac. administracyjny, **Alicja Sokalszczuk** — starsza księgowa, **Albina Lis** — sprzątaczka, kierowcy: **Wacław Cieleban, Adam Ratajczyk** i **Stanisław Kowalczyk.**

Na zakończenie mego pobytu w Gorczynie rozmawiałem z jednym z najmłodszych pracowników POM, z uczniem III klasy ZSZ, **Stanisławem Sochą** z Mogilna Dużego, który zapytany o swoje przyszłe plany, powiedział: — Najlepiej byłoby gdybym pozostał tutaj, a jeśli nie, to pójdę do PGR, do SKR czy do Spółdzielni Produkcyjnej.

Jest to znamienna wypowiedź, bowiem stąd wychodzą traktorzyści i mechanicy, którzy zasilają nasze rolnictwo, zakłady pracy a także co większe przedsiębiorstwa. Właściwie nie ma na terenie byłego województwa łódzkiego większego zakładu związanego z mechanizacją, w którym by nie pracowali absolwenci ZSZ z gorczyńskiego POM. Nigdy dotąd nie było tu instytucji zajmującej się szkoleniem mechaników dla potrzeb rolnictwa. Tak więc POM spełnia ważną, choć pionierską rolę w postępie agrotechnicznym. Dziś setki traktorzystów pracuje na własnych traktorach na własnych polach. Oni to właśnie niosą myśl politechniczną do najbardziej zapuszczonych, zabiedzonych wsi. A sam POM? Tak bardzo wrósł w krajobraz ziemi łaskiej, że stał się jednym z jej punktów geograficznych. A sam fakt pracy w POM w Gorczynie jest świadectwem liczącym się wśród techników i mechaników. Dyplom ZSZ jest listem polecającym dla młodej, dobrze wyszkolonej kadry.

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

TRYBUNALSKIE ZŁOTO

Na rogu ulic Łaziennej-Mokrej i Szewskiej stoi kamieniczka, wykupiona niedawno przez władze miasta od mecenasowej Przybyłowskiej i przygotowywana dla miejskiej organizacji ZSMP. W tej kamieniczce zbójcy mieli napaść królową Bonę, aby zrabować skarby, które woziła ze sobą z myślą o przekupstwie, byle tylko nie dopuścić do uznania „nieprawej" synowej, Barbary Radziwiłłówny. Kilkadziesiąt kroków od tej kamieniczki, z górą cztery wieki później, dokładnie 4 października 1978, na zakończenie obchodów czterechsetnego jubileuszu powstania Trybunału Koronnego wmurowano w płytę starego rynku okazałą tablicę, na której widnieje fragment piotrkowskiej Starówki z jej nie istniejącą od przeszło stu lat dominantą — ratuszem trybunalskim oraz napis: „W 400-LECIE USTANOWIENIA TRYBUNAŁU KORONNEGO, PIOTRKÓW, 4. X. 1978 R."

1.

Tablicę z mosiądzu utwierdzono dokładnie w miejscu, w którym stała wieża ratuszowa. W 1978 roku wieżę tę spopularyzowano nie tylko wśród piotrkowian. Sprowadzona z Uppsali wierna kopia sztychu Dahlberga sprzed trzech wieków pozwoliła powtórzyć rysunek wieży piotrkowskiej na wielu okolicznościowych plakatach i rysunkach. Trybunalska wieża została wprawdzie zburzona wraz z ratuszem po Powstaniu Styczniowym z nakazu carskiego gubernatora Kochanowa, ale jej miniaturowa kopia stała się najwyższą nagrodą honorową przyznawaną dorocznie piotrkowianinowi najbardziej zasłużonemu w dziedzinie kultury. Jest to **Złota Wieża Trybunalska.**

Nie wiadomo, co się stało ze złotem i innymi kosztownościami Bony. Piotrków zresztą zasłynął czym innym. **Czterysta lat temu stał się Trybunalskim.** I właśnie Złota Wieża Trybunalska jest dziś symbolem zasług położonych dla miasta, dla piotrkowskiej społeczności. Powiedzmy więc trochę o ludziach, którzy takie honorowe nagrody otrzymali.

2.

Z okazji dorocznego zjazdu towarzystw regionalnych województwa piotrkowskiego Złotą Wieżę Trybunalską otrzymała **Aleksandra Matusiakowa.** To ona kształtowała w tysiącach uczniów najgłębsze umiłowanie mowy ojczystej. Od 1919 roku związana jest z miastem. W kilka miesięcy po odzyskaniu niepodległości Aleksandra Matusiakowa jako młoda polonistka rozpoczęła pracę w nowo powstałym Seminarium Nauczycielskim w Piotrkowie.

Aleksandra Matusiakowa od kilkunastu już lat jest na zasłużonej emeryturze. W ubiegłym roku przyznano jej tytuł Zasłużonego Nauczyciela PRL. Wcześniej — wiele innych odznaczeń i wyróżnień.

Pamiętają o niej liczni przyjaciele — byli uczniowie, rozsiani po Polsce i świecie. Często listonosz przynosi do willi „za parkiem" barwną kartę pocztową lub list. Od czasu do czasu dzwonią do furtki przybysze. Wpadają na krótko, ale zawsze witani są z otwartym sercem przez ich profesorkę królującą w pokoju pełnym książek i teczek-skarbów, z oknami na stary park i ogrody. Wspomina się wtedy wielu uczniów, wychowanków Aleksandry Matusiakowej, którzy się gdzieś zapodziali, porozjeżdżali po świecie. Coraz częściej przychodzą chwile zadumy: Zdzisio Kozłowski zmarł przedwcześnie na Śląsku, Tadzio Karczmarski odszedł nagle nie dokończywszy rozbudowy szkoły w Białaczowie. Ale szybko wygasa smutek, wraca zawsze budzący emocje temat, pasje Aleksandry Matusiakowej — polonistyka, historia.

„Nasza profesor", choć ma odpoczywać, pracuje nadal i to nie mniej aniżeli kiedyś. Teraz pisze. Studiuje dokumenty, gromadzi wspomnienia. Spisała losy dziesiątków uczniów piotrkowskich szkół średnich poległych w walce i pomordowanych w obozach masowej zagłady. Napisała sylwetki kilkunastu nauczycieli. Opracowała dzieje Seminarium Nauczycielskiego w Piotrkowie Trybunalskim (1919—1939), a także historię tajnego nauczania w powiecie piotrkowskim.

3.

Zakończono obchody 400 lecia Trybunału Koronnego. Było kilka cennych sesji naukowych (ostatnia z udziałem sędziów Sądu Najwyższego), był zjazd polonijnych prawników, archiwistów. Ukazało się nieco druków, jest szansa wydania dorobku wspomnianych sesji oraz plonu konkursu na pracę naukową i popularno-naukową na temat Trybunału Koronnego. Wybito pamiątkowe medale: srebrny i złoty, mające już wzięcie u zbieraczy numizmatów. Przy okazji wypiękniało miasto.

Toczono spory na temat rangi Trybunału Koronnego w Polsce szlacheckiej. Jedni widzieli tę rangę we właściwych wymiarach, inni ją przeceniali, a znów sceptycy twierdzili, że różnie bywało ze sprawiedliwością przed piotrkowskim trybunałem. Wypominano przekupnych sędziów, jak chociażby takiego Brzezińskiego, którego powieszono po wyrwaniu mu języka i ucięciu głowy (na jej miejsce przyprawiono... psią). Mówiono, że nie brakowało przekupnych świadków, skąd też wzięło się powiedzenie „świadek za łyżkę barszczu". Prawda to i chociaż deputat-sędzia był wybierany tylko na dwa lata i w odróżnieniu od ówczesnego sędziego Francuza był laikiem w sprawach prawa i otrzymywał zaledwie 15 groszy za wyrok, to przecież pchała się szlachta do sędziowskiej godności.

Mimo wszystko Trybunał Koronny stanowił ogromny krok naprzód. Brać szlachecka ceniła wysoko rangę Trybunału Koronnego, co świadczy korzystnie o jego roli w ówczesnej Polsce. Funkcjonowanie Trybunału powodowało przecież ujednolicenie prawodawstwa polskiego (dotąd raczej zwyczajowego). A po utracie niepodległości świadomość o działającym przez 214 lat Trybunale Koronnym rozbudzała patriotyzm Polaków: mieliśmy Sąd Najwyższy, jak mieliśmy pierwsze w Europie „Ministerstwo Oświaty".

— *Prof. Aleksandra Matusiakowa.*

Fot.: T. Dzikowski

4.

Tadeusz Nowakowski, laureat Złotej Wieży Trybunalskiej za rok 1972, główny „sprawca" i scenarzysta obchodów jubileuszu 400-lecia Trybunału Koronnego, słusznie twierdzi, że obchody te winny się stać początkiem systematycznej pracy nad badaniami dziejów miasta.

Marcin Kromer napisał kiedyś, że Piotrków w „pępku Polski leży". To centralne położenie miasta spowodowało, że stało się ono miejscem wielu zjazdów i sejmów, prawie nieoficjalną stolicą Polski. Było to jeszcze p r z e d powołaniem Trybunału Koronnego. W czasach Jagiellonów, od 1493 roku. W Piotrkowie obradował sejm walny koronny Reczypospolitej. 38 razy obradowały w Piotrkowie sejmy. W latach 1354—1567 Piotrków był miejscem 78 zjazdów rycerstwa, mających najwyższą range państwową. Tu obwoływano królów, tu odbywały się synody kościelne. Warto więc się zająć sejmowym okresem Piotrkowa.

Nie ma w kraju takiego muzeum. Zaproponował je w czasie pobytu w Piotrkowie prof. **Wiktor Zin,** wiceminister kultury i sztuki. Ma to być muzeum parlamentaryzmu polskiego. Odbyte tu sejmy walne koronne i Trybunał Koronny dają takie prawo Piotrkowowi Trybunalskiemu.

W samym Piotrkowie słyszy się głosy aprobaty, ale i zwątpienia. Że niby Muzeum Okręgowe, mające swą siedzibę w zamku królewskim pęka w szwach, a tu ma powstać nowe muzeum? Właśnie dlatego, że Muzeum Okręgowe nie ma miejsca na przykład na pracę z młodzieżą, że 1000 eksponatów etnograficznych leży w skrzyniach, potrzebny jest oddział, filia muzeum — **Muzeum Miasta Piotrkowa Trybunalskiego.** Ono jak żadne inne byłoby predestynowane do gromadzenia pamiątek po piotrkowskiej epoce sejmowej i trybunalskiej.

Czy jest gdzie takie muzeum umieścić? Owszem. Należy je umieścić w gmachu byłego internatu Studium Nauczycielskiego, wcześniej Liceum Pedagogicznego, a jeszcze wcześniej Seminarium Nauczycielskiego. Leży ta zabytkowa budowla w samym centrum Piotrkowa. Wzniesiono ją przed wiekami na fragmencie murów obronnych powstałych w czasach Kazimierza Wielkiego. Muzeum parlamentaryzmu byłoby naukową atrakcją dla miejscowych i turystów. Ucieszyłby się z tego duch wielkiego króla, który sześć wieków temu rozpoczął dzieło, by Polska rządem stała.

Nie wiadomo, co się stało ze złotem królowej Bony. Może i dobrze, że słuch o nim zaginął. Ma bowiem Piotrków Trybunalski inne, bardziej istotne tradycje i korzysta z nich coraz obficiej.

LEKSYKON ŁÓDZKI

RATUSZ

Jeśli uznać, że ratusz jest symbolem miejskości, to Łódź, wyniesiona do rzędu miast już w roku 1423 przywilejem Władysława Jagiełły, przez całe wieki pozostawała wsią. Nic więc dziwnego, że biskup włocławski Jakub Uchański w dokumencie z r. 1561 jakby przypomniał łódzkim mieszczanom wstydliwą sprawę: „Dla ich własnej wygody i korzyści pozwalamy im pobudować ratusz z jatkami, o ile uznają to za potrzebne".

W dwadzieścia cztery lata później władze miejskie zawarły umowę z niejakim Maciejem Doczekałowiczem, mocą której zobowiązany został do zbudowania swoim kosztem na środku rynku ratusza złożonego z paru izb różnej wielkości, sieni i stajni z prawem szynkowania łódzkiego piwa, wina a nawet gorzałki. Ze swej strony miasto zobowiązało się zbudować swoim kosztem „wieżycę cudowną", która miała budowli przydać okazałości. Doczekałowicz wywiązał się z umowy budując karczmę, ale niszczony przez konkurencję, mimo zwolnienia od podatków zmuszony był ratusz sprzedać i przeszedł on w ręce Jana Kamizeli.

Ale i następcy budowniczego nie poszczęściło się, okazała budowla wymagała śpiesznego remontu, a rajcy po dawnemu obradowali w mieszkaniu burmistrza zamiast na ratuszu. Podjęto więc próbę wzniesienia nowego budynku upoważniając do tego niejakiego Wojciecha Sagietkę. Niezależnie od niego uprawnienia do budowy nowego ratusza oraz karczmy jako ekwiwalentu poniesionych kosztów otrzymał nie znany bliżej Jan Szklarz. Nie wiadomo, czy te projekty zostały zrealizowane, choć z różnych dokumentów wynika, że jeszcze na początku XVIII wieku Łódź mogła się poszczycić posiadaniem ratusza. Jak podaje Bohdan Baranowski ostatnia wiadomość na ten temat pochodzi z 1727 roku, kiedy władze ponownie zamierzały remontować budynek. Widocznie nie zgromadzono odpowiednich funduszy, skoro dane pruskie z końca wieku XVIII mówią wyraźnie, że Łódź ratusza nie posiada.

I stan ten trwał przez lat kilkadziesiąt, aż do wizyty Rajmunda Rembielińskiego, który potrafił przeforsować dekret zatwierdzający wniosek Komisji Wojewódzkiej o uczynieniu Łodzi osadą fabryczną. Decyzji tej zawdzięczało miasto rozszerzenie terenów i wytyczenie tzw. Nowego Miasta, które stanowiło rejon dzisiejszego placu Wolności.

W roku 1820 na Starym Mieście stanął drewniany ratusz, w którym pomieścił się magistrat, mieszkanie burmistrza i areszt. W pobliżu wzniesiono wieżę strażacką i szopę na sprzęt gaśniczy.

Ale ten ratusz nie długo służył burmistrzowi, okazał się za skromny na łódzkie aspiracje. Toteż w 1826 r. Komisja Wojewódzka ogłosiła przetarg na budowę kolejnego ratusza zlokalizowanego już na Nowym Mieście. Budowy podjęli się: Jan Lebelt, Gottlieb Trautmann i Fryderyk Sellin. Majstrowie (budowniczy, stolarz i ślusarz) zobowiązali się przekazać budynek miastu do 24 czerwca 1827 r. i dotrzymali słowa, chociaż pośpiech nie wyszedł budowli na dobre, gdyż w późniejszych latach wykryto wiele fuszerek.

Ratusz ten, wykonany według projektu nieznanego architekta, odznaczał się, zgodnie z ówczesną modą, harmonią proporcji i ujmującą prostotą całej bryły. Stanowi dziś jeden z najwartościowszych zabytków łódzkich figurujących we wszystkich liczących się katalogach. W roku 1832 sylweta budowli zmieniła się: przybyła dobudowana wieża zegarowa. Sprawił to, kłopotliwy początkowo podarek ozorkowskiego fabrykanta Fryderyka Schloessera, który znając sentyment Rembielińskiego dla Łodzi, za jego pośrednictwem ofiarował miastu kupiony w Berlinie imponujący zegar. Był więc zegar zbudowano nawet specjalną wieżę, która miała go pomieścić, ale nie było człowieka, który by potrafił uruchomić maszynerię. Znaleziono wreszcie zegarmistrza w Poddębicach, ale w ostatniej chwili wycofał się z umowy. Wreszcie niejaki Michał Strangos, pod koniec roku 1834, przeprowadził druty od mechanizmu zegara do dzwonów kościoła ewangelickiego i zegar zaczął służyć miastu. Urządzenie psuło się jednak tak często, że zdecydowano się na jego przeróbkę, kiedy w Łodzi osiadł Ernfried Schraeter. Od tej chwili (a był to rok 1837) zegar łódzki zaczął sam wydzwaniać godziny, a nawet kwadranse. Nienaganne chodzenie zegara nastąpiło więc w dziesięć lat po oddaniu budowli, która wreszcie, od roku 1830, gdy zwolniły się pomieszczenia zajmowane czasowo przez fabrykanata Kopischa, zaczeła być wykorzystywana przez miasto zgodnie z przeznaczeneim.

W roku 1914 budynek ratusza został uszkodzony przez lotniczy granat niemiecki. Wówczas to władze municypalne przeniosły się do pobliskiego budynku po szkole rzemieślniczej (dzisiejsze Muzeum Archeologiczne). Po odzyskaniu niepodległości w dawnym ratuszu ulokowano archiwum miejskie, które mieści się tutaj do dziś. Sam zaś gmach dawnego ratusza jest najpopularniejszą budowlą Łodzi znaną z dziesiątków reprodukcji i pocztówek w całym kraju.

ZYGMUNT FLATOWICZ

Fot.: Z. Walter, J. Madeyski

JAN BĄBIŃSKI

DO WIDZENIA TAJGO!

(Korespondencja własna)

SYBERIA. Starczy to jedno słowo. Kojarzy się z ogromną, okrutną dla ludzi pustynią, z tajgą, i z tundrą, z kibitką, katorgą, i zesłańcami. Kiedyś słowo Syberia budziło lęk i przerażenie. Było synonimem okrutnego losu i straszliwej poniewierki po bezbrzeżnych białych obszarach wiecznej zimy. Dziś inaczej już się patrzy na Syberię. Dziś to już pewne, że te ongiś nieogarnięte, mroźne, tajemnicze i puste przestrzenie z wolna przekształcić się mogą w radzieckie El Dorado.

Gdy się przelatuje z Chabarowska do Bracka nic się nie widzi z lotu ptaka innego jak nie kończącą się tajgę pociętą gęsto górskimi łańcuchami. Całe masywy pokryte są wiecznym śniegiem. Niżej, na zboczach i jeszcze niżej w dolinach ciągnie się przeogromna tajga. Słowo to jest pochodzenia jakuckiego. Przyjęło się we wszystkich językach. W Pheniane oglądałem operę koreańską „Do zobaczenia tajgo". Jeśli coś rozumiałem z tej opery, to właśnie ciągle powtarzające się w chóralnych śpiewach słowo — tajga. Bo tajga zalega nawet północne obszary półwyspu koreańskiego. Towarzyszy ludziom od Morza Ochockiego po sam Ural.

Gdy przelatuje się z Bracka do Omska i dalej właśnie do podnóża Uralu, to również nic się nie widzi innego jak mroczną, nieruchomą, zieloną latem i białą podczas zimy nieprzebytą tajgę, z której zionie smutkiem i przygnębieniem.

Dla wielu ludzi przez wieki całe Syberia oznaczała koniec niemal świata. O Sybirze przejmująco pisali poeci, chociaż według mnie najbardziej wstrząsające dzieło to „Wspomnienie z Domu Umarłych" Fiodora Dostojewskiego. W Omsku nad Irtyszem Dostojewski przepędził na ciężkich robotach cztery lata. Potem to opisał. I nikt mu nie dorównał w opisie syberyjskiej katorgi.

Nad Irtyszem

Omsk obok całego mrowia innych wielkich, tętniących życiem i całkowicie europejskich miast dowodzi w sposób uderzający, jak głębokim przemianom ulega współczesna Syberia. Na lotnisku dużo większym niż warszawskie Okęcie i bez porównania ruchliwszym, tłumy turystów. Z wszystkich kontynentów.

W poczekalni stosy map i folderów w różnych językach. Najwięcej tego po japońsku. Bo też najwięcej chyba obecnie kręci się po Syberii turystów właśnie z kraju samurajów. Przywodzi ich w te strony ciekawość. Ściąga interes. To w wielu wypadkach bisnesmeni lub przedstawiciele wielkich firm handlowych.

Japończycy jeżdżą na Syberię dla interesu. Anglicy jeżdżą bardziej dla przyjemności. Tajga z bliska to raj dla myśliwych. To zwarta ściana syberyjskich świerków, cudownych jodeł i niezniszczalnego modrzewia. I wszędzie pachnie z końcem lata liliami, jaśminem, krzewami jagód i krzakami rodendronów. Turysta jeździ i szuka. Na Syberii znajdzie wszystko. Odkryje tu alpejskie zjazdy, wieczne lodowce, dymiące wulkany, najpotężniejsze na tym globie rzeki, nieprzebyte puszcze pełne wilków, rysi, lisów i polarnych niedźwiedzi. Jak mu się poszczęści, trafi na sobola, a nawet na syberyjskiego tygrysa, choć to już nawet nad Ussuri taka sama rzadkość jak u nas żubry w spalskiej puszczy. Ta zwierzyna zachowała się już tylko w rezerwatach.

W zeszłym roku dotarło do Syberii 70 tysięcy zagranicznych turystów. Problemem są hotele. Jest ich po prostu za mało. Te, które wybudowano w ostatnich latach w Nowosybirsku, Irkucku, Chabarowsku czy Bracku, to najwyższa światowa klasa.

Japończycy

W Bracku życie koncentruje się na placu przed hotelem „Tajga". Zawsze pełno tu przechodniów. Mamusie spacerują z dziećmi wokół sporego basenu. Babcie drepczą z tobołkami po zakupy do pobliskich sklepów. Mężczyźni siedzą na kamiennych ławach i grają w szachy. Wszyscy grają w szachy. Starsi i młodzi, kobiety i babcie. Coś niebywałego. Takiej masy różnych ludzi grających równocześnie w szachy na wolnym powietrzu nigdzie dotychczas nie widziałem.

Przy ławkach stoją Japończycy i gapią się. Nie odrywają od szachownic oczu. Wydają się być zaskoczeni. Jeden z nich, starszy pan w złoconych okularach, z którym zaznajomiłem się, gdy rankiem odbywał na świeżym powietrzu poranną gimnastykę, zapytał:

— **Oni tak zawsze?** — wskazał ręką na dwóch starców, którzy zdawali się nie widzieć świata poza rozłożoną przed nimi szachownicą.

Potem Japończyk zaczął z innej beczki.

— Czy jest w Polsce kolorowa telewizja?

— Na ile rodzin przypada u was jeden samochód?

— Ile trzeba średnich pensji miesięcznych, żeby pokryć koszty wycieczki do Japonii?

Pytania były fachowe. Zadawał je ktoś w ekonomice otrzaskany. Rzeczywiście, to był bisnesmen. Przyjechał tu jako turysta. Zapłacił za dziesięciodniową wycieczkę po Syberii 1500 dolarów. No tak, ale przy sposobności chciałby się wywiedzieć jakie są możliwości zakupu na Syberii dużych ilości „timber", no wie pan, chodzi o tarcicę. A u was w Polsce macie „timber" do sprzedania? Nie, jaka szkoda, ale zdaje się, że węgla to wam nie brakuje. Japończyk sondował to z jednej strony, to z drugiej, ale gdy zadałem mu zdawkowe pytanie, co mu się na Syberii podoba a co mu zwyczajnie nie leży, błysnął na mnie spod okularów i odpowiedział dyplomatycznie:

— Sorry, ale jestem tu za krótko żeby się wypowiadać.

Wieczorem grupa japońskich turystów, wszystko dostojni i poważni panowie, rozsiadła się przy stolikach w reprezentacyjnej restauracji hotelowej. Otóż w piątki i soboty są tu tańce. Przygrywa orkiestra i wirują pary na parkiecie. Wtedy są kolejki. Po bilety. Bo miejsc na sali mało, a chętnych do zabawy wielu. Zapowiadacz co pewien czas postępuje kilka kroków do przodu, ucisza ręką orkiestrę i głosi spiżowym głosem, że z okazji urodzin takiego to a takiego obywatela gorodu Bracka, orkiestra wykona takie to a takie tango. Japończycy zrywają się z miejsc. Są teraz weseli, rozbawieni, są po koniaczku i pełni gotowości. Ale rzadko udaje się im jakąś dziewoję poderwać.

Japończyk w złoconych okularach podchodzi do mnie z pytaniem:

— Dlaczego one tańczą same?

— The girls?

— No tak, dlaczego te dziewczęta wolą tańczyć ze sobą?

— Nie wiem — odpowiadam dyplomatycznie. — Ale myślę, że to taki zwyczaj.

Zdobywanie Syberii

Popatrzyłem na grubasa z uśmiechem. Gdzie się pchasz człowieczku, czy nie widzisz jakie to dorodne plemię ci wszyscy Sybiracy. Chłopy jak dęby. Dziewczęta jak topole. Być może wielu z nich to potomkowie owych nieustraszonych Kozaków, którzy usiłowali przeniknąć w tutejszą tajgę już w XVI wieku.

Jermak, tak jest, Jermak, kozak Jermak Timofiejewicz, który sforsował Irtysz już w 1582 roku. Zagadkowe są wciąż okoliczności śmierci Jermaka. Profesor S. Nowakowski tak o tym pisał w niewielkiej broszurce wydanej nakładem „Roju" pod tytułem: **„Zdobywanie Syberii".**

„Wyczerpany przez trudy tej wyprawy Jermak zatrzymał się na jednej z wysp Irtysza niedaleko ujścia Wegi. W ciemną i dżdżystą noc 6 sierpnia 1585 roku, gdy Kozacy byli pogrążeni we śnie, Tatarzy urządzili nagły wypad i wymordowali wielu z nich. Tej samej nocy zginął również Jermak, zdobywca Syberii. Jermak wpadł do wody, gdzie ciężka zbroja, którą otrzymał od Cara Iwana Wasylewicza, uniemożliwiła mu pływanie i utonął. Inne kroniki historyczne jednakowoż twierdzą, że Jermak skończył życie na polu walki i że tylko ciało jego wrzucili Tatarzy do Irtyszu".

W następnym wieku Kozacy dotarli jeszcze dalej na Wschód.

W 1631 roku założyli obronną warownię w lesie, tuż nad brzegiem Angary w pobliżu dzisiejszego Bracka, który liczy już ponad 200 tysięcy mieszkańców. Kozacki fort zachował się. Stoi jak stał. Oglądałem go w zadumie i z najwyższą ciekawością. Zbity z okrąglaków wciąż robi duże wrażenie. Przypomina nieco forty budowane przez pionierów na Dzikim Zachodzie. Wysoka drewniana wieża. O maleńkich okienkach i wielu otworach, z których w razie potrzeby wysuwały się kozackie rusznice. Kozacy parli wciąż dalej na Wschód. I znaczyli swój niepowstrzymany marsz takimi właśnie fortami. Te strażnice swą rolę spełniły. Utrzymywały w ryzach nie tylko tatarskie hordy. W czasie tubylczych powstań i buntów spełniały za caratu funkcje samodzielnych punktów oporu. W syberyjskich warunkach były twierdzami nie do zdobycia.

Foto: Archiwum

Komunikacja

Pamiętam, jeszcze z przedwojennych czasów lekcję geografii w Gimnazjum Państwowym w Katowicach. Nasz profesor, obieżyświat zawołany, który dotknął swą stopą wszystkich niemal kontynentów, już wówczas rozwodził się długo i malowniczo o dzikim niepowtarzalnym krajobrazie Syberii. Wykład był tak porywający, że rozpalił wyobraźnię nas wszystkich. Później profesor przeszedł do omawiania nieprzebranych bogactw, jakie kryje w sobie ziemia na wschód od Uralu i wreszcie zapytał.

— A teraz kto mi powie dlaczego tak trudno przychodzi zagospodarowanie i wykorzystanie tych bogactw?

— Niskie temperatury...

— Słabe zaludnienie...

— brak gruntów ornych...

— Wieczny śnieg...

— Ponure tradycje, które ludzi odstraszają od Syberii...

Profesor wciąż kręcił przecząco głową.

Wreszcie podniósł się jeden z uczniów i odpowiedział.

— Brak linii komunikacyjnych.

— Brawo! — wyrzekł profesor — tak jest, brak komunikacji; to sprawia, że nieprzebrane bogactwa wszystkich niemal kopalin wciąż czekają na Syberii na rękę człowieka.

Ta lekcja przypomniała mi się w momencie, gdy zapadła w Moskwie decyzja o budowie BAM, nowej kolejowej magistrali od Bajkału do Amuru przez sam środek bezludnej syberyjskiej tajgi. To było to. Uderzenie przepotężnej mocy. Za jednym zamachem otworzy te wszystkie rejony, nad którymi przelatywały tylko samoloty.

Geologowie tu docierali. Ale od odkrycia chociażby złóż miedzi na niedostępnych przestrzeniach w pobliżu Udokanu, do ich wydobycia droga jest długa i nieprawdopodobnie też trudna. A są to złoża gigantyczne. Podobno przewyższają wielkością wszystkie pokłady miedzi w Stanach Zjednoczonych, Zairze i w Chile razem wzięte.

Bogactwo

To zresztą tylko przykład do ilustracji. A ilustracją jest cała bezmała Syberia, gdzie doprawdy wszystko się znajduje, więc zarówno ropa, rudy żelaza, węgiel, jak mnóstwo innych surowców, o których się dziś mówi, że są cenniejsze od złota. Tylko przykładem mogą być także rozległe pokłady ropy w rejonie Tiumenia. Już dziś dają one w przybliżeniu 50 milionów ton ropy rocznie. A jest to rejon trzykrotnie większy od Teksasu i jedynie w kilku procentach rzeczywiście w pełni geologicznie zbadany. Przyszłość rysuje się tu wielka. Ale lepiej równocześnie bez złudzeń. Podczas przedługiej zimy temperatura spada tu poniżej 60 stopni Celsjusza. Niesłychanego wtedy wymaga samozaparcia robota przy szybach wiertniczych. A latem ogromne przestrzenie zamieniają się w grzęzawiska, w których platformy wiertnicze z łatwością mogą zatonąć. Koszty tych przedsięwzięć są ogromne. Przypuszcza się, że na zagospodarowanie złóż ropy odkrytej w rejonie Tiumenia, Kraj Rad wyda w tym dziesięcioleciu 40 miliardów rubli.

Komunikacja, to jest ten problem. Pewnie, że to inne już czasy, i gdzie samolot nie doleci, tam lądują całe mrowia helikopterów. Ale ropy helikopterem się nie przewiezie. Nikt również nie słyszał, by miedź lub rudę żelaza wożono samolotami. To by przypominało interes z mydłem pana Zabłockiego. Stąd właśnie decyzja o budowie transyberyjskiej magistrali kolejowej od Ust-Kuta na północ od Bajkału do Komsomolska na Amurze. To największa komunikacyjna inwestycja tego stulecia. BAM przebiegnie na długości kilku tysięcy kilometrów przez dziewiczą dotychczas tajgę. Roboty przy tej magistrali dobiegły półmetka. Pierwszy pociąg przeleci nową linią prawdopodobnie już w 1983 roku. W komentarzu na ten temat londyński „Times" pisał 20 września 1978 r.:

— „Żaden inny kraj na tym globie ani by mógł się porwać na taką koncentrację czynnika ludzkiego i zasobów materialnych, by przeciągnąć magistralę kolejową tej długości przez obszary praktycznie nie zamieszkałe, więc przez góry, zamarznięte bagniska i nie kończącą się ośnieżoną tajgę".

To jest prawda. Zachodni eksperci dowodzą, że BAM będzie kosztował 15 miliardów dolarów. Możliwe, ale te nakłady szybko zaowocują. Zwrócą się na pewno. I to w czasie stosunkowo krótkim. Powinny się zwrócić. Ja o tym dlatego, żeby unaocznić ogromny i dla wielu może wręcz niepojęty wysiłek jaki podejmuje od pewnego czasu Kraj Rad dla zagospodarowania Syberii. Bo zdaniem wszystkich, kto w tej dziedzinie się liczy, Syberia jest przez naturę najbogaciej wyposażona we wszystko, co może służyć „homo faber", więc człowiekowi, który chce produkować rzeczy dobre i ludziom niezbędne dla podniesienia jakości życia.

Młodzież buduje BAM

Grupkę młodych ludzi tryskających zdrowiem i dobrym humorem spotkałem w Omsku. Wracali z urlopów. I zaraz posypały się opowieści, które z trudem dałyby się zmieścić w długim nawet opowiadaniu. Bo Syberia to kraj stworzony dla ludzi dzielnych, odważnych, zahartowanych i nie lękających się żadnego trudu. Syberia to kraj wiecznego mrozu. Przypominam sobie lipcowe południe na ulicach Bracka. Świeciło jasno słońce. Nie było wiatru. A jednak poprzez słoneczne promienie przedzierał się od tajgi jakiś dziwny i dojmujący chłód, który przenikał wszystkich. Trudno tutaj mimo wszystko się żyje i trudno pracuje.

Robi się wiele, aby zmienić przykry obraz Syberii, który się utrwalił przez pokolenia. Widziałem Omsk, Brack, także Chabarowsk, choć to już Daleki Wschód, zawsze jednak przedłużenie Syberii. Te miasta niczym się nie różnią od tych dzielnic i osiedli, które buduje się chociażby w Łodzi. Podobne betonowe bloki. Wszystkie w nich wygody i oczywiście centralne ogrzewanie. Parki, zieleńce, teatry, kina, doprawdy, robi się ogromnie dużo, aby mieszkało się tu dobrze i przyjemnie. Jeden z młodych, którzy wracali z urlopu na budowę BAM, tak skończył swą opowieść:

— U nas sto rubli nie pieniądz, sto kilometrów nie odległość, sto gramów nie wódka...

Syberyjska skala

Rzeczywiście, wszystko co się dzieje na Syberii dzieje się w innej zupełnie skali. Właśnie syberyjskiej, wielkiej, skrojonej na potrzeby całego subkontynentu. Sam Brack to właściwie liczne i niewielkie osiedla rozrzucone na przestrzeni setek kilometrów. Widziałem w Chabarowsku park, który by zajął powierzchnię połowy Łodzi. O zaporze w Bracku na Angarze i o tamtejszej elektrowni wolałbym zamilczeć. Dość powiedzieć, że na budowę zapory poszło 5 milionów ton cementu, co by starczyło na wybudowanie miasta mniej więcej wielkości właśnie Łodzi. Wszystko na Syberii jest inne. Jest większe, potężniejsze. Robi przytłaczające wrażenie.

Dobrze się zarabia w Bracku. Średnio leci te 350 rubli miesięcznie. To ładny grosz. Zarobek trzykrotnie wyższy niż gdzie indziej. Do tego dochodzą 42 dni urlopu. Dochodzą też inne przywileje i udogodnienia. Jednak nie wszyscy wytrzymują. Nie każdy jest przecież ze stali. Rotacja kadr jest wciąż dużym na Syberii problemem. Posiedzi jeden z drugim, jak słyszałem, dwa, trzy, cztery lata, zarobi parę tysięcy rubelków i wraca skąd był przyjechał. Do ciepłych stron wraca. Bo Sybir to Sybir. Wiele rzeczy na Sybirze człowiek zmienić może, ale klimatu nie ruszy. A klimat surowy, dla twardych jedynie ludzi do strawienia na metę dłuższą niż lat kilka.

Miast jednak przybywa. Te, które już były, szybko się rozrastają. Bo Syberia jest niczym magnes. Mimo wszystkich niedogodności ściąga natury o twardym charakterze i skłonnościach do wypróbowania samych siebie. A takich jednostek najbardziej tu trzeba. Już dziś Syberię zamieszkuje 26 milionów ludzi. Ich liczba wzrasta. Po uruchomieniu nowej, transyberyjskiej magistrali ten proces jeszcze się nasili. Maksym Gorki pisał kiedyś, że: **„Syberia to ziemia śmierci i kajdan".** Tak było. Ale dziś Syberia — rezerwat największych na tym globie zasobów surowcowych — upodabnia się coraz bardziej do europejskiej części Kraju Rad. W Chabarowsku czy Bracku żyje się nawet dużo dostatniej niż w Kazaniu czy nawet w Tule.

A co do tajgi to długo jeszcze zostanie jaka była. Będzie tajemniczą krainą, w której panuje wieczna cisza.

LARYSA SZCZASNAJA

ZWYCIĘSTWO

Pomnę gwałtowną szarość świtu
„Wstawajcie szybciej, dzieci",
Ten dźwięczny okrzyk: „Niemiec pobity"
Od drzwi do drzwi przeleciał.
Pomnę bez, co krzewił się za płotem
(Dozorca odpędzał dzieci)
Ten bez, co długo czekał potem,
By w dniu radości świecić.
I przynieśliśmy mgły perły rano:
W rosie grona szaroniebieskie.
Dlaczego płaczesz mamusiu, mamo?
Dlaczego wszyscy płaczecie?
Dziś trzeba śmiać się, trzeba inaczej
Lecz nieproszona gruda w gardle,
Wojenne dzieciństwo z nami płacze,
To ona tak w piersi drapie.
Mgła się powoli ku słońcu wznosi,
Pamięć zachowa na zawsze:
Plac, co się ściska, zwycięstwo głosi
I w niebogłosy płacze.

Przełożył: KONRAD FREJDLICH

NIKOŁAJ GOWORKOW

★ ★ ★

Jeśli spłoszę cię krzykiem we śnie,
Znaczy wojna trwa we mnie jeszcze.
To jej ogień wdarł się do pamięci,
Wyrwał mnie ze snu o tej porze
i znów rzucił przez śmierci
Jak w czterdziestym pierwszym.
Moją wiosnę spalił.
Sen mój wtedy zgorzał.
Przebacz mi, kochanie, proszę,
Jeśli nagle krzyknę w nocnej porze.

Przełożył: WASYL KOCZNOW

NIKOŁAJ GOWORKOW

NA BIWAKU

Przez dni i noce
myślałem,
że każdy świt jest ostatni
jak sen przed bojem.
Zmęczenie
rzucało mnie na ziemię,
milczenie.
Brakło już salw armatnich,
by podnieść mnie z ziemi pustej
i do menażki z ogniem
nachylić spękane usta.

Przełożył: WASYL KOCZNOW

WŁODZIMIERZ ŻUKOW

TRZEBA MI TAK NIEWIELE

Lubię gdy jesień zwarzy zieleń,
Pól otwierając jasną przestrzeń.
Jak dobrze, trzeba mi tak niewiele,
Jasno tu od miłości wszeszłej.
Żurawie w niebie widzieć jeszcze
I spadłych liści słyszeć szelest!

1946

Przełożył: KONRAD FREJDLICH

IWANOWO - ŁÓDŹ

Publikowaliśmy na łamach tygodnika „Odgłosy" wybór tekstów pisarzy z bratniego miasta Iwanowo. W iwanowskiej gazecie obwodowej „Raboczyj Kraj" zastępca naczelnego redaktora — Walerij Antipow fakt omówił w notatce zatytułowanej — „PISARZE — ORĘDOWNIKAMI PRZYJAŹNI". Poniżej — zamiast wstępu do kolejnej prezentacji dorobku pisarzy z Iwanowa — przedrukowujemy notatkę iwanowskiej gazety „Raboczyj Kraj". Notatka ta ukazała się w 251 numerze iwanowskiego dziennika z 1978 roku.

Gazety i periodyki wychodzące w Łodzi — największym ośrodku przemysłu włókienniczego w Polsce — poświęciły wiele uwagi materiałom informującym o życiu ZSRR, a przede wszystkim o życiu bratniego miasta — Iwanowa.

Szczególnie dużo miejsca udziela takim publikacjom tygodnik społ.-kult. „Odgłosy", którego popularność sięga daleko poza region łódzki. „Raboczyj Kraj" informował już swoich czytelników, że na początku bieżącego roku utwory prozaików i poetów Ziemi Iwanowskiej przedstawione zostały na dwóch kolumnach „Odgłosów". „Odgłosy" ponownie udzieliły gościny autorom z Iwanowa. Otwiera ten wybór opowiadanie Wasyla Wiesielkanowa „Bocian", w przekładzie Barbary Jachowicz. W numerze znalazły się również wiersze Larysy Szczasnej, Władimira Żukowa, Gennadija Sieriebriakowa, Władimira Dogadajewa i Aleksandra Chromowa. Jako tłumacze wystąpili czołowi łódzcy poeci, którzy wiele zdziałali już dla upowszechnienia literatury radzieckiej w Polsce. Są to m. in.: Dorota i Tadeusz Chróścielewscy, Konrad Frejdlich, Mieczysław Michał Szargan, Jerzy Wilmański i Wasyl Kocznow. W posłowiu redakcja tygodnika poinformowała swych czytelników, że „Raboczyj Kraj" w Iwanowie zaprezentował na swych łamach twórczość pisarzy łódzkich. „Systematyczna wymiana kolumn poświęconych twórczości pisarzy miast — pobratymców: Łodzi i Iwanowa — piszą „Odgłosy" — bez wątpienia dobrze służy wielkiemu dziełu zbliżenia naszych narodów, umocnieniu przyjaźni, której początek dała Wielka Rewolucja Październikowa".

Podobnie, jak nasi koledzy z „Odgłosów", redakcja „Raboczego Kraju" będzie kontynuować publikacje zaznajamiające społeczeństwo Iwanowa z twórczością pisarzy łódzkich i regionu łódzkiego.

WALERIJ ANTIPOW

WŁODZIMIERZ ŻUKOW

WDOWA

Jakże gorzkie krzywdy i rozpacze,
Wciąż obmowy słyszysz pośród gwarów.
Twoje oczy są zniszczone płaczem,
Rzęs nie możesz podnieść od ciężaru.

To dlatego zbędne ci zwierciadło?
Usta nie krasisz —
nawet po kryjomu.
Rzekną: babie zbytków się zachciało,
Nawet świętych wyniosłaby z domu.

Odżyła. Zapomniała. Sprawa jasna,
Ma dla kogo pielęgnować swą urodę.

A czy całym sercem nie kochałaś?
Czy w kondukcie idąc nie szlochałaś?
Nie czekałaś?
W duszy pochowałaś
Jeszcze w roku siedemnastym.

Po raz setny dotkniesz oczu dłonią,
Znowu spytasz serca i umysłu:
„On by pojął?". Tak, on by to pojął,
On by dał odprawę czczym wymysłom.

Miał urodę i był z piękną duszą,
Jeden z tych, co wszystko w lot pojmują...
Jest głęboki śnieg pod Starą Russą,
Płatki śniegu wśród krzewów wirują.

Nie ma nigdzie czołgów ni piechoty,
Tylko piramidka z gwiazdą na cmentarzu.
Powiem ci to prawem ocalonych,
Powiem ci to prawem niespalonych:
Nie męcz serca krzywdą i potwarzą.

Twego losu linia nie skończona,
Życie
Wie najlepiej co ciąży ku czemu.
Unieś rzęsy i narzuć na ramiona
Chustę,
Która tak się podobała jemu.

Kto ma cię prawo sądzić i znieważać?
Za krzywdy uroda twa nagrodą.
Z tobą jest słuszność... Ludzka pamięć?
Niech sobie ludzie, co chcą plotą.

1959

Przełożył: KONRAD FREJDLICH

DMITRIJ SIEMIENOWSKIJ

NAD BRZEGIEM

Jak rzeka żwawa i zalotna
Kusząc i drażniąc zataczasz koła.
Potem z uśmiechem mimolotnym
Uciekasz ode mnie w otwarte pola.

Od dawna nie lubię głębokich jarów
I leśnych odmętów nade mną.
Tu wciąż paprocie czynią dziwne czary:
Niemota. samotność i ciemność.

Bezbrzeżnie miałaś w sobie światła,
Tyle nieba niosłaś w tej głębi.
Dla kogo twoją daremność lata
Rzucono w topiel jak błękit.

Tak mnie ciągnie za tobą w pole,
Do ognistego nieboskłonu.
Ale zda mi się, że wbrew woli
Tu stracę lato i jak niebo utonę.

Przełożył: WASYL KOCZNOW

WŁODZIMIERZ SMIRNOW

STO LAT

Na stary ład,
Na dobry ład
Przyjaciołom życzę:
„Sto lat!" *)
Sto lat!
Bardzo są urodziwe
Słowa takiego brzmienia.
Wyrażają
Wszystko do końca
Nawet bez tłumaczenia.
Sto lat —
Sto lat
Dęby
Stoją,
Rzeki płyną,
Ludzie żyją.
Żyją ludzie —
Tak jak zechcą.
I tkają, i orzą,
I koszą trawy...
Sto lat —
Sto lat
Tobie
Moskwo i Warszawo!
I lekko, i prosto
Od spojrzeń,
Od toastów.
Sto lat,
Sto lat
I jeszcze,
Sto razy po sto!

Przełożył: KONRAD FREJDLICH

*) W oryginale po polsku.

GIENNADIJ SIERIEBRIAKOW

ŁABĘDZIE

Lubię łabędzie
Zimne i czyste jak poranna Ładoga.
Lubię łabędzie
Białymi lampami pochylone nad moją drogą.
Lubię łabędzie
Za zwiewność ustępującej wody
Lubię łabędzie —
One rosną z lilii.
Są jej płodem.
Od lat dziecięcych ukrytych w legendzie
Wciąż jeszcze słucham łabędzi jak fletu.
A teraz rozumiem —
Bajarz był po prostu poetą.
Gdy mówił, sam w cudowności te wierzył
I dawał je ludziom jak tajemną wiedzę.
Wierzę, że w toni porannej jeziora
Z zimnych i czystych jak śniegi lilii
Dumne ptaki się rodzą w chwili,
Gdy rzeki spływają z błyskawic.
Widzę je zawsze, nad koronką fali.
Lubię łabędzie
Niedostępne i piękne
Jak dzieciństwo
Zostawione w dali.

Przełożył: WASYL KOCZNOW

PIOTR SURJEJEW

ZŁOTY NASZYJNIK

Kiedy wracam pamięcią do krainy dzieciństwa — do tej mojej krainy wioskowych przestrzeni, gdzie (jak sądzę pełen naiwności) na nieprzetartych ścieżkach wciąż jeszcze kryje się ciepło moich bosych stóp — wtedy coraz częściej przychodzi mi na myśl: który z tajemnych zakątków tej baśniowej krainy był memu sercu ponad wszystko bliski?

Wiele jest ich, tych zakątków drogich tak i miłych. O samych tylko czeremchowo-wiklinowych, spowitych i przetykanych chmielem gęstwinach nad brzegami Sjebjerianki pisać mógłbym i pisać, i także pisać bez końca — o dąbrowach z ich nieprzebytym olszynowym poszyciem, a miedzianopiennych borach sosnowych i świetlistych gajach brzeziny.

Ale tak też, jak szczęśliwej matce, choć wszystkie własne dzieci wydają się najpiękniejsze, a mimo wszystko j e d n o z nich ukocha sobie najbardziej, tak i ja miałem jedno takie „dziecko", i bez tego „dzieciątka" moje wspomnienia byłyby niewspółmiernie uboższe. Jest nim łąka — łąka obok naszego domu, łąka obok naszego ogrodu, łąka otoczona zakrętem rzeki. Do tej pory brzegi tego zakrętu nikną w czeremchowo-wiklinowych chaszczach — łąka zaś, prócz tego, spoczywa w kołnierzu z wierzbinowych bazi — i nawet teraz gdzieniegdzie wśród korzeni przewijają się strużynki ze słabnących źródeł, a nad cichym, maleńkim strumykiem ciężko schylają się brzemienne krzaki czarnej porzeczki i, razem z nimi, piekące boleśnie liście pokrzywy. I również do tej pory zewsząd odurza tu cierpkie tchnienie kwitnącej wiązówki i chmielu. Ten właśnie, porośnięty dziko niewielki zakręt rzeki odgradza jakby moją łąkę od całego świata. Powiadam „moją", dlatego, że była to pierwsza swobodna przestrzeń, jaką dane mi było poznać poza ścianami izby. W lesie, jak słyszałem od dorosłych, grasowało leśne licho — bałem się więc tam chodzić; w wodach Sjebjerianki znów straszydła i poczwary — a łąka była moja. Zupełnie moja! Moja od dnia, kiedy spłyną z niej wiosenne wody, od pierwszego motyla, od pierwszego dmuchawca w trawie. Muszę przyznać, że i później, kiedy już wszystkie gąszcza leśne były gruntownie przetrząśnięte przez naszą dziecięcą gromadkę, kiedy już Sjebjerianka stała się niepodzielnie nasza i ośmieliliśmy się sięgać dna tej rzeczki (teraz tam — niestety! — wciąż pluszcze się dzieciarnia) — i wtedy łąka pozostała w mym mniemaniu moją niezbywalną własnością.

Rzeczywiście godna uwagi była to łąka. Urzekała nas. Trawa rosła tam tak wysoko, że całkowicie skrywała nasze bielejące jak lniana kądziel głowy. Stało się jakoś naszym zwyczajem budowanie szałasów we wszelkich możliwych zakamarkach („w lesie to każdy głupi zbudować potrafi" — mówiliśmy sobie). Zdarzyła się ochota budować szałasy z trawy na tej właśnie łące. Wybierali miejsca gdzie wyjątkowo wysoko unosiły się wiechy kostrzewy łąkowej, kłoski wyczyńca i tymotki. Ugniatali trawę, żeby otrzymać miękką podściółkę. A z każdego brzegu tej podściółki związywali sobie nad głową wierzchołki traw. Otrzymywało się tym sposobem przytulne gniazdko, w którym chłodno, świeżo i komarów nie ma; a w lesie komary pokonywały nas, przeklęte, nawet w słoneczny dzień. Prawda, że za te szałasy nieźle obrywało się nam od rodziców — ale idź, upilnuj nas!

Często przychodziły tu także dziewczynki. Przede wszystkim wabiły je kwiaty, których nie brakło na łące. Rwały więc naręcza goździków — i drobnych kwiatków, na które po swojemu mówiliśmy „zegarki", i kwiatków polnych znanych wśród ludu pod nazwą „śpiącz-

PAWEŁ SOŁONIN

SEKRET WYROBÓW Z LAKI

Dom mego dzieciństwa wypełniony był słodkawym, oleistym aromatem. Zapach pochodził od trocin, które spadały z ojcowskiego warsztatu. Wyglądem swym trociny przypominały strugany karton. Bo właściwie to był karton tyle że zupełnie go nie przypominał. Ojciec przynosił do domu wiązki prostokątnych, okrągłych lub owalnych „rur" i całe paczki grubych arkuszy. Od najmłodszych lat wiedziałem, że to się nazywa papier-mache i że wyrabia się go ze zwykłego kartonu. Najpierw wycina się pasy dostosowane wielkością do przyszłego wyrobu, potem smaruje klejem z mąki, nawija na drewniane formy (a jeśli potrzebne są proste arkusze, to po prostu kładzie się jeden na drugi) — i pod prasę. Następnie taką kartonową sklejkę moczy się w kąpieli z oleju lnianego i kładzie do specjalnego pieca na „smażenie". Ojciec brał pilę i z drugiej „rury" ciął kilka lub kilkanaście małych pudełek w zależności od zamówienia. Żółte drobne trociny strumykiem spadały na podłogę a za nimi leciały wiórki, lecz nie kręte jak z drewna, a podobne raczej do rybiej łuski.

Szlifowanie szkatułek (po wklejeniu od środka spodów) wymagało dokładności i czystości. Podstawowe narzędzia to do tej pory: strug, raszpla, papier ścierny. Często odnosiłem wraz z ojcem gotowe wyroby do wytwórni (co prawda tam nazywano je półfabrykatem) i wtedy z zaciekawieniem obserwowałem, co się dalej dzieje z naszymi pudełkami. Było mi trochę żal, gdy z żółtych stawały się czarne — szpachlowano je specjalną gliną zmieszaną z sadzą, gruntowano i pokrywano czarnym lakierem. Następnie, po wyschnięciu, jeszcze raz wygładzano je i nakładano kilka warstw lakieru bezbarwnego suszac każdą warstwę w specjalnym piecu.

Teraz dopiero wyrób mógł trafić do rąk artysty malarza. W początkowym stadium mogło się wydawać, że malarz niszczy to, co zrobił lakiernik, gdyż miejsca, na których miał powstać ornament, malarz „poleruje" sproszkowanym pumeksem, przez co powierzchnia staje się matowa. Jest to zabieg konieczny — tak przygotowana powierzchnia lepiej przyjmuje farby. Jedna z temper przygotowuje się z żółtka zmieszanego ze słabym roztworem octu (kiedyś używano nawet kwasu chlebowego). Do tak sporządzonej emulsji dodaje się odrobinę suchego pigmentu i dokładnie rozciera palcem. Tym samym „narzędziem" malarz rozrabia na talerzyku złoto — z najcieńszych listków metalu i gumy arabskiej. Palec jest bardziej czuły i dokładny, niż najlepsze narzędzie. Jest żywy...

Gdy farby gotowe, artysta zabiera się do malowania. Ale najpierw musi zrobić rysunek. Jego kontury nanosi na lakier nie pędzlem, lecz stępioną igłą osadzoną w drewnianym trzonku. A pędzli malarz ma nie mniej, niż 6—7. Wszystkie zrobione są z wiewiórczego ogona, a każdy z nich ma inne zastosowanie. Jeden służy tylko do bielenia (barwy są bardziej wyraziste, gdy nałożone są na biel), drugim artysta maluje większe plamy, trzecim — małe, czwarty pędzel potrzebny jest do malowania twarzy i odsłoniętych części ciała. Dwa najbardziej ostre pędzelki służą do malowania złotem i aluminium. Notabene — nie myje się ich nigdy. Po skończeniu pracy nakłada się na nie rureczki od gęsich lub kaczych piór, aby uchronić ostrza przed zniszczeniem.

Oprócz pędzli, stępionej igły, kieliszków i talerzyków do farb, w arsenale każdego artysty jest jeszcze wiele na pozór drobnych, lecz absolutnie niezbędnych przedmiotów, jak np. ławeczka na niziutkich nóżkach służąca jako podstawka pod ręce, aby nie drżały z napięcia, drewniana łopatka do mieszania emulsji jajecznej, pęk miękkich piór do czyszczenia powierzchni po pumeksowaniu, a także wilczy lub niedźwiedzi ząb (w ostateczności — krowi) do polerowania złota i aluminium po malowaniu. Do malowania bardzo drobnych metali artysta używa również lupy zegarmistrzowskiej. Wszystkiego zresztą nie da się tu wymienić, tym bardziej, że każdy miniaturzysta oprócz zwykłych, używanych przez wszystkich, posiada jeszcze dodatkowe indywidualne narzędzia pracy.

Po zakończeniu miniatury, wyrób jeszcze raz pokrywany jest bezbarwnym lakierem, tym razem już przez samego artystę, jeszcze raz suszony w piecu i wreszcie następuje moment ostatniej operacji — polerowania. Rytmicznie huczy motor obracający koło pokryte aksamitem i cienka warstwa specjalnego proszku. Na koło wykonuje się tzw. pierwsze, grube polerowanie. Ostateczne — powierza się tylko żywej skórze kobiecych rąk. Polerowaczki jakby głaszcza wyrób, uważnie wpatrując się w ornament: czy nie powstała jakaś chropowatość, zgrubienie lakieru, defekt, który może zniekształcić miniaturę? A gdy powierzchnia jest już gładka jak lustro, następuje pakowanie wyrobu i wędruje on z Palechu w świat, by swoim urzekającym pięknem wzbudzać w ludziach zachwyt i radość.

Przełożył:
WASYL KOCZNOW

Palech — miejscowość położona w obwodzie Iwanowskim (ponad 300 km na północny wschód od Moskwy), znana szeroko z wyrobów z laki ozdobionych pięknymi, kolorowymi miniaturami.

Fragment książki „Witaj, Palechu".

WITALIJ SIERDIUK

LENINGRAD I CIOTKA

Pociąg przybył do Leningradu wczesnym rankiem. Na plac przed Dworcem Moskiewskim Parfen Romanow wyszedł jako jeden z pierwszych. Przed kioskiem miejskiego biura informacji, który jeszcze przed minutą wydawał się zbyteczny na tym ogromnym placu, stała już długa kolejka. Zgrzytały tramwaje wyłaniające się z ciemności, a wessawszy pasażerów, ciężko odpełzały w mrok sennego jeszcze miasta.

Parfen nie potrzebował się spieszyć, ani też stać w kolejce do informacji: adres Jekatieriny Wasiljewny znał na pamięć, ale nie mógł przecież jechać do niej o takiej porze.

„A może by tak zapytać o jej telefon? — pomyślał Parfen. — Mieli zdaje się telefon... na stoliku, w korytarzu... a może na ścianie?... I tak nie mam co robić".

Parfen poczuł się pewniej i nawet zadarł trochę nosa: widać od razu, że on też przyjechał nie tak sobie. Może jest na delegacji, może ma tu też do załatwienia ważne sprawy. Nikt przecież nie wie, że stanął w kolejce, by dowiedzieć się o telefon jakiejś tam ciotki.

Właściwie Jekatierina Wasiljewna żadną jego ciotką nie jest, a on — żadnym tam krewniakiem — ot tak, dziesiąta woda po kisielu, cioteczny chlew wujecznej stodoły. Tak się jakoś przyjęło, że nazywa ją ciotką. W rzeczywistości Jekatierina Wasiljewna była bratanicą szwagra jego dziadka. Żadna tam krewna. Zwykła, jak to się mówi, iluzoria. Parfen widział Jekatierinę Wasiljewnę wszystkiego raz jeden, gdy dwadzieścia lat temu w nagrodę za dobre ukończenie szkoły był na wycieczce w Leningradzie. Jekatierina Wasiljewna przyjęła go wtedy jak kogoś bardzo bliskiego i zawsze to pamiętał. Ale to było dwadzieścia lat temu.

Zaczął zastanawiać się nad tym, że może lepiej będzie, jeśli wynajmie pokój w hotelu. Chwalić Boga, biedny nie jest, całe pięćset rubli wziął ze sobą.

— Co pan nic nie mówi, proszę pana? — trącił go stojący za nim mężczyzna, a on pośpiesznie nachylił się do oświetlonego okienka.

— Chciałbym dostać numer telefonu... Mam tutaj ciotkę...

— Adres? — niecierpliwie rzucono z okienka.

— Ulica Chałturina, numer... Na imię ma Jekatierina Wasiljewna...

— Nazwisko? — spojrzała na niego niemłoda już dama z jaskrawie umalowanymi ustami — pani na włościach w tej budce.

— Karpuchina.

Dama zadzwoniła gdzieś i oznajmiła, że na nazwisko Karpuchinej pod tym adresem żaden telefon nie figuruje w spisie.

— Jak to nie figuruje? Przecie pamiętam... W korytarzu stał... Z lewa od drzwi. Tam stały jeszcze różne buty... Sąsiedzi co rusz dzwonili. Tam aż osiem rodzin mieszka... Wiadomo, każdy ma swoje sprawy...

— Trzeba od razu mówić, że to komunalny telefon, a nie... buty stały.

Po chwili Parfen dostał do ręki kartkę z kilkoma cyferkami. Tłum przyjezdnych już rozpłynął się i wsiąkł w miasto. Na plac znów wróciła przedświtowa cisza. Parfen wsunął karteczkę głęboko do kieszeni marynarki i zdecydowanym krokiem ruszył przez plac w kierunku hotelu „Moskiewski", nad którego wejściem jaśniały neony.

Hall z długą drewnianą przegródką, za którą samotnie siedziała bardzo chuda i czarna jak kruk kobieta, był pusty i lśniąco czysty. Od tego lśnienia Parfen aż zdjął czapkę i nieśmiało zbliżył się do przegródki.

— Proszę pani, chciałbym się u was zatrzymać... Znaczy się, w hotelu.

— Nie ma miejsc — odpowiedziała machinalnie nie odrywając oczu od książki.

— Ja to rozumiem, że nie ma... Ale, może chociaż łóżko polowe dałoby, się gdzie postawić? Chociaż na jedną noc, góra na dwie...

— Powiedziałam już, że miejsc nie ma.

— To ci dopiero, — szczerze zmartwił się Parfen. Niezupełnie wierzył tej chudej, a i rozum podpowiadał, że w takim wielkim hotelu musi być chociaż jedno wolne łóżko. Po co by tu zresztą siedziała, jakby nie było miejsc. — Gdzie ja się podzieję, jak przyjdzie noc? Zabrzmiało to tak żałośnie, że nareszcie skrzywiła usta w uśmiechu.

— A ja myślałem, że w Leningradzie przyjmują gości z otwartą duszą. To takie sławne miasto... Już dwadzieścia lat będzie, jak tu nie byłem. A tu masz — dzień dobry i... do widzenia.

— Niech pan spróbuje w innych hotelach — oderwała się jeszcze raz od książki. — Tu wisi spis i numery telefonów.

— Serdeczne dzięki — ucieszył się Parfen.

Spis był długi. Parfen poprosił ją o papier i ołówek, długo przepisywał nazwy i telefony, zupełnie pewny tego, że przy takiej ilości hoteli, gdzieś się dla niego miejsce znajdzie. Dzwonił długo, dłużej, niż trwało przepisywanie. Na próżno — albo numer był zajęty, albo odpowiadano mu, że miejsc wolnych nie ma. A chuda zaczęła już spoglądać z nieukrywaną złością. Więc Parfen nie doszedłszy nawet do połowy spisu zdecydował nagle, że zadzwoni na Chałturina. W słuchawce rozległy się długie brzęczyki, a on wyobraził sobie, jak tam, w mieszkaniach, ludzie budzą się od tego wczesnego sobotniego dzwonka i przeklinają go. W końcu ochrypły głos męski odezwał się sennie:

— Słucham.

— Chciałbym mówić z Jekatieriną Wasiljewną, bardzo proszę...

— Nie ma jej w domu — głos brzmiał nieco gniewnie.

— Przepraszam.

Parfen odłożył słuchawkę i głośno wyraził zdziwienie:

— Gdzie ona o tej porze poszła? — Spojrzał na zegarek. — Jeszcze nie ma siódmej. Może, kolejkę po coś zajęła i poszła się odhaczyć?

— Niech pan tu głupstw nie mówi — rzuciła chuda ze złością. — Jaka kolejka?

— Co znaczy jaka... Zwyczajna. Jak zeszłego roku przyszły do nas śledzie w puszkach, to ludzie już z wieczora się zapisywali...

Z niedowierzaniem patrzyła na niego myśląc, że sobie z niej kpi. Zrozumiawszy, że nie kpi, zmarszczyła brwi i oficjalnie, stanowczo zapytała:

— Pan już wszystko załatwił?

— Nic nie załatwiłem.

— Wszystko jedno. Pan przeszkadza.

— Jasne. — Ruszając do wyjścia nie wytrzymał jednak i rzucił zjadliwie: — Książka pewnie bardzo ciekawa, co?

Ranek był szary od drobnego jak pyłek deszczu. Porywisty wiatr smagał jego twarz, potęgując uczucie krzywdy i złości. Chodził po mieście i nie wiedział, co ze sobą zrobić. Od tego chodzenia zaczęły go boleć nogi. Twardy jak żelazo, szary asfalt to nie to, co miękkie, kochane dróżki i ścieżki jego rodzinnej wsi pod Palechem. Latem przyjechał do nich i odszukał go znany historyk sztuki z Leningradu. O Parfenie dowiedział się w Palechu, widział tam jego miniatury. Przez cały wieczór Andriej Siergiejewicz zachwycał się jego pracami, aż Parfenowi było wstyd przed żoną i błagał go, by czasami nie rozdał ich znajomym, gdyż powinny znaleźć się w muzeum. Obiecał, że jak Parfen przyjedzie do Leningradu, to on sam się wszystkim zajmie.

Na ulicy Chałturina ogromni gladiatorzy w portyku Nowego Ermitażu uginali się pod nieludzkim ciężarem... Po kilkunastu krokach stał już przed właściwym domem. Nic się w nim nie zmieniło przez te dwadzieścia lat: koronkowa klatka starej windy, wysokie żelazne poręcze, odrapane ściany, które chyba od niepamiętnych czasów nie widziały pędzla i farby. Nie był pewny czy potrafi uruchomić windę i poszedł po schodach aż na szóste piętro. Zadzwonił.

— Ja do Jekatieriny Wasiljewny...

— Do Jekatieriny Wasiljewny? — kobieta spojrzała w głąb korytarza. — Nie ma jej, kochaniutki, pewnie jest u córki. Wnuczka zabawia.

— Przepraszam, przyjechałem z daleka, myślałem...

— Proszę, niech pan wejdzie. Może by pan zostawił jej wiadomość,? Dziś sobota, powinna zajrzeć. Dam panu kartkę.

— Dobrze — ucieszył się Parfen. — A później zadzwonię.

Jego kurtka i królicza czapka przemokły tak, jakby wyłazł spod rynny. Trzeba było schować się pod jakiś dach. Zjadł obiad w barze, a potem wsiadł do pierwszego z brzegu autobusu i pojechał nie wiedząc dokąd. Chyba z godzinę jeździł tak bez celu po Leningradzie. W końcu zdecydował, że czas już zadzwonić na Chałturina. Dowiedzieć się, co i jak.

— Słucham, — odezwał się niski, spokojny głos.

— Chciałbym z Jekatieriną Wasiljewną...

— Słucham pana.

— To pani?... Jekatierina Wasiljewna?..

— Tak. Słucham — tak samo spokojnie, bez żadnych emocji zabrzmiało w słuchawce.

— To ja, Parfen Romanow, z Palechu... Dzień dobry... ciociu.

— Dzień dobry — odpowiedziała bez entuzjazmu Jekatierina Wasiljewna.

— Ciocia mnie nie pamięta? — zdziwił się Parfen.

— Pamiętam, oczywiście, że pamiętam.

— A ja przyjechałem tu w pewnej sprawie i myślałem, że przy okazji zobaczę się z ciocią — Parfen bał się być szczery.

Chwilę milczała i jej „Proszę przyjechać" zdradzało, że nie widzi innego wyjścia.

— To ja zaraz będę — wypalił pośpiesznie. — Trochę daleko jestem, ale ja zaraz.

Gdy jechał w stronę Newskiego duch jego zbuntował się. „Co ja się będę napraszał? Wezmę i zaraz teraz oddam szkatułki do muzeum, pójdę na dworzec, bilet w zęby i.. całuję rączki". Aż poweselał od myśli, że tak łatwo znalazł mądre rozwiązanie. Wysiadł przy Newskim, zapytał jak dojść do muzeum i wkrótce już rozmawiał z panienką-przewodnikiem.

— Muszę się widzieć z waszym pracownikiem, Andriejem Siergieiczem...

— Niestety. Dziś pracownicy naukowi mają wolny dzień. A jutro niedziela. Proszę przyjść w poniedziałek.

— O, do diabła! — zdenerwował się Parfen — Jak się ma pecha, to już prawdziwego.

— Pan przyjezdny? — zapytała panienka lustrując jego odzienie.

— Tak, z Palechu. Przywiozłem wam tu coś-niecoś. Właściwie, to mnie jest wszystko jedno, ale Andriej Siergieicz tak usilnie prosił. — Przyszło mu do głowy, że panienka podejrzewa, że on kłamie i wyjął z walizki jedno pudełko. — Może pani zobaczyć.

Panienka ostrożnie wyjęła z pudełka szkatułkę z laki i od razu wpadła w zachwyt:

— O Boże, jakie to śliczne!

— No tak, rysunek jest czysty.

— Andriej Siergieicz mnie namówił. Przywieź, oddaj do muzeum, to cenna rzecz... — Wyjął pozostałe szkatułki. — Tu mam jeszcze inne, też Andriej Siergieicz kazał.

Dokoła Parfena i przewodniczki zebrało się już sporo ciekawskich. Szkatułki oglądano ze znawstwem, wymieniano u-

Dalszy ciąg na str. 10

ki" — powiadają, że gdy położyć je u wezgłowia, sprowadzają sen głęboki. Wyjątkowo życzliwą uwagę zwracało się na żółtogłowy pełnik — z niego już bardzo dogodnie jest wić wianki. Dziewczynki wiły je z zamiłowaniem i ochotą, wplatając od czasu do czasu w złocistą otoczkę gorący czerwienią goździk. Później, nałożywszy wianki, bawiły się na łące w swoje dziewczęce zabawy, a z tej łąki odchodziły wziąwszy się za ręce i nie zdejmując wianków — kropka w kropkę jak na tym obrazku, który widziałem u starszego brata w książce.

Z jakiegoś powodu pełnik i nam się spodobał. Nazywaliśmy te kwiaty dzwoneczkami ze względu na ich uderzające podobieństwo do prawdziwych dzwoneczków, którymi zamożniejsi wieśniacy przystrajali niekiedy odświętne zaprzęgi. Kiedy przekwitający pełnik zgubi złocisto-brązowe płatki, na ich miejscu pozostaje torebka nasienna przypominająca główkę maku, a w niej — najprawdziwszy mak! Ten „mak" zbieraliśmy w dłonie i żuliśmy zapamiętale. A do czasu, póki pełnik kwitnął, zbieraliśmy go także, niekiedy wspólnie z dziewczynkami, pomagaliśmy im nawet odnaleźć najdorodniejsze kwiaty. Tym sposobem stawaliśmy się w swoich oczach prawdziwymi rycerzami, i nie chodzi o to, że nie krzywdziliśmy je złośliwie, jak często bywało w ulicznym zamęcie — ale byliśmy dosłownie po rycersku uprzejmi i nawet uprzedzająco grzeczni. I spostrzegliśmy ze źle skrywanym zdumieniem, że dziewczynki, które w naszej chłopięcej gromadce braliśmy za stworzenia nielojalne i płaczliwe, nie są już takie jak sądziliśmy dotąd. A swoją pasją do wianków urzekły przecież i nas. Zaczynaliśmy także coś tam majstrować — splatać, i także przede wszystkim z kwiatów pełnika — tylko nie wianki. Według nas, chłopców, noszenie na głowie dziewczęcych ozdób było czymś uwłaczającym naszej godności. Ale na piersi na przykład... I pletliśmy — grubym splotem, nie żałując kwiatów — i śmiało wieszaliśmy na szyjach „złociste naszyjniki", jak nazywaliśmy to nasze dzieło.

— Nie naszyjniki macie, lecz końskie chomonta — powiedziała nam najcichsza z cichych, Lońka, i wszystkie dziewczynki roześmiały się głośno i zaraźliwie, ani trochę nie bojąc się tego, że mogłyby dostać od nas solidne lanie. Lecz i my roześmieliśmy się razem z nimi śmiechem głośnym i zaraźliwym. Chciało się nie tylko śmiać, ale też mówić coś, mówić, mówić gorąco i radośnie. Nie wiedzieliśmy wtedy — bo przecież nie mogliśmy wiedzieć i pojąć — że w naszych sercach z drżeniem otwiera się coś niby drzwi na spotkanie z pięknem, na spotkanie z ludzkim dobrem i urodą... I myślę teraz, że — bez wątpienia — właśnie w takiej chwili zaczyna się twórczość, może zrodzić sztuka.

...Niedawno znowu odwiedziłem łąki mojego dzieciństwa. Pełnik kwitnął tak bujnie, jak przedtem. Na skraju dębowego lasu zwanego Ramioszka, który zaczyna się właśnie tu, za łąką, dostrzegła mnie podstarzała już, o postawnym wyglądzie kobieta. Kobieta ta, półgłosem i jakby speszona, pozdrowiła mnie, wymieniając przy tym moje nazwisko i imię. Przyjrzałem się jej badawczo, próbując sobie przypomnieć — któż to jest? W rysach jej twarzy dawało się wyłowić coś znajomego i coś obcego zarazem. Domyśliłem się, że chciała coś mi powiedzieć, czy spytać mnie o coś, ale przeszkodziło jej w tym wyjście na skraj lasu dwóch lnianowłosych chłopaków. Piersi każdego z nich przystrajał „złoty naszyjnik" — także podobny raczej do końskiego chomonta.

— Jak i u was, chłopcy, bywało — uśmiechnąwszy się i obdarzywszy mnie niebieską głębią swoich oczu, przemówiła kobieta.

— Lońka! — O mało co nie wykrzyknąłem ze zdumienia.

Boże mój, jakże radosne było to spotkanie! I z „Lońką" — towarzyszką tak odległych dziecięcych zabaw, i — szczególnie — z tymi chłopakami ze złotymi naszyjnikami opadającymi na piersi. Pomyślałem wtedy: żyje, jak się okazuje, ciągle jeszcze żyje nasz „wynalazek" z lat chłopięcych.

Pozdrowienie i niski pokłon dla ciebie, ziemio rodzinna, dla ciebie, moja łąko, kolebko mojego dzieciństwa!

Przekład: IRENEUSZ DOMIENIK

LENINGRAD I CIOTKA

Dalszy ciąg ze str. 9

wagi. Parfen poczuł się głupio, szczególnie gdy zaczęto go pytać o cenę.

Panienka zaproponowała mu obejrzenie ekspozycji, zostawił więc w szatni przemoczoną kurtkę wraz z walizką i poszedł oglądać obrazy. Około godziny chodził jak zaczarowany, ale zmęczone nogi wkrótce dały o sobie znać. Na pożegnanie przewodniczka uśmiechnęła się czarująco i powiedziała:

— A więc spotkamy się w poniedziałek. Andriej Siergiejewicz przychodzi punktualnie o dziewiątej.

Drzwi otworzyła Jekatierina Wasiljewna. Chociaż się mocno postarzała, od razu ją poznał. Cichy, grzeczny, nieśmiały Parfen widać spodobał jej się, bo uśmiechnęła się do niego życzliwie.

Wysoki, ogromny pokój nic się nie zmienił przez te dwadzieścia lat. Mahoniowy fortepian, staromodny kredens pokojowy, szeroka kanapa, okrągły stół... Tylko lampy stojącej w rogu przedtem nie było.

Jekatierina Wasiljewna kazała Parfenowi zdjąć przemoczone buty i wyniosła je do kuchni, kurtkę powiesiła na wieszak i podając mu ręcznik zaprowadziła do łazienki. Po dziesięciu minutach gorąca herbata, konfitury z jagód i bułki już stały na stole. Opowieści Parfena o nowościach we wsi i dalekich krewniakach słuchała bez fałszywej radości i biadolenia i tylko czasami przerywała mu jakimś pytaniem.

Spokojnie i lakonicznie opowiedziała mu o tym, co z nią się działo przez ten czas, o córce, zięciu, wnuku. Nagle, nie wiedzieć kiedy, jak to często bywa z ludźmi, co przeżyli wojnę, zaczęła wspominać tamte lata, najcięższe i najboleśniejsze.

— ...Obie z Nadią już nie miałyśmy sił wstawać. Leżymy na łóżku razem, czuję, że Nadiusza moja robi się zimna jak lód i zdawało mi się że już nie oddycha. A pomóc niczym nie mogę, sił nie mam, by ręką ruszyć. Płakać, krzyczeć też nie miałam sił. Cóż, to wtedy była zwyczajna rzecz... I do tej pory nie wiem, czy to nie był cud, że do mojej sąsiadki przyszedł oficer, marynarz, chciał oddać paczkę od jej przyjaciół. A ona już przeszło tydzień leżała martwa... Kto nie wie, co to za relikwia, to dziwi się, dlaczego nie oddaję go do naprawy, — wskazała głową na fortepian.

Parfen dopiero teraz zauważył, że fortepian stoi tylko na dwóch nogach, a zamiast trzeciej ma podstawione krzesło.

— Chciałam, żeby porąbał wieko, z niego byłoby więcej drewna, ale jemu było żal... Bez łez w oczach patrzyła na ten fortepian i wydawało się Parfenowi, że ciotka na zawsze oduczyła się płakać w mroźne noce blokady.

Szary zmierzch gęstniał w pokoju. Jekatierina Wasiljewna zapaliła światło i rzekła:

— Ja już muszę jechać do swoich. Przyjechałam po termofor, starym kościom już zimno.

Parfen wstał.

— Przepraszam, na mnie też już czas.

— Dokąd?

Nie miał odwagi powiedzieć, że nie ma gdzie spać.

— Tu niedaleko. W jednym z hoteli obiecali znaleźć miejsce.

— Ani mi się waż! — po raz pierwszy podniosła głos ciotka. — Masz tu klucze. Ten duży, to od drzwi na klatkę schodową, a ten mały do tego pokoju.

Wyjęła z szuflady świeżą bieliznę pościelową i przygotowała mu spanie na kanapie. Wychodząc, obiecała zajrzeć jutro.

Leżąc w ciemnościach i z rozkoszą wyciągając umęczone nogi Parfen wesoło myślał o tym, że ciotka nic a nic nie przypomina tych ludzi, z którymi miał do czynienia w ciągu dnia. „Nasza krew! Muszę jej dać jedną ze szkatułek, a muzeum niech sobie poczeka..."

Przełożyła:
SABINA NOWICKA-KOCZNOW

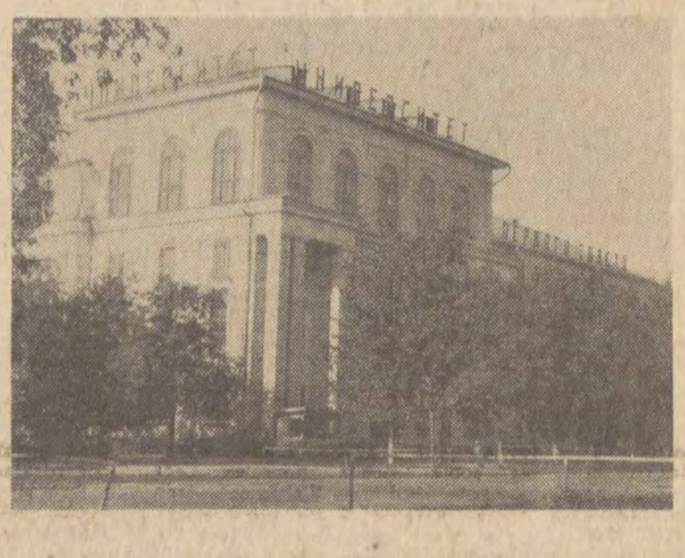

ALBIN GŁOWACKI

UNIWERSYTET IWANOWSKI

1.

Uniwersytet Iwanowski należy do najmłodszych uczelni Związku Radzieckiego. Powstał z istniejącego od grudnia 1918 roku Instytutu Pedagogicznego im. Dymitra Furmanowa. Powołany został na mocy uchwały Rady Ministrów ZSRR, 29 grudnia 1973 r. Sporo pracy czekało jego organizatorów i pracowników zanim nastąpił długo oczekiwany akt uroczystego otwarcia. W przygotowaniach pospieszył z pomocą m.in. patronujący nowej placówce — Uniwersytet Leningradzki im. Andrzeja Żdanowa. 1 września 1974 roku rozpoczęto w Iwanowie kształcenie specjalistów według uniwersyteckiego programu studiów.

Oficjalne otwarcie nastąpiło **2 lutego 1975 r.** Rada Ministrów ZSRR nadała nowej placówce nazwę Uniwersytetu Pierwszej w Rosji Iwanowo-Wozniesieńskiej Ogólnomiejskiej Rady Delegatów Robotniczych. Tak upamiętniono rewolucyjne tradycje włókniarzy Iwanowa. Uniwersytet stał się symboliczną kontynuacją słynnego **„Robotniczego Uniwersytetu na Talce"** z czasów Rewolucji 1905—1907. Spełniły się słowa W. Lenina z kwietnia 1921 r. kiedy mówił o konieczności stworzenia Uniwersytetu w Iwanowie-Wozniesieńsku.

2.

Do czasów Rewolucji Październikowej nie było w Iwanowie-Wozniesieńsku żadnej wyższej uczelni. 6 sierpnia 1918 roku Rada Komisarzy Ludowych uchwaliła dekret o powołaniu tam Instytutu Politechnicznego a w grudniu tego samego roku — Instytutu Pedagogicznego z trzema wydziałami: fizyczno-matematycznym historyczno-filologicznym i przyrodniczym.

W 1930 r. przeprowadzono reorganizację Instytutu Politechnicznego, w wyniku czego powstały cztery nowe, samodzielne instytuty funkcjonujące do dziś: Chemiczno-Technologiczny Energetyczny Rolniczy i Włókienniczy. W tym samym roku powstał Instytut Medyczny.

Obecnie istnieją ponadto: Naukowo-Badawczy Instytut Przemysłu Bawełnianego (od 1931 roku), Wszechzwiązkowy Naukowo-Badawczy Instytut Ochrony Pracy (od 1931 r.), Naukowo-Badawczy Eksperymentalny Instytut Budowy Maszyn (od 1961 r.) oraz Wszechzwiązkowy Naukowo-Badawczy Instytut Zautomatyzowanych Systemów Sterowania Przemysłu Lekkiego (od 1971 r.).

Uniwersytet Iwanowski posiada 8 wydziałów: biologiczno-chemiczny, ekonomiczny, filologii romańsko-germańskiej, filologii rosyjskiej, fizyczny historyczny, matematyczny i prawny. Kształci się na nich około 6 tysięcy osób z czego połowa w trybie stacjonarnym. Nauka na studiach dziennych trwa pięć lat, zaś na wieczorowych i zaocznych — sześć. Kończy się ją obroną pracy dyplomowej z wybranej na trzecim roku specjalizacji oraz zdaniem egzaminów państwowych z określonych regulaminem dyscyplin.

3.

W przeciągu zaledwie pięciu lat istnienia poważnie wzrósł autorytet Uniwersytetu Iwanowskiego. Świadczy o tym choćby fakt zorganizowania tu kilku centralnych sesji i sympozjów. Już we wrześniu 1974 roku odbyła się w jego murach trzecia ogólnozwiązkowa konferencja naukowa na temat czystych kryształów w lutym 1975 roku — ogólnozwiązkowe seminarium, obejmujące problematykę przygotowania nauczycieli języka rosyjskiego i wyników nauczania tego przedmiotu w szkołach. Poza tym uniwersytet był gospodarzem wielu republikańskich i obwodowych konferencji historyków, przyrodników i ekonomistów. W audytoriach uniwersytetu częstymi gośćmi są wybitni radzieccy naukowcy z innych ośrodków. Odwiedził uniwersytet także **prezydent Akademii Nauk ZSRR — prof. Anatolij Aleksandrow.** W celu nawiązania kontaktów i wymiany doświadczeń przebywali w Iwanowie uczeni z NRD, Czechosłowacji, Węgier i Polski.

Doceniając osiągnięcia iwanowskich badaczy Komitet do Spraw Nauki i Techniki przy Radzie Ministrów ZSRR zdecydował utworzyć na Uniwersytecie Iwanowskim pierwsze w kraju laboratorium dla badania czystych kryształów.

Poważny dorobek posiada UI nie tylko w tej dziedzinie. Np. w naukach ścisłych pomyślnie prowadzi się też opracowywanie problemów matematycznego zabezpieczenia systemu elektronowych maszyn obliczeniowych, logiki matematycznej, fizyki stałych i ciekłych kryształów, termodynamiki, optyki, ekologii i ochrony środowiska. Humaniści z powodzeniem pracują nad badaniami zagadnień wychowania społeczeństwa na rewolucyjnych tradycjach, efektywności produkcji społecznej, historia literatury problemami językoznawstwa czy metodyka nauczania i wychowania młodzieży.

Do grona najwybitniejszych naukowców Uniwersytetu Iwanowskiego należą m.in. profesorowie: **W. Łatyszew** (rektor UI), **I. Czistakow** (fizyk), **R. Smirnow, J. Jerykałow, Ł. Kuricyn, W. Kłopow** (chemicy), **G. Szkorbatow** (biolog), **W. Britow, I. Suworow** (historycy) **P. Kuprianowski, Ł. Rozanowa** (filologowie) oraz **N. Sawin** (pedagog). Światowy rozgłos zdobył sobie w okresie 30 lat pracy w Iwanowie twórca słynnej szkoły algebry — prof. **Antolij Malcew.**

Uniwersytet Iwanowski staje się z roku na rok także coraz silniejszym naukowo-metodycznym centrum obwodu. Mocno wrósł już w życie włókniarskiego kraju. Tylko w 1978 roku podpisał umowy o współpracy z 25 przedsiębiorstwami, instytutami naukowo-badawczymi, szkołami wyższymi i zawodowymi. Tutaj przeprowadzono w 1978 roku 22 naukowo-techniczne konferencje, a także 11 konferencji w zakładach pracy Iwanowa.

Ścisłe związki łączą Uniwersytet Iwanowski z wieloma ośrodkami naukowymi ZSRR. Szczególna pomoc otrzymuje on ze strony Uniwersytetu w Leningradzie, gdzie m.in. iwanowscy absolwenci odbywają staże i kształcą się na studiach doktoranckich. Z kolei leningradzcy wykładowcy przyjeżdżają okresowo do Iwanowa. Poza tym uczelnia utrzymuje kontakty także z Uniwersytetami: Charkowskim, Gorkowskim, Jarosławskim, Kalinińskim, Moskiewskim, Nowosybirskim, Odesskim i Permskim. Spośród innych placówek naukowych i naukowo-badawczych które współpracują z Uniwersytetem w Iwanowie, wspólnie opracowując pewne problemy, wymienić należy Zjednoczony Instytut Badań Jądrowych w Dubnej, Instytut Krystalografii Akademii Nauk ZSRR, Akademię Nauk Pedagogicznych ZSRR, Wszechzwiązkowy Naukowo-Badawczy i Projektowy Instytut Zautomatyzowanych Systemów Sterowania i Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Erfurcie (NRD).

Do tej doborowej „rodziny" dołączy zapewne wkrótce także i Uniwersytet Łódzki z którym planuje się podpisać odpowiednią umowę. Szlak jest już przetarty, gdyż od grudnia 1973 r. Uniwersytet Łódzki współpracuje z Iwanowskim Instytutem Chemiczno - Technologicznym. Efektem tych kontaktów są sesje naukowe, konsultacje, wspólne prace badawcze oraz wzajemna wymiana pracowników i wydawnictw.

4.

Rok akademicki 1978/79 powitał uniwersytet poważnymi osiągnięciami zarówno w pracy naukowo-dydaktycznej jak i organizatorsko - wychowawczej. Obecnie w 41 katedrach (83 specjalizacje) pracuje tu 375 nauczycieli akademickich. Kadra profesorów i wykładowców zwiększyła się w porównaniu z minionym rokiem o 32 osoby. We wrześniu 1972 roku było zatrudnionych 27 doktorów habilitowanych i 165 doktorów.

W 1972 roku na studia dzienne przyjęto 700 osób. 87 miejsc wydzielono dla absolwentów wydziału przygotowawczego.

Wydział przygotowawczy, zwany tu „rabfak" przygotowuje kandydatów na wszystkie kierunki studiów już od 8 lat. Na „rabfak" przyjmowane są osoby ze średnim wykształceniem spośród robotników i kołchoźników (posiadających minimum roczny nieprzerwany staż pracy) oraz z grona przeniesionych do rezerwy oficerów, chorążych i wojskowych nadterminowej służby. Doboru i skierowania na naukę dokonują zakłady pracy. Zakwalifikowanie na „rabfak" odbywa się w wyniku rozmowy komisji rekrutacyjnej z kandydatem.

Ośmiomiesięczne zajęcia rozpoczynają się od 1 grudnia każdego roku. Jest to jak gdyby „zerowy" rok studiów stacjonarnych. Wszyscy jego słuchacze otrzymują stypendium, a zamieszkują — także miejsce w domu studenckim. Zajęcia mają charakter dyskusji, obejmującej materiał z 2—3 specjalistycznych przedmiotów. Ma to na celu zorientowanie się w ogólnym poziomie wiedzy kandydatów, ich zainteresowaniach oraz dokonanie właściwego wyboru kierunku studiów. Przyszli studenci uczestniczą w całym życiu uczelni. Spotykają się z jej władzami, słuchają wykładów. Pomyślne złożenie egzaminów końcowych kwalifikuje ich na I rok studiów bez konieczności zdawania egzaminów wstępnych.

Niemałą rolę w przygotowaniu merytorycznym przyszłych studentów odgrywa letnia szkoła młodych fizyków i matematyków, prowadzona w okresie wakacji nad Jeziorem Rubskim. W 1978 roku uczestniczyli w niej uczniowie ze starszych klas szkół obwodu iwanowskiego, a także zwycięzcy obwodowych olimpiad młodzieżowych. Pod okiem zespołu, kierowanego przez prof. G. Zajcewa przyzwyczajono ich do uniwersyteckiego systemu pracy, zrobiono wiele dla rozwoju ich uzdolnień i poszerzenia horyzontów wiedzy. Nic tedy dziwnego, że przy takiej trosce o młode talenty, w działalności naukowej Uniwersytetu Iwanowskiego aktywnie uczestniczą później studenci — członkowie Studenckiego Towarzystwa Naukowego. W jego kołach i sekcjach pracuje ponad 50 proc. młodzieży studiującej. Tylko w ubiegłym roku akademickim 1.272 studentów brało udział w olimpiadzie „Student i postęp naukowo-techniczny", a 35 w realizacji prac zleconych. Na różnego rodzaju pozauczelnianych konferencjach członkowie STN wygłosili 78 referatów, a w środowisku uczelnianym — 336. 14 prac naukowych studentów nagrodzono dyplomami przez strefowy komitet konkursowy. Aktywistów STN kieruje się na studia doktoranckie lub staż naukowy do Leningradu.

5.

W realizacji procesu dydaktyczno-wychowawczego nieodłącznym sojusznikiem władz uczelni są organizacje partyjne, związkowa i komsomolska oraz naukowo-wychowawcze komisje z poszczególnych wydziałów i starostowie grup studenckich. Ich harmonijna współpraca przynosi dobre efekty: minioną sesję letnią pomyślnie zaliczyło 93,5 proc. studentów, uzyskując średnią ocen 3.95. Najlepszymi wynikami mogą pochwalić się wydziały — ekonomiczny, historyczny i prawny.

Okres wakacyjny — to coroczne tradycyjne już wyjazdy w teren studenckich oddziałów budowlanych. Pracują one na różnorakich budowach, w fermach i kołchozach. Ich zielone uniformy ze znaczkami Uniwersytetu Iwanowskiego znane są nawet w dalekim Kazachstanie i na południowym Uralu.

Ważnym — i chyba niezbędnym elementem przygotowania studentów Uniwersytetu Iwanowskiego do przyszłej pracy zawodowej (większość pójdzie do szkół) jest ich udział w działalności Klubu Pedagogicznego im. Suchomlińskiego i pedagogicznego oddziału „Nieprzeliczeni". Prowadzi on interesującą, ale i odpowiedzialną pracę z dziećmi trudnymi, sprawuje patronat nad miejscowymi szkołami i domami dziecka.

Interesująca propozycja dla młodzieży jest także istnienie na uczelni tzw. wydziałów zawodów społecznych, na którego licznych specjalizacjach studenci mogą uzyskać „zawód" kierownika zespołu twórczości amatorskiej fotoreportera czy też sędziego sportowego. Ten ostatni wydaje się np. szczególnie atrakcyjny choćby z tego względu, że sport jest bardzo popularny wśród iwanowskiej młodzieży. Tylko na uniwersytecie ponad tysiąc osób uprawia aż 17 dyscyplin sportowych, w tym wielu wyczynowo. Poważne osiągnięcia notuje się w gimnastyce artystycznej lekkiej atletyce i szachach. Uniwersytet dumny jest ze swych olimpijczyków: Zoi Skobcowej, Marii Siziakowej, Iriny Pawłowej (Jegorowej) i O. Grigorjewa.

Poza sportem młodzież może skorzystać z innych form aktywności i rozwijania swych zainteresowań. Wielu studentów uczy się np. w „Szkole młodego lektora". Inni, szczególnie filologowie, są stałymi bywalcami popularnego Klubu Przyjaźni Międzynarodowej, działającego przy Uczelnianym Komitecie Komsomołu. Jego członkowie korespondują z przyjaciółmi z różnych krajów, prowadzą akcje odczytowe o życiu młodzieży za granicą, organizują wystawy, wieczory oraz spotkania z cudzoziemcami gościącymi w Iwanowie. W klubie dominują studenci Filologii Romańsko-Germańskiej. Dzięki współpracy uniwersytetu z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Erfurcie (rozpoczętej jeszcze w okresie istnienia Instytutu Pedagogicznego) mają oni szczególną okazję nawiązywania kontaktów z rówieśnikami w NRD. Jeszcze szersze możliwości posiadają w tym względzie najlepsi studenci wydziału, pracujący okresowo w charakterze tłumaczy w krajach Trzeciego Świata.

Warto nadmienić, iż w klubie prowadzi prężną działalność sekcja polska a Uniwersytet Iwanowski jest kolektywnym członkiem Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej. O Polsce i Polakach mówi się zresztą nie tylko w klubie. Są ku temu możliwości zwłaszcza w czasie bezpośrednich spotkań z przyjaciółmi znad Wisły. Szczególnie wiele takich spotkań przeżyła m.in. doc. Aleksandra Smirnowa. Już od 1961 roku — wespół z innymi wykładowcami Uniwersytetu Iwanowskiego — pracuje ona aktywnie na wakacyjnych centralnych kursach dla nauczycieli języka rosyjskiego, organizowanych przez polskie Ministerstwo Oświaty i Wychowania.

W planie studiów który obowiązywał jeszcze w Instytucie Pedagogicznym nie przewidywano nauki języka polskiego. Wykładowcy z Iwanowa uznali wszakże celowość wprowadzenia go i od roku akademickiego 1964/65 rozpoczęli zajęcia dla studentów na specjalnym 2-letnim kursie. Powstanie Uniwersytetu Iwanowskiego zmieniło zasadniczo dotychczasowy status młodych miłośników polskiej literatury, języka i historii. Teraz bowiem w programie studiów na filologii rosyjskiej nauka jednego z „żywych" języków południowych lub zachodnich Słowian stała się obowiązkowa (do wyboru: polski, czeski bułgarski). Nauka trwa cały rok.

W „polskim" programie przewidziany jest przegląd dziejów Polski i historii literatury polskiej a następnie już praktyczna nauka języka. Prowadzi się ją w oparciu o polski podręcznik (jest także radziecki). Wykorzystuje się też popularne w Iwanowie polskie gazety i ilustrowane tygodniki które można nabyć w kioskach lub wykorzystać w Obwodowej Bibliotece Naukowej. Najlepsi studenci kontynuują naukę także po zakończeniu obowiązkowych zajęć. Wielu uczestniczy w działalności polskiej sekcji Klubu Przyjaźni, inni wykorzystują znajomość języka w przygotowaniu pracy dyplomowej. Dotychczas przewinęło się przez kurs języka polskiego ok. 200 osób. Aktualnie uczęszcza nań ok. 40 studentów.

Inną płaszczyznę spotkań z Polską stanowią — dla studentów historii — zajęcia z historii zachodnich i południowych Słowian. Od momentu utworzenia Uniwersytetu w Iwanowie stały się one obowiązkowym przedmiotem. Do tego czasu mieściły się w kursie historii powszechnej. Obecnie przeznaczono na nie 100 godzin rocznie. Rzecz jasna, iż ze względu na szerokie ramy chronologiczne (od VII w. po czasy współczesne) zaszła konieczność selekcji materiału. Doc. Aleksander Guśkow, z katedry historii powszechnej — który wykłada ten przedmiot — skupił się głównie na okresie po 1918 r. Jako były żołnierz 5 Armii Pancernej Gwardii czuje szczególny sentyment do historii Polski — kraju w którego wyzwalaniu brał udział.

6.

Dorobek i tradycje uniwersytetu znajdą wkrótce swe odzwierciedlenie w tworzonym muzeum (dyr. Helena Aleksiejewa). Aktualne problemy życia uczelni prezentuje się na łamach dwukolumnowego tygodnika „Iwanowski Uniwersytet" (już ponad 860 numerów). Wyniki badań pracowników zamieszcza uniwersyteckie wydawnictwo „Uczonyje zapiski" (ponad 130 tomików).

ALBIN GŁOWACKI jest pracownikiem naukowym Zakładu Historii Narodów ZSRR Uniwersytetu Łódzkiego.

Foto: Autora

OŻOGA ZE ŚWIĘTYMI OBCOWANIE

„Jak świetych obcowanie" Jana Bolesława Ożoga przynosi dziewiętnaście „wspomnień literackich", traktujących o sylwetkach współczesnych polskich pisarzy z którymi autor zetknął się niegdyś albo kontaktuje obecnie. Niejedno dałoby się powiedzieć o obcowaniu literatów ze sobą, trzymając się faktografii. Poprzestawanie na realistycznym opisie nie zaspokaja jednakże twórczych ambicji autora. W panteonie, w którym umieszcza swoich znajomych, inne już rządzą prawa. Trudno jest obcować ze świętymi. Wie o tym Ożóg, robi więc, co robić w tej sytuacji można: zdaje się na wyobraźnię.

Dopiero po przeczytaniu tej niedużej książeczki zrozumiały stają się w pełni postawiony niegdyś przez Ożoga, zarzut o praktycystycznych i empirycznych inklinacjach Stanisława Czernika. Czernikowi przeciwstawiał Ożóg w „pracy fantaziotwórczej" „konieczność sięgania w przeżyciach aż do kompleksów i ukrytych obsesji". W tradycyjnym bowiem, Czernikowskim rozumieniu ostatnia książka Ożoga wydawać by się mogła zbiorem plotek, gdybyśmy na chwilę zapomnieli o aspiracjach autora do czerpania z bogatych złóż freudyzmu, adleryzmu i jungizmu jednocześnie.

Jak na przykład poradzić sobie z interpretacją następującej sceny? Autor pewnego jesiennego dnia 1948 roku znalazł się z żoną w Sandomierzu. „Zapadał wieczór, panowała cudowna, cicha pogoda, a długi i szeroki most na Wiśle stał zupełnie pusty, naprzeciwka tylko zbliżał się wolnym spacerowym krokiem po drugim, lewym chodniku jakiś wysoki, elegancko ubrany mężczyzna z gołą głową. Bez trudu rozpoznałem w przechodniu (Wincentego) Burka... Opowiedziałem żonie, kogo spotkaliśmy, ale nie mogłem do pisarza podejść, rozmowa bowiem w tej sytuacji, na moście, mogłaby się wydać dziwna i niestosowna" (podkreślenie moje — ZD). Przykładając tradycyjne kryteria, wydawałoby się, że Ożóg jest po prostu dobrze wychowany. Dopiero poprzez odwołanie się do Feuda i jego interpretacji świętej liczby 3 (autor, żona i most) docieramy do prawdy, która być może stanie się bardziej oczywista w podanych poniżej przykładach.

Specjalną funkcję u Ożoga pełni także symbolika oczu. Szczególnie — męskich. Wydaje się nawet, że pisarz po to przede wszystkim bierze udział w festiwalach poetyckich zjazdach, sympozjach i wycieczkach literatów, aby wydać „bruderszaft" i głęboko spojrzeć upatrzonemu delikwentowi w oczy. Tak więc już w 1945 roku podczas wycieczki literatów do Warszawy dostrzegł on „nieobecne oczy" Czesława Miłosza. Czyż tak naprawdę powinno dziwić dalsze postępowanie właściciela „nieobecnych oczu", któremu Ożóg przeciwstawia własny heroiczny trud „w budowaniu zrębów"? A jednak: „W trudnych warunkach, w zupełnie zniszczonych przez barbarzyńskich najeźdźców miastach, wsiach, fabrykach i kopalniach wskrzeszaliśmy do życia nową Polskę i niejednego z nas dziwiła i dziwi do dziś jego (Miłosza — ZD) późniejsza działalność za granicą, wymierzona ostrzem w nasz naród".

Dobrze się chyba stało, że nie doszło do żadnego zbliżenia z Miłoszem, który profilaktycznie milczał jak grób. Co innego z Kornelem Filipowiczem — „Mówimy sobie przez «ty» wspominamy dawne czasy". I z Piechalem: „Wypiliśmy kiedyś w Łodzi «bruderszaft»". W Łodzi zresztą piło się „bruderszafty" chyba najlepiej. Kto nie wierzy, niech sprawdzi, np. na str. 74, bo także ze Zbigniewem Bieńkowskim „...wypiliśmy «bruderszaft». Stało się to w Łodzi podczas ogólnopolskiego festiwalu poezji w roku 1968". Na festiwalach w Łodzi po roku 1966 oprócz „szarych oczu" Bieńkowskiego autor zauważył również „zielone, na wskroś poetyckie oczy" Czesława Janczarskiego, z którym — jak się zdaje — nie przeszedł jednak na „ty", w odróżnieniu od Włodka Maciąga, Zygmunta Fijasa, Jerzego Zagórskiego, Julka Kawalca i innych, o czym zostaliśmy w tej książeczce poinformowani.

Natomiast stanowczo nie przeszedł Ożóg na „ty" z Przybosiem, Bursą i Czernikiem. Z Bursą zapewne dlatego, że miał on „Głęboko osadzone szare oczy o ostrym stalowym spojrzeniu..." oraz dlatego że to pijak, pisywał wiersze o „znamionach patologii" i należał do „ludzi, którzy po październiku chcieli jak najszybciej się wybić i wznieść ponad swoje podwórko". Z Przybosiem sprawa jest jeszcze prostsza. „Nie najlepiej przedstawiała się wiedza mojego krajana także w zakresie nauk humanistycznych. Erudyta w takim stopniu jak Żeromski nie był" (?!). Z tego też chyba powodu nie doczekał się Przyboś charakterystyki zewnętrznej w czym Ożóg — nie bedący wyłącznie oftalogiem — celuje: „Posiadał wysoką posturę, był barczysty i wychudły, o jasnym czole i twarzy szerokiej ale zgrabnej z buinym źle ogolonym zarostem, szarych oczach i ciemnej czuprynie, czesanej na bok" („portret" Józefa Srogi).

Pewnego razu Zygmunt Fijas zaprosił pisarza na piknik i przedstawił swojej dziewczynie. „Bardzo mi przykro było, że nie mogłem jej zaprosić do tańca — sztuka wirowania jest mi nie znana" — uskarża się Ożóg. Czyżby? A ten kontredans, który prowadzi postaciami Czernika i Jastruna. Toż to sam mistrz tańca. W usta Jastruna np. wkłada ocenę Czernika jako „zagorzałego antysemity", który wydawał przed wojną faszystowskie pismo „Okolica Poetów". Po czym, powołując się na nieznanego „kogoś" informuje nas jak to — do pragnącego się pokajać Czernika — Jastrun „bez słowa odwrócił się (...) plecami". I jak na to sam reaguje? „Przyznam się bardzo mnie to ubawiło". Przyjemnej zabawy!

A przecież Iredyński „Dał mi jednego razu do przeczytania pierwszą swoją (nie wydaną) powieść, nie pamiętam tytułu, (...) były to przeżycia jakiegoś sfrustrowanego młodzieńca, który popadł w końcu w nałóg onanii. Rozmowy z inteligentnym, bardzo oczytanym młodym autorem dały mi poznać niebezpieczeństwa na jakie każdy prozaik może się natknąć w swojej praktyce pisarskiej". Jak trudno jest przejść od dostrzeżonego niebezpieczeństwa do uniknięcia go w praktyce uprzytamnia nam niewielka, i aż przesadnie ślicznie wydana przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, książeczka Jana Bolesława Ożoga.

ZBIGNIEW DOMINIAK

J. B. Ożóg: Jak świetych obcowanie. Wspomnienia literackie. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, s. 126 + 2 nlb.

LABIRYNT CZY PUŁAPKA

Antyczny labirynt w kulturze śródziemnomorskiej obrósł w znaczenia wielorakie stał się mitem, wyobrażeniem drogi ludzkiego życia, drogi pokrętnej i zawiłej, obfitującej w ślepe zaułki i zasadzki, skazującej człowieka na ciągłe błądzenie i stałe ponawianie prób odnalezienia tego jednego, trafnego i pewnego wyjścia. Literatura współczesna nierzadko wykorzystuje motyw labiryntu dla przedstawienia sytuacji jednostki w świecie. Wielkie, mrowiskowe metropolie indywidualna i wciąż tajemnicza jaźń, niemożność poznania skomplikowanej rzeczywistości i własnej psychiki stwarzają poczucie zagrożenia i obcości, wywołują stany lęków i depresji. Odczucie zagubienia rodzi pesymizm, negację bądź opór, bierne poddanie się losowi lub aktywność właściwe naturze ludzkiej dążenie do wydostania się z labiryntu ograniczeń, zła i nieświadomości.

Jesteśmy zatem w centrum problematyki humanistycznej, w kręgu pytań o zasadniczym dla człowieka znaczeniu. Początek lektury nowej powieści Eugeniusza Iwanickiego, pod wymownym tytułem „Labirynt", pozwala spodziewać się dramatycznej historii postaci, w której losach czytelnik odnajdzie rysy znamienne egzystencji i cząstkę choćby prawdy o losie własnym. Pytanie bowiem: być albo nie być, kilkakrotnie powracające w powieści, eksplikuje zamysł pisarski i nadaje jej przynajmniej w autorskiej intencji, podniosły ton dramatu. Powątpiewam jednakże, czy obecnie można to pytanie stawiać tak zupełnie poważnie, bez szczypty autoironii i dystansu. Nawet wtedy, gdy odpowiedź na nie bywa niezupełnie banalna. A brak dystansu do siebie cechuje bohatera i równocześnie powieściowego narratora. Nie posiada go również Iwanicki wobec kreowanej postaci i ten niedostatek podważa intelektualną zawartość utworu. Widoczna w fabule emocjonalna i myślowa identyfikacja autora z bohaterem wzbudza podejrzenie, że na tym, co przekazuje postać, kończy się wiedza i przemyślenia pisarza, że nie fikcyjna tworzy on osobowość, lecz siebie podpisuje innym nazwiskiem. I chociaż niczym zdrożnym nie jest aprobata swojego bohatera współczujące zaangażowanie to przecież szczególna przykrość sprawi czytelnik autorowi, gdy orzeknie, iż bohatera nie warto ani aprobować, ani mu współczuć czy przejąć się jego perypetiami.

W powieści stosuje Iwanicki zabieg szeroko w prozie używany. Rozpoczyna niejako od końca, sytuując fabułę w planie chronologicznie dokonywanej retrospekcji. Piotr Sokal, 40-letni dziennikarz, doszedłszy do punktu krytycznego, do jasnego uświadomienia sobie poniesionej klęski, próbuje zrozumieć i podsumować własną przeszłość. „Będę — mówi — szukał momentu, w którym popełniłem błąd miejsca, gdzie zgubiłem czapkę z pawim piórem". Cofa się więc aż do lat szkolnych, by odtworzyć miniony czas. Poznajemy chłopca z duszą marzyciela i poety, jego pierwsze i kolejne wtajemniczenia erotyczne, pustkę uczuciową w rodzinnym domu, trudne wrastanie w świat ludzi dorosłych, niosące ze sobą gorycz rozczarowań stopniowe pozbywanie się złudzeń. Później, już po ukończeniu studiów, Piotr zdobywa ostrogi publicysty i reportera w regionalnym periodyku, aby wreszcie — osiągnąwszy swego rodzaju apogeum — wejść do redakcji tygodnika ukazującego się w dużym mieście (topografia wskazuje na Łódź). Bardziej uporem i pracowitością niż zdolnościami wyrabia sobie mocną pozycję. Lecz trwa to krótko. Niebawem jego „akcje" spadają a na niepowodzenia w pracy zawodowej nakłada się trywialnie nieszczęśliwy romans z Wiśką. Piotr zamyka się w czterech ścianach domu i w stanie krańcowego wyczerpania nerwowego, owładnięty chęcią popełnienia samobójstwa, posępnie rozmyśla o swoim losie.

Efekt tych rozmyślań jest dość mierny. Piotr nie odnajduje chwili, od której zaczęła się porażka nie pamięta, gdzie zgubił „pawie pióra". Wszystko gdzieś i kiedyś rozpłynęło się w magmie codzienności, a przyczyna klęski — jak w konkluzji stwierdza — tkwi w nim samym: „usiłowałem odnaleźć swoje »miejsce na górze« wbrew rozsądkowi i realnym możliwościom. Po prostu wspinałem się przez trzydzieści parę lat nie na ten szczyt!" Lekarz dopowie mu, że cierpi na ogólną chorobę cywilizacji. Otóż i cały labirynt, a raczej pułapka, którą sam na siebie zastawił Sokal.

Autor, jak w powieści edukacyjnej prowadzi bohatera przez różne sytuacje i przypadki, chcąc zilustrować tezę o życiu jako labiryncie, w którym błąka się człowiek. Ale doświadczenia nie kształcą Piotra. Nie ma w nim siły i woli oporu. Wcześnie deklaruje swe zniechęcenie samotność, poczucie „kończenia się". Wygłasza sentencje, które mając być miarą jego życiowej mądrości, stają się tylko pretensjonalne. Manifestuje swoje cierpiętnictwo, czuje się skrzywdzony i godny pożałowania, choć pozuje na osobnika twardego, pogardzając litością i współczuciem.

Tworząc sylwetkę sfrustrowanego nieudacznika, Iwanicki powtarza błąd Piotra. Zapomina, iż umiejętność analizy psychologicznej nie jest jego najmocniejszą bronią. Toteż pozorny ekshibicjonizm, jaki uprawia bohater sprowadza się częściej do obnażania kobiet aczkolwiek zwykle rozbierają się same, niż do penetrowania własnej psychiki. Piotr jest tworem duchowo nieuformowanym, sprzecznym wewnętrznie, hybrydycznym. I niechby takim był, jeśli tak został pomyślany. Należało jednak stworzyć dlań dostatecznie przekonującą motywację. Tymczasem ta zawodzi. Nie wystarczy przecież jego szczere wyznanie: „naprawdę jestem taki, jaki jestem". Niewiele ono wyjaśnia, a pobrzmiewa nuta zrezygnowanej pretensji w stylu Jakiego mnie Panie Boże stworzyłeś, takim mnie masz". Nie przekonują również epizody mające unaocznić rozbrat marzeń, tęsknot, zamiarów i brutalnej rzeczywistości, która tamte koryguje i wypacza. Oskarżenie życia bowiem, gdy towarzyszy temu swoista minoderia i ton bolejący, wydaje się sztuczne i dwuznaczne.

Ambitne w zamyśle przedsięwzięcie uległo spłyceniu w fazie realizacji. Iwanicki zaginął w labiryncie psychologii. Oddając mu wszakże sprawiedliwość trzeba podkreślić jego wrażliwość etyczną, intuicyjne odczucie mizerii ludzkiej egzystencji, bezradnej nijakości przepływającego czasu, iluzoryczności dokonań w perspektywie utajonych pragnień. Nietrudno spostrzec, że pisarz odnajduje siebie wówczas, gdy obserwuje i przedstawia zjawiska życia zewnętrznego gdy może zająć stanowisko satyryka, demaskatora ironisty. Scen takich nie brakuje w powieści (np. prezentacja ludzi ze środowiska literacko-dziennikarskiego, ludzi marginesu społecznego czy też miejscowej „society") i dzięki nim „Labirynt" może stanowić pozycję wartościową. A erotyczne smaczki wyeksponowane na ostatniej stronie okładki zwabią pewnie czytelników.

STANISŁAW MAJCHROWSKI

Eugeniusz Iwanicki, Labirynt. Łódź 1978, stron 208.

W ZGODZIE Z ROZKŁADEM JAZDY

„Biała podróż" jest trzecim już tomikiem Mirosława Kuźniaka, dwa pierwsze zapowiadały moment rychłej krystalizacji poetyki i tematyki jego wierszy. Czy zbiorek, który właśnie otrzymaliśmy prezentuje w pełni poetycką osobowość, wyróżniającą autora z rzeszy współpasażerów na Parnas?

Pochodząca od wydawcy notatka biograficzna zadziwia niespotykanym w tego typu informacjach akcentowaniem związku większości publikowanych utworów z konkretnymi zdarzeniami: choroba ojca i narodzinami córki. Rezygnacja z upatrywania źródeł twórczości w metafizycznych niepokojach czy eschatologicznych dreszczach nie wynikła tylko z nagłego odrzucenia obowiązujących obecnie reguł gry przy przedstawianiu pisarza — rezygnacja ta została bodaj wymuszona przez drukowane wiersze, niepodległe pomówieniom o rzekomo nobilitująca uniwersalność.

W moim odczuciu decyzja autora, by ogłosić utwory związane tak ściśle z określonymi faktami własnego życia, była — wbrew pozorom — wielce ryzykowna. O wiele chyba łatwiej powiedzieć coś nowego wiążąc poetycką refleksję z ciekawą lekturą wzruszającym krajobrazem, podniecająca medytacją etc. — niż ze zdarzeniami, których doświadcza bez mała każdy człowiek, a które pisarze wszystkich krajów i epok czynili przedmiotem przeogromną ilość razy. By dzisiaj napisać wiersz o miłości narodzinach, śmierci trzeba arcydzielnego pióra, które byłoby zdolne stworzyć wizję mogącą sprostać oczekiwaniom czytelników rozkapryszonych dostatkiem dotychczasowych poetyckich „opracowań" tematu.

Nie sądzę, by autorzy o dużej kulturze literackiej nie zdawali sobie z tego sprawy. Z tym że w obrębie coraz liczniejszych zmian, jakie dokonują się w literaturze pod naciskiem współczesności obserwujemy także zanik tradycyjnego modelu pisarza-rzemieślnika dostrzegamy też uwiąd cechującej dawnych mistrzów cierpliwości. Coraz mniej cierpliwego poszukiwania najlepszych słów i obrazów, cierpliwego bogacenia książki. Współczesnego tomiku nie pisze się nie tworzy, nie komponuje — współczesny tomik się „zbiera" licząc powstałe i wsuwane do teczki utwory.

Gdyby Kuźniak zrezygnował z publikacji utworów będących świadectwem przeżyć związanych z chorobą ojca i narodzinami córki nie byłoby jeszcze kolejnego tomiku. Ale nie byłoby też rozczarowania czytelników, znających poprzednie zbiorki. Jaki bowiem sens ogłaszać pamiętnik liryczny, szczery i bardzo bliski autorowi ale nie czytelnikom, którzy nie mogą przeżyć tego samego, nie mogą ulec podobnym wzruszeniom, jakich doznaje pisarz sięgający po słowa-pamiątki przypominające emocje chwil minionych. Czytelnik ma do dyspozycji tylko tekst i ten musi sam nim owładnąć skoro autor decyduje się go udostępnić.

Wiersze Kuźniaka poświęcone ojcu są wyłącznie poetyckim zapisem doznań, stąd brak uogólnień własnych doświadczeń. Tym bardziej uwaga odbiorców skupiać się będzie na samym poetyckim słowie. Niestety, moim zdaniem utwory te nie wprawia czytelnika w zadziwienie urodą obrazu czy kunsztem kompozycji. Tak częsta w wierszach autora „Białej podróży" metafora w sposób dość banalny akcentuje oczywiste związki między ojcem a synem, uczucia rozterki bólu, zwątpienia i nadziei.

„Cień ojca jak kładka przez strumień
spina brzegi porośnięte rzęsą"
„Wiem ojcze jesteśmy zapisani
na białym papierze łez Drobnym
pisemem bólu"
„Widzisz jak pracowicie
zszywam twój cień popękany
cienkim ściegiem krwi"

Z dużą swobodą porusza się autor wśród tradycyjnych poetyckich narzędzi korzystając z nich w zgodzie z obowiązującymi obecnie zasadami i wymogami. Ale osiągnięty efekt nie wyróżnia go spośród grupy równie zdolnych i podobnych do siebie rówieśników.

W wierszach poświęconych ojcu a w mniejszym stopniu także i w utworach pozostałych, dostrzegamy autorską fascynację ludzkim ciałem.

„Pochylona i kreta ulica kręgosłup
Od niej ślepe uliczki żeber."

Obowiązki serca i tajemnice krwi, „zaułki bólu" i „korytarze leku" to jednak nie odrębna, indywidualna obsesja ale jeden z najpowszechniejszych „pejzaży" w całej współczesnej poezji.

Także z upodobaniem i wprawą budowany anaforyczny tok wiersza nie stanowi swoistej, prywatnej cechy warsztatu. Ten sposób konstruowania wypowiedzi jest ogólnym zwyczajem, nakazem niemal dzisiejszej mody poetyckiej. Fakt, iż Kuźniak posługuje się anaforą z wyraźną łatwością i zarazem umiarem. Prawdą jest też, iż potrafi ją wykorzystać maksymalnie w wierszach-wyliczankach w których nagromadzone w kolejnych wersach „dane" zderzone są z jednowersową, przeciwstawiającą się im konstatacją. Oczywiście po to by uprzytomnić nam raz jeszcze poprzez następny przykład, absurdalny charakter ludzkiej egzystencji. W „Białej podróży" spotykamy dwa takie wiersze: „Zdyszany bez tchu" oraz „Na bocznicy towarowej przed potopem", oba bez zarzutu w „wykonaniu" i oba podobne do dziesiątków wierszy wykorzystujących ten sam schemat w identycznym celu, a znajdowanych w różnych tomikach innych autorów.

Trudno także nie przypomnieć sobie konkretnych tym razem utworów i uznanych już pisarzy gdy czytamy wiersze Kuźniaka: „Kwadrans" (Godzinę zmartwychwstania ogłaszają megafony...") czy „Te pięć litrów krwi które..."

Wymienione przed chwilą wiersze pochodzą z drugiej części tomiku zatytułowanej „Biały anioł" (część pierwsza nosi miano „Ja i ty"). W moim przekonaniu zawiera ona utwory wyróżniające się korzystnie w omawianym zbiorku. Obcowanie bowiem z typowym dziennikiem lirycznym, gdy ten rezygnuje z zakusów uniwersalizacji przypadków autorskiej biografii, a i nie urzeka niepowtarzalnym kunsztem — musi nużyć. Wykorzystanie natomiast tematów i „techniki" będących w danym okresie wspólną własnością poezjującej braci, daje przynajmniej możliwość repetycji aktualnego kanonu sztuki wierszopiskiej. W wierszach Kuźniaka korzystanie z owego pospolnego dobra odbywa się, jak się już rzekło, z dużą swobodą ze sporadycznymi tylko potknięciami — chodzi o kilka metafor, które w głośnym czytaniu wiążą język w supeł lub przeczą logice, a nieraz czynią jedno i drugie: „Przeszedłem je (góry) w ratunkowym pasie ramion ojca".

To co powiedziałem, nie oznacza, bym uważał, iż takie tylko wiersze może z powodu swych predyspozycji pisywać autor „Białej podróży". Przeczy takiemu ograniczeniu obecność w tomiku „Lechonia" utworów „Nie wszystek" (bohaterem Hölderlin) oraz „Wybór" (między Kordianem i chamem). Wiersze te także nie wychodzą w polncie poza banał, w poetyckim kształcie — poza modę. Wskazują jednak, jak mi się zdaje, szanse autora o dużej kulturze literackiej i dobrze opanowanym warsztacie. Utwory podejmujące dialog z kulturowym dziedzictwem współczesnego człowieka, wykorzystujące oczytanie i smak autora to chyba właściwy kierunek jego poetyckiego wysiłku. Trudna to jednak droga, której nie da się odbyć w licznym towarzystwie.

WIESŁAW PUSZ

Mirosław Kuźniak, Biała podróż, Łódź 1978, Wydawnictwo Łódzkie, Biblioteka Poetycka, stron 63, 18 zł.

KUJONY CZY TWÓRCY?

Diana Geddes przebywała jako korespondent londyńskiego „Times" dwa tygodnie w Japonii. Po powrocie opisała dzień pracy syna państwa Hiroshi Yoshida, u których zatrzymała się przez kilka dni. No więc 14-letni chłopiec udaje się do szkoły o 8 rano. Wraca o 4 po południu. I natychmiast kładzie się do łóżka. Zrywa się o 9 wieczorem, spożywa kolację i zabiera się do odrabiania lekcji. Trwa to do 4 nad ranem. Potem znów kładzie sie na kilka godzin do łóżka, żeby o 8 udać się — jak zwykle — do szkoły.

Marzeniem każdego ambitnego Japończyka jest dostanie się na wyższą uczelnię.

Te sita zaczynają się już w przedszkolu. Bo są przedszkola i przedszkola. Żeby zdać egzamin do dobrego przedszkola dziecko musi przejść 10 metrów tyłem po równoważni z zawiązanymi oczami. To tylko przykład. Bo egzamin jest już pamięciowy. Jest to egzamin na inteligencję i na wiele innych rzeczy. Więc to ucho igielne zaczyna się już w przedszkolu i nie tyle rośnie, ile raczej maleje przy kolejnych przeszkodach, z których najwyższą i najtrudniejszą do wzięcia jest egzamin na uniwersytet.

To jest dopiero tor przeszkód. Dlatego przedtem rodzice wysyłają dzieci jeszcze do „juku". To jakby szkoły dodatkowe. Prywatne. O charakterze przygotowawczym do egzaminów na wyższe uczelnie. Powiada się kurs. Ale ładny mi to kurs, skoro trwa 3 lata po kilka dodatkowych godzin dziennie. Mówiąc krótko i treściwie młody Japończyk w wieku od 15—18 lat, który chce przebrnąć przez wszystkie egzaminy obronną względnie ręką, pracuje po 16 godzin dziennie.

Egzaminy, egzaminy i na wszystkich szczeblach nieprawdopodobna konkurencja i zabójcze współzawodnictwo. Nauka, nauka, żadnych zabaw, żadnego sportu z wyjątkiem gimnastyki. Stąd być może zastanawiająco niski poziom sportu wyczynowego w Japonii. Nauka, nauka i atmosfera ciągłego napięcia, niepokoju i rywalizacji. Nauczyciel już w szkołach średnich wypisuje codziennie na tablicy imienny wykaz uczniów i stopnie przez każdego z nich uzyskane. Klasa siedzi i czyta. Wszystko widać jak na dłoni. Ten jest lepszy, a ten gorszy, a tamtemu grozi degradacja.

Jest to zabójczy system szkolny... Dosłownie. Piekło egzaminacyjnej dżungli. Londyński „Times" podaje, że w zeszłym roku wskutek załamania się 784 dzieci japońskich popełniło samobójstwa. Prawie 20 000 młodzieży japońskiej to tak zwani „Ronin". Zdawali i nie zdali. Więc uczęszczają na seminaria „Yoyogi". A roczny kurs „Yoyogi" kosztuje 1200 dolarów. Kursy prowadzi obrotny pan Takemura. Jego dochody szacowane są na milion dolarów rocznie. Żyje, owszem, ale innym też żyć daje. Angażuje najlepsze siły profesorskie. Wykładowca na kursach pona Takemura zarabia w ciągu roku średnio 50 tysięcy dolarów, a więc sto razy więcej niż przeciętny japoński nauczyciel. Mogłoby się zdawać, że w tym ogólnonarodowym szaleństwie nie ma żadnej metody.

Ostatecznie w Japonii czynnych jest obecnie blisko 1000 szkół wyższych. Tylko, że jak są przedszkola i przedszkola, tak są uniwersytety i uniwersytety. System japońskiego szkolnictwa to przepotężna jakby piramida zwieńczona jednym jedynym uniwersytetem, który istotnie nobilituje. To cesarski uniwersytet w Tokio. To są te bramy do nieba. I do wysokich oczywiście zarobków. Wielkie firmy japońskie zatrudniają u siebie na kluczowych pozycjach wyłącznie absolwentów cesarskiego uniwersytetu w Tokio. Inne uczelnie w grę w ogóle nie wchodzą. Jakby nie istniały. Mieć w kieszeni dyplom tokijskiego uniwersytetu, to jest ten zaszczyt, to są te prawdziwe wierzchołki japońskiej arystokracji menedżerskiej. Wygrywają rzeczywiście najlepsi.

Egzamin w Japonii to świętość. W tym wypadku jest to sito całkowicie bezstronne. Synowie ministrów odpadają i żadne koneksje nie skutkują. Chodzi rzeczywiście o wyselekcjonowanie intelektualnej elity. O to chodzi, by władza administracyjna w wielkich koncernach znalazła się w rękach najlepszych. Bo korzyść z tego bierze się dla całego narodu. Jak to się mówi: lepiej z mądrym stracić, niż z głupim zyskać. Coś takiego usiłuje się w Japonii wprowadzić. Selekcja i jeszcze raz selekcja. Sita i sita. Niech się przebijają prawdziwe jedynie talenty.

Czy w Japonii ten cel osiągnięto? Czy morderczy system ciągłego selekcjonowania głów co najtęższych zdaje egzamin najważniejszy, więc życiowy? Co do tego wielu ma wątpliwości. Wielu sądzi, że ten system preferuje nie tyle jednostki twórcze, więc „kreatywne", co pospolitych kujonów, obdarzonych przez naturę dużą pamięcią, ale niczym nie obdarzonych poza tym. Jest bowiem faktem, że dzięki wspaniałej organizacji, pracowitości i niezwykłym zdolnościom naśladowczym Japończycy dźwignęli się po wojnie do przemysłowej czołówki świata. W dziedzinie naśladownictwa i imitacji są niedoścignionymi mistrzami. Ale ile by można wyliczyć rzeczywiście oryginalnych japońskich wynalazków o wartości przełomowej w nauce i technologii? Faktem jest, że dałoby się to wszystko policzyć na palcach jednej ręki.

J.B.

ANDRÉ DEGON

CZARNA HISTORIA KOLEI

Jedną z niecodziennych katastrof kolejowych XIX wieku było zarwanie się mostu nad rzeką Tay na linii Edynburg — Dundee 28.XII.1879 r. Ów most kolejowy przekazany został do eksploatacji niespełna półtora roku wcześniej. Pamiętnego wieczoru na wschodnim wybrzeżu Szkocji szalał sztorm. Gdy pociąg pocztowy z Edynburga zbliżał się do południowego końca mostu, burza przybrała rozmiary orkanu. Mimo to maszynista kontynuował jazdę — stalowa konstrukcja 75-metrowej wysokości stawiała już czoło nie takim wiatrom. Pociąg znajdował się na środku mostu, kiedy wydarzyło się nieszczęście — stalowe dźwigary nie wytrzymały naporu orkanu i nacisku ciężkiego pociągu. Środkowa część wiaduktu zarwała się, a wraz z jej gruzami do rzeki Tay wpadł cały pociąg. 80 osób — personel i pasażerowie — poniosło śmierć.

Most Eiffla

Największa dotychczas katastrofa kolejowa w Szwajcarii wydarzyła się na skutek zarwania się mostu. Jednak most kolejowy nad rzeką Birs w pobliżu Muenchenstein zawalił się 14.VI.1891 r. nie podczas orkanu, a przy wspaniałej, słonecznej pogodzie. Eksperci stwierdzili później, że jego konstrukcja była wadliwa od samego początku. A przecież autorem projektu mostu był sam Alexandre Gustave Eiffel, autor wybudowanej w 1889 roku słynnej wieży, która do dziś jest symbolem Paryża. Czyżby Eiffel dopuścił się lekkomyślnie błędów, podobnie jak Thomas Bouch, budowniczy mostu nad rzeką Tay? Most nad rzeką Birs zbudowany został w latach 1874—75, a jego konstrukcja nie była obliczona na ciężkie składy, jakich używano w roku 1891. Po silnej powodzi w 1881 roku most trzeba było naprawić; w 1890, po wprowadzeniu do eksploatacji ciężkich lokomotyw, wzmocniono wprawdzie dźwigary poprzeczne, ale główne pozostawiono bez zmian. Tak więc zarzuty pod adresem Eiffla są tylko częściowo uzasadnione.

Cóż jednak wydarzyło się 14.VI. 1891 r.? Festyn ludowy w Muenchenstein, połączony z występami grup śpiewaczych, który zapowiedziano na ten dzień, był magnesem dla publiczności. Już od rana pociągi towarzystwa kolejowego Jura — Simplon dowoziły setki osób; również pierwszy pociąg popołudniowy, odjeżdżający z Bazylei o 14.15 został powiększony o dwa wagony osobowe i dodatkową lokomotywę, aby przewieźć wszystkich chętnych. Cały skład — dwie lokomotywy, dwa wagony bagażowe, wagon pocztowy i dziesięć osobowych — odjechał z niewielkim opóźnieniem z dworca centralnego w Bazylei, zabierając 550 pasażerów. Skład ważył 324 tony.

W odległości 500 metrów od stacji kolejowej w Muenchenstein pociąg przejeżdżał przez most nad rzeką Birs. 10 minut wcześniej jechał tędy pociąg towarowy, ważący 718 ton, i wszystko było w porządku. Kiedy jednak lokomotywa pociągu z Bazylei znalazła się już prawie na drugim brzegu, żelazna konstrukcja mostu załamała się w centralnej części. Obie lokomotywy, wagony bagażowe, wagon pocztowy i 4 pierwsze osobowe zwaliły się do rzeki. Piąty wagon osobowy zawisł na skraju wyrwy, natomiast reszta składu pozostała jeszcze na brzegu. Zapanował nieopisany chaos. Z rzeki dochodziły jęki rannych i wołania o pomoc. Wiele osób utonęło, nie mogąc się wydostać z rozbitych wagonów. Życie straciły łącznie 73 ofiary, 171 osób odniosło rany. Była to największa dotychczas katastrofa kolejowa w Szwajcarii.

Czarny dzień brytyjskiej kolei

22.V.1915 r. ciągle jeszcze uważany jest za najczarniejszy dzień w historii brytyjskiego kolejnictwa. W Quintinshill zginęło wtedy 226 osób, ponieważ zwrotniczy zapomniał o stojącym na jednym z torów pociągu. Skutki tego niedopatrzenia były tragiczne — 5 różnych pociągów — towarowy, pusty węglowy, pociąg lokalny (właśnie ten zapomniany), transport wojskowy wiozący żołnierzy i nocny ekspres Londyn — Glasgow — zostało uwikłanych w fatalną kolizję. Najpierw doszło do czołowego zderzenia jadącego z prędkością 110 km/godz. pociągu wojskowego ze stojącym na tym samym torze pociągiem lokalnym, którego lokomotywa w wyniku kolizji została odrzucona o około 40 m w bok, a jej tender spadł na drugą nitkę torów. Lokomotywa pociągu wojskowego, wywróciła się, tarasując również dwa inne tory. Wagony obu pociągów spiętrzyły się wpadając jeden na drugi. Na tę stertę żelaza i żołnierzy, próbujących się z niej wydostać wpadł następnie nocny ekspres z Londynu. Miary nieszczęścia dopełnił pożar, który powstał wskutek rozbicia instalacji oświetlenia gazowego (stosowanego wówczas powszechnie). Płonął nawet pusty pociąg węglowy. Ci, którzy przeżyli zderzenie, spłonęli żywcem. Dopiero po 24 godzinach straż pożarna ugasiła ogień. W pociągu wojskowym zginęło 214 osób, w nocnym ekspresie — 7 i 2 w prawie pustym pociągu węglowym. Wiele osob odniosło ciężkie obrażenia.

Na śmiertelny urlop

W październiku 1917 Francja wysłała wojska, które miały przyjść z pomocą zagrożonym przez oddziały niemieckie i austriackie Włochom. W grudniu sytuacja na froncie poprawiła się na tyle, że część Francuzów mogła udać się na urlop do swego kraju. Taki właśnie pociąg z jadącymi do Francji na wypoczynek żołnierzami stał wieczorem 12.XII.1917 roku na dworcu w granicznej miejscowości Modane gotów do drogi. Odjeżdżało nim ponad tysiąc francuskich żołnierzy. Maszynista był pełen wątpliwości — jego lokomotywa przewidziana była do ciągnięcia składu wagi 144 ton i należało przewidzieć, że wystąpią trudności z hamowaniem cięższego składu podczas stromego zjazdu do Chambery; pociąg wiozący urlopowiczów ważył zaś aż 526 ton. W dodatku tylko 3 spośród 19 wagonów wyposażone były w hamulce pneumatyczne, reszta natomiast w ręczne. Szyny były poza tym znacznie oblodzone. Wątpliwości maszynisty nie zostały jednak uwzględnione. Padł rozkaz wyjazdu. Pociąg z minimalną prędkością zjechał z pierwszej rampy... i katastrofy nic już nie mogło powstrzymać. Prędkość stawała się coraz większa, ponieważ hamulce nie mogły sobie dać rady z trzykrotnie większą od dopuszczalnej masą pociągu, który pędził w dół. W Saint-Michel-de-Maurienne stał w tym czasie pociąg pełen rannych, gotujący się do wspinaczki w kierunku Modane. Zatrzymano go w ostatniej chwili. Trudno przewidzieć do czego mogłoby dojść, gdyby wyruszył w drogę.

Tymczasem los pociągu wiozącego na urlop żołnierzy był już przesądzony. Na jednym z ciasnych zakrętów wagon bagażowy, od którego już dawno oderwała się lokomotywa i tender, wpadł z prędkością 150 km/godz. na wysoki mur oporowy, i podczas gdy lokomotywa pędziła dalej mimo wykolejonych przednich kół, 18 pozostałych wagonów wpadło na siebie tworząc gigantyczne rumowisko. Część z nich już wcześniej zaczęła się palić; teraz ogień ogarnął również pozostałe wraki. Rozpętało się prawdziwe piekło.

Tylko około 200 osób przeżyło. Ponad 800 żołnierzy zginęło bezpośrednio w katastrofie lub spłonęło w czasie pożaru. Historia kolejnictwa nie zna dotychczas tragiczniejszego wypadku. Maszynista — Louis Girard — nie zginął. Aresztowano go natychmiast, ale sąd wojskowy zwolnił go od wszelkiej odpowiedzialności.

Czy maszynista widział?

W okresie Świąt Bożego Narodzenia w roku 1933 wydarzyła się we Francji kolejna katastrofa kolejowa — największa w czasach pokoju. Wieczorem 23.XII. pociąg pośpieszny linii Paryż — Strasbourg najechał od tyłu na pociąg Paryż — Nancy, który jak zwykle zatrzymał się w Pomponnes, 28 km na wschód od Paryża, ponieważ jechał przed nim pociąg osobowy. Wypadek wydarzył się podczas gęstej mgły. Siła zderzenia była tak wielka, że 6 ostatnich wagonów stojącego pociągu zostało całkowicie zniszczonych. Maszynista i palacz pędzącego z prędkością 100 km/godz. pociągu pośpiesznego Paryż — Strasbourg twierdzili, że sygnały pokazywały wolną drogę. Nie słyszeli oni podobno umocowanych na szynach petard ostrzegawczych, akustyczny sygnał ostrzegawczy w kabinie maszynisty nie działał. Okazało się jednak, że sygnały wcale nie pokazywały wolnej drogi. Sygnał akustyczny nie działał rzeczywiście, natomiast nie sposób było ustalić, jak wyglądała sprawa z petardami. Dochodzenie nie wróciło życia 230 ofiarom. Ponad 500 osób odniosło obrażenia.

Czad w tunelu Armi

Na małej górskiej stacji Balvano między miejscowościami Battipaglia i Potoneza w południowowłoskim regionie Bassilicata, 2.III.1944 roku stały dwie lokomotywy parowe, gotowe do przeciągnięcia 47-wagonowego składu towarowego w górę, poprzez tunel Armi w kierunku Pontenzy. Pociągi towarowe pełne były wówczas pasażerów — pasażerów na gapę. Wprawdzie do linii frontu było dość daleko, ale życie mimo to nie było łatwe — każdy radził sobie jak mógł handlując i robiąc inne interesy na czarnym rynku; zrozumiałe, że oszczędzano na kosztach podróży. W wagonach wspomnianego pociągu towarowego było około 600 osób.

Obie lokomotywy z trudem wspinały się po górskim zboczu. Opalane złej jakości węglem nie mogły osiągnąć dostatecznej mocy. Kiedy pociąg wjechał w tunel Armi, maszyny zawiodły ostatecznie — skład utknął i tylko ostatnie wagony wystawały z jednotorowego tunelu, który natychmiast wypełnił się trującym czadem. Większość pasażerów, maszynista i palacz zmarli we śnie. Tylko ludzie z wagonów, które jeszcze nie wjechały do tunelu uszli z życiem, jednak 60 z nich ucierpiało na skutek ciężkiego zatrucia czadem.

Błąd maszynisty

Sieć połączeń kolejowych w Londynie i wokół miasta jest niezwykle gęsta. Pociągi podmiejskie, pospieszne, towarowe itp. wydają się tworzyć jeden wielki chaos. Nic dziwnego, że dochodzi tu od czasu do czasu do wypadków — mniej lub bardziej groźnych w skutkach. Dwie z podmiejskich miejscowości zdobyły sobie w tej dziedzinie szczególnie smutną sławę — Harrow i Lewisham.

8 października 1952 na dworcu w Harrow and Wealdstone doszło do podobnej sytuacji, jak w Quinsthill w 1915, tyle że w katastrofie uczestniczyły tylko trzy, a nie pięć pociągów. W godzinach porannych ekspres nocny z Perth, mający już opóźnienie, mimo sygnałów ostrzegawczych najechał od tyłu na stojący pociąg jednej z lokalnych linii. Lokomotywa ekspresu wywróciła się na przebiegający obok tor, po którym nadjeżdżał właśnie poranny ekspres Londyn — Liverpool. Obie lokomotywy tego pociągu, wraz ze szczątkami kilku wagonów, impet zderzenia odrzucił na peron, pełen czekających na podmiejską kolejkę elektryczną pasażerów. Ta tragiczna katastrofa pociągnęła za sobą łącznie 112 ofiar śmiertelnych, w tym 63 pasażerów pociągu podmiejskiego, 23 jadących ekspresem z Perth, 8 z ekspresu liverpoolskiego, 4 ludzi z obsługi obu pospiesznych oraz 14 stojących na peronie.

4 grudnia 1957, między stacjami St. Johns i Lewisham pociąg pospieszny, którego maszynista zlekceważył kolejne czerwone sygnały najechał na elektryczny pociąg podmiejski. Siła uderzenia spiętrzyła ostatnie wagony kolejki elektrycznej. Jednocześnie dwa główne dźwigary mostu kolejowego zwaliły się na przód pociągu pośpiesznego. Bilans katastrofy — 90 ofiar śmiertelnych i 109 osób ciężko rannych.

Największa katastrofa kolejowa XX w. w Szwajcarii wydarzyła się 22 lutego 1948 roku w Waedenswil. W niedzielę wieczorem do Zurychu wracało z Sattel wielu narciarzy. Na skutek błędu maszynisty nie udało się wyhamować pędzącego coraz szybciej pociągu. Przy szybkości 60 km/godz. uderzył on najpierw w ślepe zakończenie torów, a następnie w leżący za nim budynek. Maszynista nie odniósł obrażeń, ale jego błąd kosztował życie 22 ludzi. 48 osób zostało rannych.

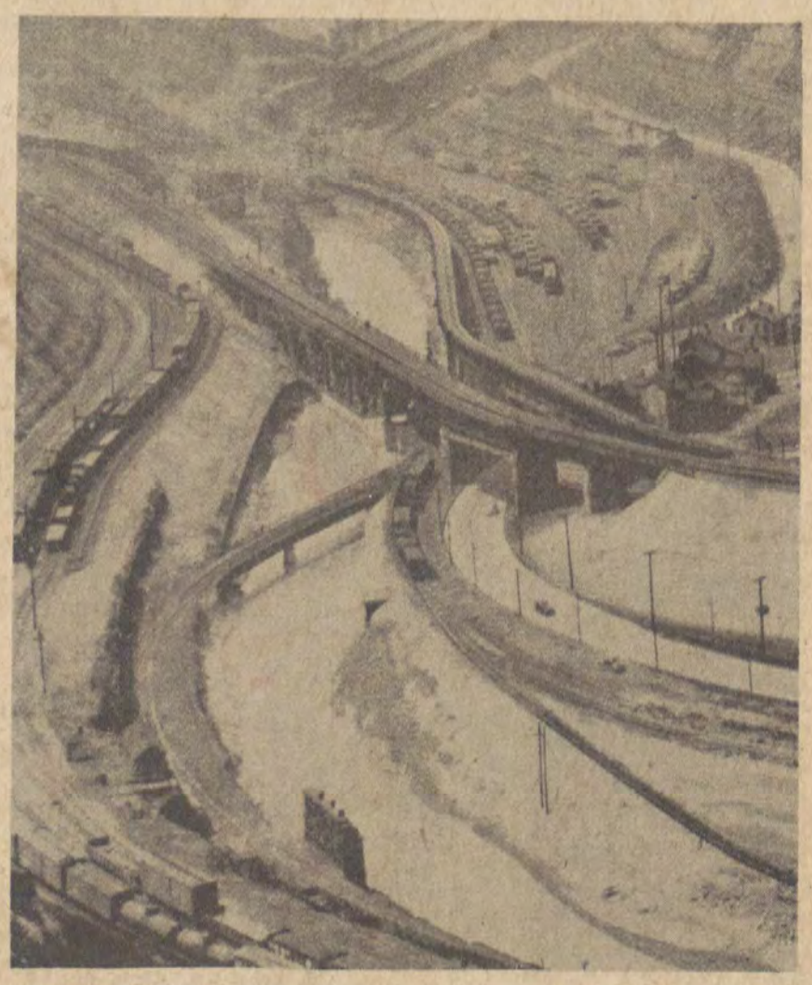

Foto: Archiwum

(„Neue Zuercher Zeitung")

U PRZYJACIÓŁ

WIEŚ W RADZIECKIEJ POWIEŚCI. Niedawno odbył się zjazd radzieckich krytyków i literaturoznawców, którego głównym zadaniem była ocena dorobku ostatniego dziesięciolecia prozy o tematyce wiejskiej; zastanawiano się również nad dalszymi perspektywami rozwoju tego gatunku literackiego. Oczywiste dla każdego jest, że rewolucyjne przemiany gospodarcze, społeczne i kulturalne zmieniły odwieczny układ stosunków wiejskich w ZSRR, życie codzienne i psychikę mieszkańców wsi. Również i proza powieściowa dała wnikliwą analizę wszystkich tych przemian, a przede wszystkim działań i postaw ludzkich. Oblicze wsi współczesnej ukazali z wyjątkowym kunsztem i znajomością problemu tacy pisarze, jak **G. Markow, L. Mieleż, P. Proskurin, M. Stelmach, S. Zalygin i wielu innych.** Osobne miejsce zajmuje tu proza **W. Szukszyna,** w sposób nowatorski nawiązuje do folkloru. Jednakże — stwierdzono w dyskusji — większość tych utalentowanych twórców sięga raczej w przeszłość, współczesną problematykę wsi pozostawiając reportażystom i publicystom. Minione epoki, bogatsze w konflikty, poprzez dystans czasu, który czyni je bardziej wyrazistymi — są bardziej atrakcyjne dla ludzi pióra. Ale oczywistością jest również fakt, że przemiany cywilizacyjne, jakie miały miejsce, przejście od prymitywnego gospodarowania do wysoko uprzemysłowionej gospodarki rolnej, od przysłowiowej sochy do wieloczynnościowego kombajnu — przynoszą nowe, złożone problemy i swoiste konflikty. Dziś także poznawaniu tajników nowych technologii musi towarzyszyć znajomość problemów moralno-obyczajowych i stosunków międzyludzkich. Pisarzy, którzy podejmują aktualną problematykę wsi czeka wcale niełatwe zadanie.

203 SEZON TEATRU WIELKIEGO. Przed kolejnym sezonem moskiewskiego Teatru Wielkiego dyrektor generalny G. Iwanow spotkał się z korespondentami prasy zagranicznej. Z wypowiedzi tej przytaczamy kilka interesujących danych na temat tworzenia zespołu, przygotowania nowych kadr oraz zasad finansowania placówki. Teatr Wielki zatrudnia stały zespół, nie praktykuje się podpisywania kontraktów na określoną liczbę przedstawień czy cały sezon artystyczny. Zespół liczy obecnie ok. 3 tys. osób, w tym blisko tysiąc pracowników artystycznych skupionych w 5 zasadniczych zespołach: opera (84 osoby), balet (240 osób), orkiestra (275), chór (200), i pantomima (95). Ponadto pracują stałe zespoły reżyserów, dyrygentów, scenografów, choreografów itp. Każdego roku — w drodze konkursu — przyjmuje się na staż ok. 15 wokalistów i 20 tancerzy. Roczny budżet teatru wynosi 7 mln rubli, 2/3 sumy pochodzi ze sprzedaży biletów, 1/3 z dotacji państwa. W ciągu 10-miesięcznego sezonu, nie licząc występów poza Moskwą i w czasie tournee zagranicznych, przedstawienia teatru na dwóch scenach (Teatr Wielki i Kremlowski Pałac Zjazdów) ogląda ok. 2,6 mln osób.

LISTY TURGIENIEWA. Instytut Literatury Rosyjskiej przygotowuje edycję nowego pełnego zbioru utworów Iwana Turgieniewa. W zbiorze tym znajdzie się również nie publikowana dotąd spuścizna epistolarna autora „Ojców i dzieci" i „Zapisków myśliwego". Publikacja listów z lat pięćdziesiątych ub. wieku będzie mieć ważne znaczenie dla uzupełnienia biografii wielkiego pisarza. Spośród listów do najbardziej interesujących należą pisane do głośnej śpiewaczki Pauliny Viardot, jeden z nich dotyczy ostatnich dni Gogola. „W Moskwie zmarł Gogol po spaleniu przez siebie na 10 dni przed zgonem rękopisu drugiego tomu „Martwych dusz" i wielu zakończonych już i rozpoczętych utworów. Jego tragiczna śmierć była konsekwencją od dawna męczącej walki ze sobą. Lecz jakże mógł on zabrać ze sobą te wszystkie skarby? Czy nie były one naszym wspólnym mieniem? Obecnie cenzura tutejsza nie pozwala już wymieniać nazwiska Gogola... Pogrzeb Gogola był prawdziwym wyrazem powszechnej żałoby. Nie pozwolono umieścić trumny na katafalku. Tłum niósł ją aż do cmentarza oddalonego od cerkwi o sześć wiorst".

TOŁSTOJ O CHOPINIE. Tołstoj interesował się muzyką od najmłodszych lat. Znalazło to odbicie w wielu jego utworach. („Sonata kreutzerowska", „Wojna i pokój"). Nie przepadał jednak za śpiewem czy też muzyką orkiestralną. Jego ulubionym instrumentem był fortepian. Podziwiał Mozarta i Beethovena, ale szczególnie uwielbianym przez pisarza był Chopin. Tołstoj nie tylko uwielbiał muzykę Chopina, lecz również był pełen uznania dla samego jej twórcy. Było to uznanie genialnego pisarza wobec geniusza muzyki. Charakteryzują to doskonale jego słowa: „Chopin jest mi tak bliski, że kiedy go słucham, odnoszę wrażenie, że to moja własna kompozycja".

HAMBURG - MIASTO NA WODZIE

Hamburg jest największym miastem Republiki Federalnej Niemiec. Zajmuje pierwsze miejsce w kraju pod względem liczby mieszkańców — 1 milion 900 tysięcy — i jest najważniejszym ekonomicznym ośrodkiem RFN. Rozbudowane hamburskie metro jest jednym z najstarszych w kraju, tutaj też wybudowano najdłuższy w świecie tunel dla samochodów, spinający oba brzegi Łaby.

115 tysięcy drzew zdobi ulice, ogromne zielone masywy otaczają miasto. Hamburg jest największym portem w kraju, portem dwóch mórz, a także ważnym portem śródlądowym. Można go nazwać miastem rekordów, choć za rekordami nie goni. Odgrywa ogromną rolę w wymianie handlowej między Wschodem i Zachodem, a pod względem wielkości produkcji przewyższa przemysłowe ośrodki Ruhry.

Hamburg posiada stare tradycje rewolucyjne. W październiku 1923 r. wybuchło tutaj zbrojne powstanie robotników Hamburga, którym kierował Ernst Thälmann. W zamierzeniach Komunistycznej Partii Niemiec miało się ono stać sygnałem do strajku powszechnego. Upadek powstania zapoczątkował represje przeciwko niemieckiej klasie robotniczej.

Na burzliwy rozwój miasta złożyło się oczywiście wiele przyczyn. Minione stulecia, położenie geograficzne, osobliwość związków z innymi rejonami kraju stopniowo przekształcały Hamburg w swoisty „autonomiczny świat". Jeśli stał się on jednym z najzamożniejszych miast świata, to nastąpiło to, bez wątpienia, dzięki jego portowi, jednemu z największych w Zachodniej Europie: roczna przepustowość tego giganta wynosi ponad 50 milionów ton towarów rocznie. Posiada najnowocześniejsze urządzenia techniczne, umożliwiające szybki i sprawny załadunek, wyładunek i magazynowanie towarów.

O znaczeniu tego miasta świadczy i to również, iż wiele kompanii wybrało go sobie za miejsce działalności swoich ośrodków dyspozycyjnych; tutaj zapuściły głębokie korzenie kompanie nawigacyjne, Lufthansa, towarzystwa ubezpieczeniowe, banki, wielkie firmy, wydawnictwa itp.

Hamburg nazywa się często miastem-lokomotywą wskutek jego dynamicznej działalności handlowej. W planie politycznym autorytet Bonn w porównaniu z Hamburgiem jest oczywiście niekwestionowany. Ale w pewnym sensie Hamburg rekompensuje to sobie, będąc samodzielnym organizmem — odrębnym krajem związkowym. Socjaldemokratyczna Partia Niemiec (SPD), wiodąca partia w koalicji rządowej, stoi u steru władzy także w Hamburgu, skąd zresztą pochodzi kanclerz federalny, Helmut Schmidt.

Handlowa dynamika Hamburga znajdowała i znajduje odbicie w architekturze miasta. Ale cudzoziemiec, który by z pierwszego rzutu oka spróbował określić, choćby w przybliżeniu, okres zabudowy tej lub innej dzielnicy, znalazłby się w bardzo kłopotliwej sytuacji. Na przykład stary budynek, którego styl nasuwa myśl wpływów budownictwa duńskiego czy holenderskiego, wydaje się być gmaszyskiem sprzed setek lat. W rzeczywistości został wybudowany stosunkowo niedawno, bo w 1913 roku. Zatrzymując się przed fasadą z dziwacznymi ozdóbkami w kształcie spirali, wszystko w kolorze jaskrawej ochry, łatwo odnieść wrażenie, że jest to tylko zręczna imitacja dekoracji „pod barok" I znów pomyłka, chodzi bowiem nie o stylizację, lecz o autentyczny twór epoki baroku.

Giełda przylega do magistratu (dowcipnisie widzą w tym pewien symbol). Podczas pożaru w 1842 roku hamburczycy rzucili się do ratowania właśnie jej, machnąwszy ręką na dostojną siedzibę władz miejskich, i uratowali od ognia świątynię handlu.

W okresie powojennym podejmowano wysiłki zrekonstruowania przedmieść miasta. Mniej więcej do 1970 roku budowano tam wielkie masywy mieszkalne, żeby później, w miarę wzrostu poziomu życia i polepszania się komunikacji, przejść do budownictwa domków indywidualnych, które bardziej odpowiadają przyzwyczajeniom, tradycji, psychologii mieszkańców miast Północnej Europy, ale oddalają ich od centrum miasta. W 1970 roku nastąpił zwrot, którego konsekwencje są dziś tak widoczne w Hamburgu. Rzucono hasło: „Mieszkać w mieście". Hamburg szybko wyrzekł się tendencji, którą przejawiają liczne miasta zachodnioeuropejskie: przemysłowe centrum, w którym ludzie pracują, ale które wymiera, kiedy tylko kończy się dzień pracy. Pierwszym symptomem tej nowej orientacji w dziedzinie urbanistyki była próba „przeniesienia centrum na przedmieścia". Zbudowano duży kompleks architektoniczny, w którym mieszka ponad 25 tysięcy osób. Kompleks zajmuje 175 hektarów, trzecią część powierzchni obsadzono drzewami, dziesięć hektarów zajmują uczelnie, 7 ha urządzenia sportowe. Ma on własną pocztę, ośrodek rozrywkowy, szpital, kościół, biblioteki, żłobki, kluby młodzieżowe, miejsca wypoczynku i sklepy.

Wysokość budynków jest zróżnicowana, podobnie jak fasad. Piesi swobodnie spacerują po alejkach, bardzo typowych dla Północnych Niemiec. Ale oczywiście za wcześnie jeszcze, żeby oceniać czy ten kompleks, nad którym pracowali architekci, urbaniści, socjologowie, artyści, spełni wszystkie pokładane w nim nadzieje. Drugim przejawem nowej polityki w dziedzinie urbanistyki było stworzenie w północnej części Hamburga swego rodzaju city, w którym ulokowały się urzędy. Pozwoliło to na rozgęszczenie centrum miasta. Nowe „centrum na przedmieściu" — nazwane oficjalnie Północnym miastem handlowym — zajmuje 120 hektarów. Zrozumiałe, iż w związku z tym najważniejszym problemem jest rozwój komunikacji. Ogromne serce „północnego" city każdego ranka „wchłania", a wieczorem „wyrzuca" ponad 35 tysięcy ludzi.

Te dwie wielkie „operacje" urbanistyczne nie rozwiązują w zasadzie wszystkich problemów Hamburga. Niezależnie więc od nich robi się próby odnowy centrum miasta, udoskonalenia struktury transportu miejskiego. W strefach, w których zagęszczenie pieszych jest szczególnie duże, już dziś wydzielono ulice, na których zamknięto ruch samochodowy. Manfred Sack, pracownik hamburskiego tygodnika „Zeit" uważa, iż należy się starać, żeby zachować specyfikę życia dzielnic, na którą wywierają nacisk samochody i urzędy. Trzeba stworzyć ludziom takie warunki, żeby się mogli rzeczywiście cieszyć z darów swego miasta.

Nie tylko motorowe kutry, które w pogodne dni pracowicie kursują wodami rzeki Alster, lecz także mnóstwo kanałów przypomina, iż zaledwie o sto kilometrów od Hamburga leży Morze Północne, a jeszcze bliżej Morze Bałtyckie. Hamburg trafnie nazywają miastem na wodzie. Nieraz musiał walczyć z powodziami, kiedy wylewała Łaba. Szeroki program inwestycji: wybudowanie tamy i systemu kanałów opiewa na miliard marek.

Kanały i odnogi malowniczej rzeki Alster, która przed ujściem do Łaby tworzy ogromne jezioro, przydają piękna centrum Hamburga. Brzegi Alster są ulubionym miejscem miłośników spacerów. Nie wolno tutaj sytuować nowych budynków po skandalu, który wybuchł w związku z wybudowaniem wysokiego, ultranowoczesnego gmachu. Hamburczycy, ochrzciwszy go „małpią skałą", wyegzekwowali zakaz dalszej zabudowy tej strefy wypoczynku.

Miejscowe władze przywiązują wielką wagę do problemów życia kulturalnego, co znajduje wyraz w polityce władz municypalnych, które dążą do udostępnienia opery i licznych kin, teatru dramatycznego, bibliotek i sal koncertowych Hamburga nie tylko jego mieszkańcom, lecz także mieszkańcom pobliskich miast i osiedli. Szczególną rolę w życiu miasta odgrywają artyści, którzy bezpośrednio uczestniczą w studiowaniu i opracowywaniu projektów urbanistycznych oraz architekci, którzy blisko współpracują z artystami.

Tylko San Paulo — dzielnica lokali rozrywkowych — nie zawdzięcza swojej „sławy" ani architektom, ani artystom. Hamburczycy odwiedzają je nie częściej niż paryżanie Plac Pigalle. Mnóstwo marynarzy, turystów i amatorów tanich przygód przemierza tę gigantyczną spelunkę wzdłuż i wszerz. Nie jest to miejsce dla hamburczyków. I wielu mieszkańców miasta ubolewa z powodu skandalicznej reputacji dzielnicy San Paulo.

Opr. JERZY CZECH

ZACHÓD BLOKUJE ROZMOWY W WIEDNIU

30 października minęło pięć lat od dnia rozpoczęcia rozmów o redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Środkowej Europie. W toku obecnej rundy rozmów w Wiedniu strona zachodnia, wbrew oczekiwaniom europejskiej i światowej opinii publicznej nadal uchyla się od odpowiedzi na konstruktywne propozycji krajów socjalistycznych, przedłożone w czerwcu.

W wiedeńskim pałacu Hochburg odbyło się niedawno kolejne plenarne posiedzenie uczestników rozmów o wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej. Po upływie ponad czterech i pół miesięcy od złożenia przez kraje socjalistyczne daleko idących kompromisowych propozycji, wielu obserwatorów politycznych i dziennikarzy akredytowanych w Wiedniu miało nadzieję, iż strona zachodnia wypowie się wreszcie na temat tych inicjatyw. Daremne oczekiwania. Kiedy na posiedzeniu zabrał głos jeden z oficjalnych przedstawicieli strony zachodniej, jego mowa nie zawierała ani odpowiedzi na propozycje krajów socjalistycznych, ani wniosku, który by mógł poprzedzić taką odpowiedź.

Tak właśnie przedstawia się sprawa w Wiedniu, i zresztą nie tylko tam. Rozczarowuje to tym bardziej, iż wiodący przedstawiciele państw imperialistycznych zupełnie niedawno mówili o swojej „gotowości" do współpracy w dziedzinie kontynuowania procesu odprężenia i uznawali (w słowach) konieczność odprężenia militarnego. W niektórych zachodnich stolicach mówiono nawet o konieczności „nadania rozmowom wiedeńskim nowego impulsu"...

Jednakże przy okrągłym stole w naddunajskiej stolicy nie było o tym mowy. Wprost przeciwnie. Zamiast tego, żeby użyć nowych możliwości do nadania biegu sprawie rozbrojenia, możliwości, które 8 czerwca stworzyły propozycje krajów socjalistycznych uczestniczących w rozmowach, zachodni przedstawiciele wysuwają jedno absurdalne żądanie za drugim. Wciąż rozdmuchuje się stare kłamstwa o domniemanym zagrożeniu Zachodu ze strony państw Układu Warszawskiego. Wbrew faktom, potwierdzonym dokładnymi liczbami świadczącymi o równym, w przybliżeniu, stosunku sił w Środkowej Europie, nadal mówi się o rzekomej przewadze na korzyść sił zbrojnych wspólnoty socjalistycznej. Wychodząc z tego założenia wysuwa się nierealne żądanie, żeby kraje socjalistyczne, przede wszystkim zaś ZSRR, w trybie jednostronnym zredukowały swoje siły zbrojne.

Wszystko to wymownie świadczy o tym, kto blokuje rozmowy w Wiedniu, jak również o tym, iż wpływowe koła na Zachodzie otwarcie zabiegają nie o rozbrojenie, lecz o zbrojenia. Jednocześnie kraje członkowskie NATO forsownie zwiększają swój potencjał militarny.

(J)

WŁAŚCIWY WYMIAR

Emerytowany dowódca brytyjskiego pułku wojsk lotniczych, H. R. Allen, powiedział niedawno, iż znaczenie walk powietrznych o Anglię jest znacznie przesadzone i że Anglicy zestrzeliwali w rzeczywistości trzy razy mniej samolotów Luftwaffe, niż podawano oficjalnie. Skala walk powietrznych nad Anglią, jak twierdzi ten weteran II wojny światowej, była bardzo nieznaczna w porównaniu, na przykład, z walkami powietrznymi nad Stalingradem i Anglikom wyraźnie nie udało się przepędzić hitlerowskiego lotnictwa znad Wyspy. Ministerstwo Obrony Anglii powstrzymało się od komentarzy oświadczając, że nic nie wie o Allenie „ponieważ dawno przeszedł na emeryturę".

(E)

■ IMPULS DO ROZWOJU DWUSTRONNYCH STOSUNKÓW
■ UKŁAD O WIELKIM ZNACZENIU
■ ARABSKI SZCZYT W BAGDADZIE

O tym, że normalizacja stosunków między Polską i RFN jest rzeczywistym wkładem w dzieło odprężenia i współpracy w Europie — nie trzeba nikogo przekonywać. Z ogólniejszego punktu widzenia, a nie tylko stosunków dwustronnych, istotne jest więc jak proces ów się rozwija. Okazją do szczegółowego omówienia tych spraw była **wizyta w Polsce wicekanclerza i ministra Spraw Zagranicznych RFN — Hansa Dietricha Genschera.** Jego rozmowy w Warszawie, w tym również z Edwardem Gierkiem, służyły wymianie poglądów **na** temat postępu normalizacji stosunków, dalszych zamierzeń w tym zakresie oraz przedyskutowania niektórych problemów międzynarodowych.

Opublikowany po wizycie komunikat podkreśla, że **„proces normalizacji oparty o układ z 7 grudnia 1970 roku, późniejsze porozumienia i uzgodnienia, rozwija się i że w szeregu dziedzinach stosunków osiągnięto istotne postępy".** Ważną rolę w naszych wzajemnych stosunkach spełnia bezpośredni dialog. Wizyta Edwarda Gierka w RFN w 1976 roku i Helmuta Schmidta w Polsce w 1977 roku miały dla przyszłości stosunków między obu państwami i narodami ważkie znaczenie. Obecnie obie strony raz jeszcze podkreślają **„swe zdecydowanie dalszego działania na rzecz urzeczywistnienia celów"**, zawartych w składanych wówczas oświadczeniach.

Jak wspomnieliśmy, w orbicie zainteresowania znalazły się — rzecz naturalna — niektóre zagadnienia międzynarodowe. I tak: potwierdzono konieczność ciągłego kontynuowania procesu odprężenia i uzyskania postępów w dziedzinie rozbrojenia i ograniczenia zbrojeń, uznano za celowe kontynuowanie wysiłków, aby zapobiec rozpowszechnianiu broni jądrowej, potwierdzono znaczenie, jakie mają radziecko-amerykańskie rozmowy na temat ograniczenia broni strategicznych oraz zadeklarowano wolę przyczynienia się do sukcesu rokowań wiedeńskich.

Można więc zgodzić się z głosami prasy zachodniej, że **wizyta min. Genschera była kontynuacją dialogu polsko-RFN-owskiego na wysokim szczeblu, dialogu, który wpływa na kształtowanie się atmosfery europejskiej.** Trzeba ją uznać — napisał jeden z komentatorów — jako impuls ze strony polityków do dalszego rozwoju dwustronnych stosunków.

Przenieśmy się teraz na wschód — do Moskwy, gdzie toczyły się **rozmowy radziecko-wietnamskie.** W ich następstwie podpisano na okres 25 lat Układ o Przyjaźni i Współpracy między ZSRR i SRW oraz szereg porozumień gospodarczych.

Socjalistyczny Wietnam boryka się z wielu trudnościami. Niezabliźnione jeszcze rany wojenne, katastrofalna w rozmiarach powódź w bieżącym roku — to źródła tych kłopotów. Na domiar złego — socjalistycznemu budownictwu próbuje przeszkodzić chińskie kierownictwo, godząc w niezależność i integralność terytorialną Wietnamu.

Podpisanie układu w tak złożonej sytuacji ma tym większe znaczenie — **podkreśla jednoznaczne poparcie Związku Radzieckiego dla pokojowej pracy narodu wietnamskiego i jego polityki zagranicznej.**

W układzie — zauważył L. Breżniew — nie ma ani jednego zdania, które podyktowane byłoby czyjąś obcą wolą i naruszałoby interesy trzeciego kraju.

Układ zatem może przyczynić się również do umocnienia pokoju i współpracy w krajach południowo-wschodniej Azji, niezależnie od ich ustrojów społeczno-politycznych.

Tematem tygodnia są ponadto **obrady arabskiego szczytu w Bagdadzie,** którego celem jest wypracowanie wspólnej polityki wobec porozumień z Camp David. W szczycie nie uczestniczy oczywiście Egipt.

Większość krajów arabskich zdecydowanie przeciwstawia się separatystycznemu traktatowi pokojowemu między Egiptem i Izraelem i uważa go za wyprzedaż interesów arabskich oraz zagrożenie dla perspektyw trwałego i całościowego rozwiązania konfliktu bliskowschodniego. Niektóre z nich domagają się sankcji wobec Egiptu i nakłonienia go do zerwania samowolnie podjętego dialogu.

W chwili, kiedy komentarz ślemy do druku, z Bagdadu napływają informacje, iż ta właśnie kwestia — sankcji, wywołała w czasie obrad znaczne rozbieżności. Przeciw nim wypowiada się Arabia Saudyjska oraz kraje Zatoki Perskiej. Wszyscy jednak zainteresowani są znalezieniem wspólnych środków, zmierzających do zapobieżenia negatywnym skutkom porozumień z Camp David dla świata arabskiego.

Wyniki szczytu mogą mieć duże znaczenie dla problemu bliskowschodniego i jedności arabskiej.

W. SŁAWSKI

PAN PIOTRUŚ I SZPICBRÓDKA

Piotr Fronczewski jako aktorską osobowość komediową narodził się w telewizyjnym kabarecie Olgi Lipińskiej (choć pamięta się jego także niekomediowe role teatralne np. w „Ślubie" Gombrowicza i filmowe np. w „Sam na sam" Kostenki). Ale te inne role bledną wobec siły wewnętrznej postaci pana Piotrusia: pyszałka, samochwała, awanturnika i tchórza zarazem — rozstawiającego po katach panny Basieńkę i Krysię, a gotowego na każdą uległość wobec władzy uosabianej chociażby przez urzędniczy kostium Mariana Kociniaka. W karnawałowym, irracjonalnym, groteskowym świecie „Kabareciku" pan Piotruś spełniał rolę pierwszoplanową — jak diabeł z pudełka wyskakiwał przez telewizyjny ekran do pokoju pana Wojtka siejąc popłoch wśród zaproszonych gości i grzebiąc ostatnie nadzieje gospodarza na spokojne obejrzenie transmisji z meczu. Był postacią aktywną najbardziej nie tylko w planie lawinowo następujących po sobie wydarzeń, ale także na płaszczyźnie ocen i wartości — on jeden z całej kompanii zachowywał nieustający dystans do masowych gustów pana Wojtka i wysublimowanych oczekiwań kulturalnych panny Basieńki. Potrafił także (oczywiście pod ochroną ekranu telewizyjnego) powygrażać autentycznym panom Wojtkom, którzy Kobuszewskiego cenią wyżej w tzw. „Dobranocce" a tak w ogóle to najchętniej — jeżeli już o rozrywce mowa — obejrzeliby na przykład lekki, łatwy i przyjemny program Janusza Rzeszewskiego „Dobry wieczór, tu Łódź". Fenomen „Kabareciku" daje się jedynie porównać z telewizyjnym „Expressem" wczesnym ITR-em i teatrzykiem „Zielona Gęś" Gałczyńskiego, drukowanym w końcu lat czterdziestych na łamach „Przekroju" — spełniającego wówczas rolę „Studia — 2". Humor absurdalny, filozoficzny, rejestrujący absurdalność społecznego obyczaju, gdzieś w biegu podstawiający krzywe lustra statystycznym oczekiwaniom w rozrywce, nie oszczędzający także entuzjastów samego „Kabareciku", parodiujący konwersacyjny rytuał, rozrywkę typu baletowo-rewiowego — to jedna możliwość działań programu Lipińskiej. Druga wyrasta z totalnego zerwania z wszelką logiką wydarzeń — świat pana Piotrusia jest chaotyczną, ruchliwą rzeczywistością burleski, wiecznych potknięć i przewróceń, rozsypujących się sprzętów, spadających na głowę żyrandoli, podskakującego po stopniach rewiowych schodów ogromnego Leśniakowego kosza i „przechodnich" ścian — przy jednoczesnej niezmienności ról wykonywanych przez cały zespół, w którym każdy — wzorem komedii dell'arte — reprezentował stałe cechy charakteru i sposobu bycia. Mistrzem ceremonii był zawsze pan Piotruś.

Jednakże w kilku przedostatnich programach kabaretu Olgi Lipińskiej — zmienionych, sfabularyzowanych i złagodzonych — zabrakło pana Piotrusia, który — jak wiadomo — porzucił skromne zarobki teatralne i biorąc z góry 80 wojnych sobót zaangażował się do jakże intratniejszego zajęcia. Zamieniając posadę w kabarecie na karierę filmową, rozpoczął pracę w teatrze „Czerwony młyn" na etacie kasiarza Szpicbródki w filmie Janusza Rzeszewskiego i Mieczysława Jahody „Hallo, Szpicbródka".

Wiadomo, że przeminęła już w filmie epoka aktorów. Wiadomo, że nie pisze się już „pod nich" scenariuszy. Wiadomo, że aktor — dobry aktor sprzedaje swoją twarz, siebie samego, nie interesuje się swoim handlowym przeznaczeniem i osobą nabywcy oraz pośrednika. Jednakże to, co popełnił pan Piotruś trudno określić łagodniej niż zdrada. Z pastiszowego, złośliwego, dociekliwego, groteskowego świata telewizyjnego karnawału przeniósł się dobrowolnie w stereotypowy świat stereotypowych przymiotników: tandetno-szmoncesowy, sztuczny, naiwny, drobnomieszczański, sentymentalno-rozerotyzowany, girlasowy świat przedwojennej „Warszawki" lat trzydziestych, „Warszawki" oglądanej z dobrotliwym sentymentem, w której grasują „niebezpieczni przestępcy", plajtują „ambitne ale ubogie" teatry, a w „eleganckich lokalach" przesiaduja „wytworne panie" i „przystojni oficerowie". A w tych teatrach są między innymi „poczciwi, żydowscy krawcy", tzw. „aktorki-wydry" i „młode, zdolne artystki". I te młode artystki nie mogą „zrobić kariery teatralnej" dopóki nie pokocha ich ktoś „młody, przystojny i bogaty" — dżentelmen-kasiarz. I właśnie wówczas zjawia się pan Piotruś jako inżynier Fred Kampinos.

Pan Fred jest zdolny, odważny, sentymentalny, trochę poeta, szlachetny, przystojny i w ogóle uroczy. Zarazem jest obowiązkowo sympatyczny, konformistyczny, nijaki i przezroczysty. Cały świat w filmie jest pełen takich sympatycznych postaci — szmirowatych, kłaniających się i roztańczonych rozśpiewanych i podmalowanych. Kolorowy, błyskający setkami świateł, potrząsający zalotnie biustami, nogami i szpicbródkami, wystrzelający korkami z szampana i półwiekowymi facecjami. A przy tym nachalny, wszechobecny i przede wszystkim diabelnie serio. „Wszystko już było" — śpiewano niegdyś w „Kabareciku", więc naprawdę nie ma się czym przejmować, ale tu chodzi o pana Piotrusia.

Wszystko jest jasne i oczywiste. Janusz Rzeszewski wie od dawna, że dobra rozrywka to wypadkowa rozebranego baletu, dowcipów uprzejmego konferansjera i kolorowych świateł. Oczywiście, że w kinie dobrze jest jeszcze dodać do tego wszystkiego tzw. „zgrabną" fabułę. Następnie wystarczy zaangażować odpowiednich ludzi. Rzeszewski ma rację, tylko jak — u diabła — udało mu się przekonać o tym pana Piotrusia. W ostatnim wydaniu kabaretu zjawił się pan Piotruś i pysznił się aż do tego stopnia swoją filmową karierą, że potraktował z góry nawet komisję dokonującą w teatrze inspekcji. Pan Piotruś jest bowiem szczwanym lisem — robiąc „gębę" swojej karierze, próbuje przekonać, że wcale się nie zmienił. Niezależnie, czy mu się to uda, ma zapewniony szacunek woźnego Tureckiego, który jest z pewnością kinomanem i w ostatnią niedzielę po południu wybrał się z całą rodziną na „Szpicbródkę".

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

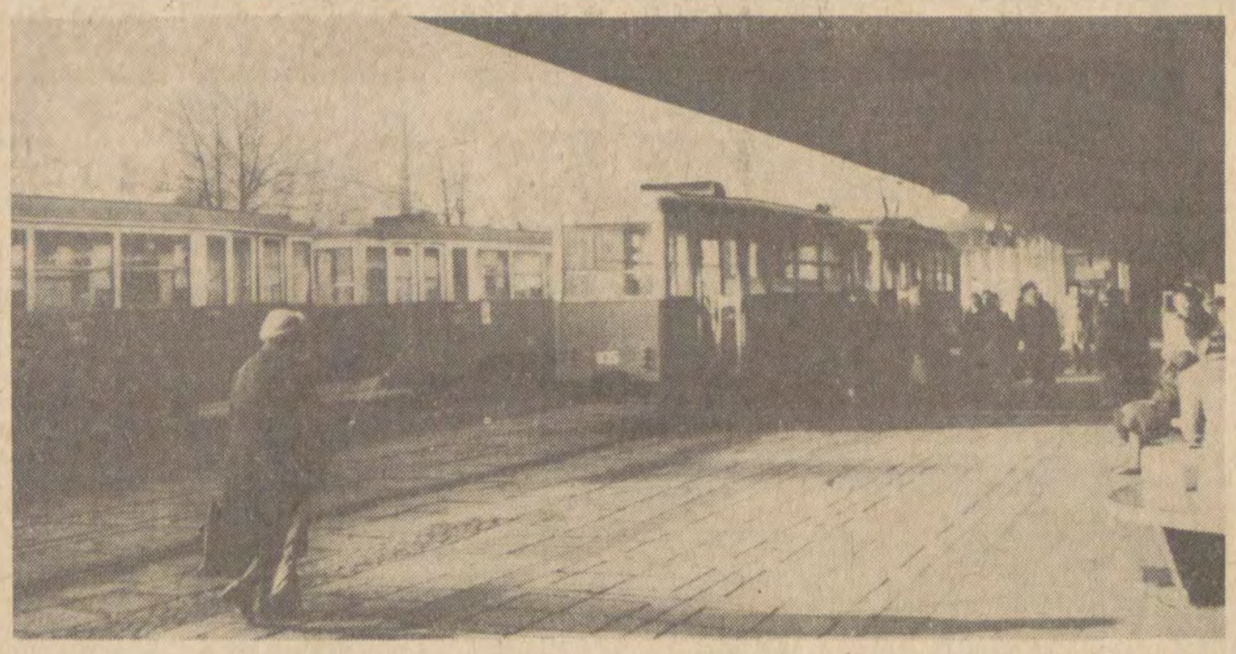

Foto: W. Parys

ANDRZEJ MAKOWIECKI

BALLADA O DWORCU TRAMWAJOWYM

Istnieje już prawie dwadzieścia lat, ważny w życiu miasta i okolic, nie doczekał się przecież reportażu. Dworzec tramwajowy przy Północnej. Droga do Ozorkowa, Zgierza, Lutomierska, Konstantynowa i Aleksandrowa. Teraz, na jesieni spowity w chandrę mglistych poranków i wczesnych wieczorów, długi, lekko wygięty dach, wsparty na kilkunastu kolumnach, dookoła których wiją się drewniane ławki; za plecami park, skarpa, dwa stare wieżowce: neon „Głosu Robotniczego" i Fabryki Kosmetyków Uroda; na wprost zwarty masyw śródmieścia: czoło dworca zaczyna się tam, gdzie kończy się ulica Wschodnia, drugi zaś biegun pozwala wejrzeć w czeluść ulicy Solnej.

Tłumek na przystankach. Uczniowie, robotnicy, dużo kobiet, które przyjechały na zakupy, chłopki, które sprzedały już jaja i sery, gromadka Cyganek, stare, młode, każda z papierosem w zębach. Dochodzi szesnasta, pora szczytu, permanentny atak na miejsca siedzące. U wylotu dworca pokazał się niewidomy; motorniczy z linii ozorkowskiej, człek nie pierwszej młodości, ruszył mu pędem naprzeciw; wprowadził go do zatłoczonego wagonu; widziałem przez szybę, jak wykłóca się z jakimś młodzieńcem, o miejsce. Miał widocznie czas do odjazdu (motorniczy), bo wysiadł i usadowił się przy mnie na ławeczce pod dachem, zapalił; spytałem czy niewidomy jest znajomym; odparł, że nie, właściwie nie, tyle, że spotykają się od wielu lat na trasie.

— I pan mu zawsze pomaga?

— Jak się zdarzy.

— Mógłby pan podać swoje nazwisko?

— Po co?

Wyjaśniłem.

— Może lepiej napisać: motorniczy numer 80—77, z Ozorkowa...

Potem zaczął o swojej pracy. Kiedyś tramwaj ozorkowski szedł godzinę i dziesięć minut, teraz jedzie półtorej godziny, postęp, można powiedzieć, w odwrotną stronę. Tory stare, nie remontowane, za Zgierzem tylko jeden zresztą, wciąż te mijanki, spóźnienia, pasażer się piekli: ciężki chleb, a zimą najgorzej, kiedy trzeba wstawać na zmianę o północy; sypie śnieg, wiatrem ciągnie po wagonach; życie tak zbiegło, od przystanku do przystanku.

— No, trzeba jechać.

Machnął mi jeszcze przez szybę. Miły człowiek. Oni tam w ogóle są mili. Przyjechałem następnego dnia. Wszedłem do poczekalni w budynku, gdzie mieści się także stanowisko dyspozytora. Na dworcu czarno od ludzi, a tu, w środku, jeden tylko człowiek chrapie na ławce — broda i włosy jak u kloszarda, jakieś zawiniątko pod głową. Kiedyś, na drugim biegunie dworca, była jeszcze jedna kryta poczekalnia, ale nie przyjęła się jakoś, podróżni wolą czekać na świeżym powietrzu, pewnie dlatego, że obie poczekalnie są brudne i puste, gołe ściany, żadnego obrazka czy choćby plakatu, nawet kasa biletowa znajduje się na zewnątrz. Przekształcono więc tę drugą, krytą poczekalnię w depozyt ubrań i narzędzi robotników torowych. Okna zamalowano, albo zaklejono papierem, zatrzaśnięto na dobre drzwi. Wieje stamtąd zaniedbaniem i ciszą opuszczenia; jeśli wspiąć się na palce i zajrzeć do środka, widać dużo nie zagospodarowanej powierzchni, gdzie z powodzeniem można by urządzić świetlicę, czytelnię czy choćby bufet z gorącymi napojami.

Pomiędzy jednym a drugim biegunem dworca są dwa zniszczone, stylowe, wkomponowane w całość kioski, które też od dawna nie funkcjonują, zabite deskami, martwe i niepotrzebne. Ktoś widocznie doszedł do wniosku, że podróżni z linii podmiejskich, którzy w tramwajach i na tym dworcu spędzają kilka godzin dziennie, są obywatelami kategorii drugiej — nie jedzą, nie piją, wystarczy im trochę zimna i wiatru.

Kryminał zaczyna się jednak dopiero w przydworcowym jedynym dla tej okolicy, szalecie. Zamknięto go ponad miesiąc temu, ludzie jednak są tylko ludźmi... Wysiadają z roztrzęsionych wagonów, podróż trwała godzinę albo i dwie, więc pierwsza rzecz, to odwiedzić ten niesławny przybytek. Nie nadaje się do opisu. Żelazne drzwi przeżarła rdza, woń amoniaku roznosi się w promieniu wielu metrów; gdyby wzięła się stamtąd epidemia jakiej choroby, wcale bym się nie zdziwił, dziwię się natomiast, że nie wkroczył, jak dotąd, w sprawę Sanepid, że nie poruszył kwestii „Tramwajarz Łódzki", organ Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, że nie wpłynął list do żadnego z pism codziennych.

Wszedłem do pokoju dyspozytora z niejaką pretensją.

— Ano, prawda — powiedział. — **Granda. Mieli remontować, ale nie widać ich jakoś.**

— Kogo?

— No, tych z Wydziału Zieleni. Postawili tylko drucianą siatkę, któ-ra zresztą padła. Chwileczkę!... — rozmawiając ze mną nie spuszczał oka z zegarka, grafiku i stanowisk tramwajowych, ledwo widocznych przez dawno nie myte i zaparowane szyby. Wyskoczył na dwór i zatrzymał skład, który właśnie ruszył z przystanku. Młody motorniczy zaczął się przed nim gęsto tłumaczyć, a potem cofnął posłusznie tramwaj o kilkanaście metrów.

— Co to było? — spytałem, kiedy dyspozytor wrócił na swoje miejsce.

— Ano trzeba ich pilnować, szczególnie tych młodych. Powinien odjechać 15,40, a ruszył o dziesięć minut za wcześnie.

— Gorliwy?

— Nie. Coś mu się pomieszało. Ale z takiego pomieszania mogłaby wyniknąć tam dalej, za Zgierzem, na jednotorowym odcinku, jakaś kolizja, bałagan.

Pilnie wypełnia swe obowiązki ten dyspozytor. A brudne szyby i karygodny stan szaletu, to naprawdę nie jego wina.

Powiedziałem, że przyjdę nazajutrz, w porze szczytu, i zrobiłem tak.

Dyspozytor był na stanowisku.

— Przekazałem pańskie uwagi — kierownictwu — oświadczył.

— I co?

— Będą chyba molestować Wydział Zieleni. Nie wiadomo tylko, z jakim skutkiem. Tu, u nas, jest jeden mały ustęp w środku, tylko dla tramwajarzy, ale jak jakiegoś podróżnego ciężko przyciśnie, idziemy mu z pomocą.

— Jednak nie rozwiązuje to sprawy.

— Pewnie, że nie.

— Dużo spraw jest nie rozwiązanych — wtrącają przysłuchujący się rozmowie tramwajarze: konduktorka **WIESŁAWA SKUBINOWSKA** i motorniczy **ANDRZEJ WYSOKIŃSKI.**

— Najgorzej mają konduktorzy, zawód, który w mieście przeszedł już do historii, a w tramwajach podmiejskich też błyskawicznie zanika. Na terenie Łodzi ani w tramwajach, ani w autobusach nie ma już ani jednego konduktora, co się tyczy linii podmiejskich, zostali jeszcze na nielicznych trasach, obsługując ostatnią przyczepę w składzie lutomierskim, w „bisie" konstantynowskim, w ozorkowskim, a także, po drugiej stronie miasta, w składzie rzgowskim 42 bis. I to już wszystko, jeśli nie liczyć konduktorów autobusowych, kursujących na jedynej, ostatniej trasie Rzgów—Tuszyn.

Ostatni Mohikanie tylko pozornie sprzedają podróżnym bilety. W gruncie rzeczy zakres ich obowiązków jest dużo szerszy; tu, na liniach podmiejskich, nie wystarcza siedzieć nieruchomo na ławce i wydawać białe karteczki, trzeba także na odcinkach jednotorowych zamykać kluczem drzwi raz po tej, raz po tamtej stronie, trzeba przenosić i zakładać siatki ochronne to na lewym, to na prawym styku wagonów, trzeba wejść od czasu do czasu w tłok przyczepy samoobsługowej, bo nie wszyscy mają przecież bilety. Konduktorzy i konduktorki wyręczają zatem tzw. spinaczy, ludzi, którzy dawno temu wykonywali wszelkie czynności techniczne, a których teraz prawie już nie ma.

Tu, na dworcu w Łodzi, nie mają tramwajarze swojej poczekalni, nie mówiąc już o bufecie. Korzystają zatem w chłodne dni z gościnności dyspozytora, ale jego pokój jest mały i stoją tu tylko trzy krzesła. Tym niemniej dyspozytor, **CZESŁAW GĄWLIK**, chętnie ich widzi. Pewnie dlatego, że sam był kiedyś, kolejno, konduktorem, motorniczym i kontrolerem, wie jak ciężka to robota, nauczył się tego podczas trzydziestu lat pracy w zawodzie.

Pytam, czy ruch na liniach podmiejskich wzmógł się ostatnimi laty.

— Oczywiście.

— Uważa pan, że tramwaje wystarczają?

— Ano, próbowali także puścić autobusy — wyręcza dyspozytora jeden z motorniczych. — **To było na linii ozorkowskiej i już po trzech dniach zrezygnowali, bo w samochodach powysiadały resory.**

— Złe drogi?

— Pewnie, że złe. Tory też złe, i to już w samej Łodzi.

— Jakieś wykolejenia, wypadki?

— Rzadko. Jeździmy bardzo ostrożnie. Gdyby trochę zwiększyć szybkość na pewno by były.

— Podobno mieli zlikwidować podmiejskie tramwaje?

— To niemożliwe. Korzystają z nich tysiące ludzi, wielu przyjeżdża do pracy w Łodzi, wielu znowu miejscowych pracuje w Zgierzu, Aleksa 'rowie, Ozorkowie. W porach szczytu, między piątą i ósmą rano oraz między jedenastą i piątą po południu jest okropny tłok. Dużo by trzeba puścić autobusów, żeby nas zastąpić, a i tak nie wiadomo, czy ludzie by się przyzwyczaili! Tramwaj to tramwaj, jedzie wolno, ale regularnie, mniej trzęsie, wszędzie przystaje; za miastem żna pograć w karty, zapalić na peronie, pogadać, pożartować, gdyby trochę poprawić tory i zwiększyć szybkość, nie byłoby lepszego środka komunikacji.

Fakt. Tramwaje kursują niemalże przez całą dobę. W godzinach największego nasilenia „Ozorków" jeździ co 25 minut, „Zgierz" i „Aleksandrów" co dziesięć, a „Lutomiersk" co trzydzieści. Pierwszy skład do Ozorkowa wyrusza o godzinie 2.07, a ostatni o 22,32. Na innych trasach, krótszych, dzień tramwajowy jest jeszcze dłuższy. Sprawia to, iż podłódzkie miejscowości mają stały kontakt z miastem, czego nie byłby w stanie zapewnić żaden inny środek lokomocji.

Dzięki połączeniom tramwajowym zgierzanie i ozorkowianie czują się łodzianami, dotyczy to zresztą także Pabianic, Aleksandrowa i Lutomierska. Dopóki będą te połączenia, żadne podziały administracyjne nie oderwą owych miejscowości od Łodzi. Tramwaj jest czynnikiem miastotwórczym, sprawia wrażenie bliskości, pozwala ludziom z odległych miasteczek i wiosek korzystać na co dzień z dobrodziejstw wielkiej aglomeracji: kin, teatrów, magazynów; łodzianom z kolei pozwala wydostać się z nerwowej, dusznej atmosfery na świeże powietrze. Latem właśnie tramwaje wyludniają miasto, rozwożąc tysiące łodzian do okolicznych lasów, do ośrodków kąpielowych w Emilii i Nowej Gdyni. Dworzec zatem przy ulicy Północnej, podobnie zresztą jak ten drugi, na placu Niepodległości, ma w życiu miasta i okolic niewiele mniejsze znaczenie niż dworce kolejowe.

Różnice między nimi są jednak ogromne. Pewnie dlatego, że koleją jeżdżą inni ludzie, no i trafiają się cudzoziemcy. Łodzi Fabrycznej i remontowanej obecnie Łodzi Kaliskiej nie musimy się wstydzić, można tam zjeść, odpocząć, przeczytać gazetę, odrobić lekcje, nawet ostrzyc się w salonie fryzjerskim. Smutek i ubóstwo dworca tramwajowego przy ul. Północnej łapie w tym kontekście za gardło. Okolice dworca też nie obfitują w lokale i sklepy. Najbliższy (i jedyny), zawsze zatłoczony lokal gastronomiczny znajduje się przy Nowomiejskiej, natomiast sklepu spożywczego nie widziałem w ogóle, wyjąwszy dobrze zaopatrzony punkt monopolowy przy ul. Wschodniej.

Ano, pije się na ziąb. Jak nie ma herbaty, to wódkę. Leżą później na ławkach, kryją się pod drzewami w parku, czekając na swój „Aleksandrów" czy „Ozorków". Z rozrywek kulturalnych oferowano im bogaty program rozgrywek karcianych: albo sami grają w durnia na stojąco, albo przyglądają się tym, którzy uprawiają poważny hazard na blatach parkowych szachownic.

No i ten szalet, dno, za które ktoś powinien zapłacić głową.

Mam wielką sympatię do linii podmiejskich i dworca przy ulicy Północnej. Uważam, że wyremontowanie torów i uporządkowanie krańcówki tramwajowej jest nie mniej ważne niż odnawianie domów w śródmieściu. W zakresie inwestycji miejskich też powinien obowiązywać demokratyzm.

HISTORIA PEWNEJ MIŁOŚCI

LESZEK PŁAŻEWSKI

— No widzisz — próbuję ją przekonać. — Ja chcę, żeby było dobrze, żebyśmy się czegoś dorobili skoro mamy takie piękne mieszkanie, i żeby nasze dzieci, jak je już będziemy posiadali miały tak samo dobrze, albo lepiej niż my. Bo tak w każdej rodzinie pracującej powinno być.

— Przecież ty od samego początku tak mówisz. Ciągle, ciągle to samo. Od tego można zwariować.

— Zależy jak kto rozumuje — mówię. — Bo to są rzeczy ważne i trzeba o tym mówić.

— Takie tylko zwykłe sprawy cię obchodzą — powiada Halina — nic innego. Ty nawet nie wiesz co dzieje się w polityce. Mężowie moich koleżanek z biura to na wszystkim się znają. Jeżdżą na delegację do różnych miast, są na stanowiskach. A ty chociaż byłeś kiedy na delegacji. No powiedz, byłeś?

Nieprzyjemnie mi się na sercu zrobiło. Ale zaraz po zastanowieniu odpowiadam.

— Nie byłem, bo nie mam takiego stanowiska, żebym jeździł do innych miast. Nie wszyscy mogą. Za to niedługo przejdę na ślusarnię, a tam to już, co ci będę dużo mówił, to jest nie byle jaka funkcja.

— No widzisz — mówi Halina nie słuchając mnie wcale — nie byłeś nigdy w życiu na delegacji, i na pewno nigdy nie pojedziesz. Jak ja sobie pomyślę jaką karierę zrobiłam to włosy stają mi w poprzek głowy.

Tym razem zamilkłem na dłuższą chwilę. Nie chciałem Haliny drażnić, bo trochę nerwowo płaczliwe miała usposobienie. Odszedłem od niej i zacząłem wyglądać przez okno. Stąd widać było inne bloki, większe i mniejsze, dziesiątki mieszkań. W nich zadomowione rodziny, zajęte własnym życiem. Dlaczego u nas ma być gorzej, kiedy może być jeszcze lepiej. Wódki przecież nie piję, jestem spokojnym pracującym obywatelem. Oprócz tego dałem Halinie wszystko co posiadałem. Dałem mieszkanie z wygodami. Czy ona tego nie rozumie.

Znów podszedłem do niej.

— To czego ty, Haluś, chcesz. Wolno wiedzieć — pytam. — Powiedz tak szczerze mnie, ślubnemu małżonkowi, z którym zawarłaś związek na dobre i złe.

— Oj przestań — ona odpowiada. — Niczego nie chcę od ciebie, przecież wszystko, jak mówisz, mi dałeś.

Więc jeszcze raz odszedłem od Haliny, tym razem poczytać sobie gazetę. Właśnie o bieżących wydarzeniach politycznych, żeby nabrać trochę większego pojęcia na te sprawy. Ale czytanie mi nie szło, litery skakały mi przed oczami jak żywe. Odłożyłem gazetę i pomyślałem wtenczas, że Halina nie jest pewnie przyzwyczajona jeszcze do tego naszego nowoczesnego mieszkania, bo wychowała się w innym, starym i bez wygód, ale za to pośród wesołego gwaru najbliższej rodziny Tak pomyślałem i oczy zamknęły mi się same, zdrzemnąłem się trochę.

Kiedy otworzyłem oczy Haliny już nie było. Później mi powiedziała, znaczy się następnego dnia, że wybrała się do kina na bardzo ciekawy film.

Coraz częściej chodziła do kina, nie patrząc czy to deszcz, czy piękny słoneczny dzień. Przy tym zawsze przed lustrem wiszącym w przedpokoju się czesała, szminkowała, lakierowała paznokcie Zakładała najlepsze sukienki, których w szafie miała kilkanaście sztuk. Białe, czerwone, w paski.

Nieraz patrzyłem na nią, moją małżonkę, zazdrośnie i serce z tego powodu mi się krajało, ale nic jej nie mówiłem. Czasem szedłem z Haliną. Tylko kino to dla mnie, prawdę mówiąc, nic. Całego życia nie można przesiedzieć na różnych filmach. Mimo to nie chcąc się narażać na drobne kłótnie, milczałem Co innego sobie skrycie obmyślałem. Postanowiłem jak najszybciej kupić telewizor na raty, aby Halina mogła sobie oglądać różne filmy i widowiska w zaciszu domowym. Albo posłuchać Wicherka o pogodzie na następny dzień. Przy tej okazji na pewno wtenczas i ugotuje obiad, i więcej w domu zrobi. Bo na razie jadaliśmy oboje w stołówkach, w swoich miejscach pracy. Halina uważała, że takie obiady stołówkowe taniej wynoszą i człowiek nie napracuje się przy gotowaniu i nie musi wystawać po kolejkach. Ale mnie ciężko było się z tym pogodzić. W domu rodzinnym za moich czasów kawalerskich matka przecież zawsze sama obiady robiła i nigdy nie narzekała na różne trudności. Bo co jedzenie domowe to zawsze domowe.

Przez kilka następnych dni znów zapanowała między mną a Haliną duża zgoda, i myślałem już, że jesteśmy na najlepszej drodze, ażeby nasze życie rodzinne umocniło się na trwałe. I tak było do pewnej niedzieli, kiedy do nas miała przyjść moja matka i jeszcze ktoś z rodziny obejrzeć to nasze nowoczesne mieszkanie.

A więc w niedzielę rano Halina sobie wyszła na poranek do kina, a ja podrzemałem sobie dłużej, bo miałem wolne i nie miałem specjalnie co robić. Zapewnie leżałbym jeszcze dłużej, ale o jakiejś dziewiątej trzydzieści zbudził mnie dzwonek do mieszkania, to szybko wstałem wciągając spodnie i poszedłem otworzyć drzwi. Przyszła jak zwykle szwagierka Wacia, pachnąca z daleka perfumami i wystrojona. Pocałowaliśmy się po rodzinnemu w oba policzki. Wacia zaraz zdjęła płaszcz, czuła się zawsze u nas jak u siebie w domu, i zaczęła sypać nowymi i starymi kawałami, jakie nazbierały się jej w głowie. W końcu pyta:

— A gdzie Halina?

— Poszła — mówię. — Na poranek do kina.

— Co ona tak często chodzi — zastanawia się Wacia. — Nie uważasz czy to nie podejrzane — zapytuje mnie żartem.

— Bo ja wiem — mówię. Na razie nie mamy telewizora to chodzi do kina, potem na pewno będzie więcej przebywać w zaciszu domowym.

To mówiąc podałem Waci zapałki, bo ona już na kuchence postawiła czajnik i rozglądała się za nimi aby zapalić gaz.

Potem Wacia porobiła małe kanapki i nalała sobie i mnie w szklanki herbaty. Gospodyni z niej była pierwsza klasa. Ja znów wyciągnąłem butelkę wina z obudowy zlewozmywaka, gdzie zawsze trzymaliśmy na przyjęcie gości.

Przysunęliśmy stolik i usiedliśmy sobie na tapczanie jedząc te małe kanapki i popijając wino, jak przystało na niedzielę. Szwagierce szybko zaróżowiły się policzki, mówiła o wszystkim i w dalszym ciągu sypała kawałami, a mowę miała prędką jak karabin maszynowy. Tak że człowiek słuchając nie mógł się nadziwić skąd tyle wszystkiego może pomieścić się jej w głowie. I oprócz tego w okamgnieniu zapominał o trudnościach szarego dnia. Sam ryczałem ze śmiechu jakby mnie nic nie gnębiło i wszystkie przedmioty domowego użytku, jak lodówka, pralka, telewizor miałbym od dawna w swoim mieszkaniu. Okazało się jednak, że ten śmiech nie przyniósł mi szczęścia. Bo wtenczas coś zaszurgotało w zamku i zanim się obejrzałem usłyszałem głos Haliny.

— Chciałam ci oznajmić, że to wszystko dłużej nie ma żadnego sensu.

Więc poderwałem się z tapczanu nie wiedząc jeszcze o co chodzi. Ale Halina już przekroczyła jedną nogą próg pokoju, popatrzyła na Wację siedzącą ze szklanką w ręku, i niby uśmiechając się do niej wzruszyła ramionami. Tak lekceważąco wzruszyła.

— Nie, ja nic nie będę mówiła — powiada. — Nic nie będę. To nie ma żadnego sensu.

Popatrzyłem na Halinę ciągle stojącą w jednym i tym samym miejscu.

— Co ci przyszło go głowy, Halinko — pytam. — Co nie ma żadnego sensu?

Halina zamiast odpowiedzi zakręciła się na pięcie. Nowiutkie lakierowane miała pantofelki. Podeszła do szafy i zaczęła z niej wyrzucać swoje sukienki i sweterki. Czerwone, zielone, w paski. Wszystkie. Znieruchomiałem patrząc na Halinę.

— Co robisz — pytam — co to ma znaczyć?

— Co chcę — mówi.

Obok niej stanęła również Wacia.

— Co się wygłupiasz, wariatko — przekonuje ją. — Dałabyś lepiej chłopu jeść, a nie wygłupiała się jak jakiś niewydarzony podlotek.

— Ty się nie wtrącaj, dobrze — odpowiada Halina. Dalej robi swoje.

Wyciągnęła spod szafy walizkę i zaczęła te swoje barwne sukienki i sweterki tam byle jak układać. Po złości. Nie wytrzymałem. Serce ścisnęło się mnie a oczy zaszły mgłą. Podszedłem do niej.

— Halinka, co to ma znaczyć. W czym cię uraziłem. Powiedz w czym?

Nic nie odpowiedziała. Tylko Wacia:

— Co się martwisz, Zdzisiek. Ona pokazuje co umie, bo na dobrego człowieka w twojej osobie trafiła. Ona jeszcze będzie rzewnymi łzami płakać.

— Ty się nie będziesz martwiła o to — odpowiada Halina i zamyka na zamki walizkę. Głośno i przejmująco to zamykanie słychać.

Stałem jak osłupiały. Tymczasem Halina z tą walizką wyszła z naszego mieszkania, jakby zwyczajnie wyszła na spacer, albo do pralni odnieść brudną bieliznę. Wyszła bez żadnego słowa.

Nie wiedziałem co o tym myśleć. Wszystko widziałem jak za mgłą. Wacia też wyglądała na lekko przestraszoną tą nagłą sceną. Dolna warga jej drżała. W pewnej chwili nawet przyszło mi do głowy, że może Halina jest zazdrosna o własną siostrę, ale chyba taka naiwna nie była, żebym ja mógł gustować w Waci pod względem miłosnym.

Westchnąłem ciężko, postawiłem szybciutko szklankę nie dopitego wina na stoliku, i wybiegłem za Haliną. Nie czekając na windę zbiegłem prędko, na złamanie karku po schodach. Chciałem Halinie należycie i drobiazgowo wytłumaczyć to całe zajście.

Na podwórzu rozejrzałem się wokół, Haliny już nie było. To pobiegłem ulicą, co prowadziła do przystanku autobusowego. Tak samo bez żadnego rezultatu. Żadnego najmniejszego śladu. Halina przepadła jak kamień w wodę. Oczy zmatowiały mi jeszcze bardziej, a serce podeszło pod same gardło. Poczułem się strasznie — zmarnowany przez los człowiek. Zacisnąłem pięści i usiłowałem je wpakować do ust. Dlaczego to zrobiła — zacząłem powtarzać — dalczego...

Dopiero po jakimś kwadransie powróciłem na górę, do swego mieszkania. Cały roztrzęsiony i blady.

Szwagierka Wacia w dalszym ciągu siedziała na tapczanie, ale nie spojrzałem na nią, nie zatrzymałem tam wcale wzroku, tylko w powietrze.

— Tego po Halinie nigdy się nie spodziewałem — mówię bardzo cichym drżącym głosem. — O co jej chodzi. Popatrz jakie mamy mieszkanie, popatrz jak się o wszystko postarałem sam jeden. Mamy mieszkanie, są najlepsze wygody, to nie to co stare budownictwo. Zupełnie co innego. Mamy nowoczesne mieszkanie, w jakim ludziom powinno się łatwiej i lepiej układać życie.

Szwagierka Wacia przez dłuższą chwilę milczała, a ja trzymając się za obolałą głowę chodziłem w kółko po tym większym pokoju i mruczałem do siebie przez cały czas, o Halinie, o swojej nagłej krzywdzie i o tym naszym nowoczesnym mieszkaniu.

W końcu odzywa się Wacia:

— Widzisz, Halina ma bardzo lekko w głowie. Ale chyba jeszcze wróci tutaj.

— To po co brała walizkę.

— Bo ja wiem — Wacia smutno się uśmiecha i zaraz dodaje. — Chodź, Zdzisiek, napij się lepiej, zamiast masz się denerwować.

Pokręciłem głową.

— Myślisz — mówi dalej Wacia — że ja mało przeszłam w życiu. Niemało, szwagierku, niemało.

Nie odezwałem się, tylko żałośnie jęknąłem. Byłem bezradny i skołowany, jakbym dostał młotem w głowę. I zaraz niespodziewanie rozległ się dzwonek do mieszkania, tak że pomyślałem, Halina wraca, aby mnie przeprosić za to całe dzisiejsze przykre zajście. Twarz od razu mi poweselała i pod czaszkę wpłynęła zdrowsza radośniejsza krew. Ale postanowiłem jej tak szybko nie otwierać drzwi. Niech się trochę podenerwuje, bo na pewno na to zasłużyła swym postępowaniem. Spojrzałem na Wację, przyłożyłem palec do ust i czekałem już pewny siebie. W duchu wesoły. Potem rozległ się drugi dzwonek i wkrótce trzeci.

Po tych dzwonkach zamiast głosu Haliny usłyszałem głos mojej matki. Okropny to był zawód, okropnie bolesny, chociaż to moja rodzona matka.

Przygryzłem tylko usta bardzo mocno i opuściłem głowę, żeby nie wybuchnąć płaczem. Co za straszny dzień.

Wiedziałem dobrze, że przyszła zobaczyć moje mieszkanie, bo tak się złożyło, że jeszcze nie miała okazji go zobaczyć na własne oczy. Przyszła tak jak wpierw się umówiliśmy. Popatrzeć i być zapewne dumna z własnego syna. I znów zawładnęła mną szalona złość na Halinę, co uczyniła z mojego spokojnego życia — biorąc swoją walizkę z łaszkami i odchodząc w nieznanym kierunku.

Pomyślałem również o innych młodych kobietach, które mogły być paniami tego domu, gdybym tylko zechciał i zapragnął tego. Na pewno nie czułbym się tak jak w obecnej chwili, aby wstydzić się otworzyć drzwi swojej matce. Więc tylko znacząco popatrzyłem na Wację, a ona ze zrozumieniem pokiwała głową.

Za drzwiami w dalszym ciągu stała moja matka, co mnie wychowała i wykarmiła własną piersią, a ja syn, nie chciałem wpuścić jej do swego mieszkania.

Jeszcze raz rozległ się dzwonek, po czym usłyszałem głos matki.

— I umawiać się tu z rodzonym synem. Jak to jest, żeby nawet nie można było wierzyć swoim rodzonym dzieciom.

— Może zatruli się gazem — odpowiada drugi głos za drzwiami, należący do wujka. — Ciągle słyszy się o tym. A oni nie obyci z tym.

— Tego by jeszcze brakowało — mówi matka. — Na pewno poszli sobie gdzieś, jak to młodzi. Chcą się bawić, a o starych to nie pamiętają. Ale nie zapomnę im tego do końca życia, chociaż nie jestem pamiętliwa.

— Najlepiej zadzwonić do sąsiadów — odzywa się ktoś trzeci.

Po chwili usłyszałem jak otwierają się drzwi u sąsiadów obok, ktoś odpowiada, że nic nie wie, i drzwi z powrotem się zamykają. Bo tutaj w blokach, to nie nasze dawne osiedle przedmiejskie, gdzie wszyscy o wszystkich wiedzieli za dużo. Tutaj zupełnie inne panowały zwyczaje.

Moja rodzinka zaczęła powoli opuszczać korytarz. Odetchnąłem ciężko, chusteczką otarłem spocone czoło. Potem puściły mi się łzy Zacząłem płakać zwyczajnie jak mały dzieciak.

— Widzisz — mówię do Waci — widzisz jak ja wyglądam przed własną rodziną. Jak jakiś typ spod ciemnej gwiazdy, co to nie ma poszanowania dla własnej matki. A tyle znałem dziewczyn, różnych dziewczyn, które mnie same zaczepiały, a teraz jak ja wyglądam. Takie piękne nowoczesne mieszkanie... Jak ona mogła tego nie widzieć i tak sobie odejść. Tą drogą daleko nie zajdzie. Na pewno nie.

Wacia wcale się nie odzywała, mrugała tylko nerwowo oczami. Położyłem się na tapczanie i patrzyłem na sufit, na którym powstało małe pęknięcie. Czułem coraz silniejszy ból głowy, jakby mnie kto już nie zdzielił jednym młotem, ale dziesięcioma.

Po jakiejś godzinie Wacia widząc stan mojego przygnębienia, który wcale nie przechodził, wstała z krzesła i poszła po płaszcz, mówiąc:

— To ja już pójdę, Zdzisiek. Nie wiedziałam, że tak się to stanie.

Wtenczas spojrzałem na Wację i na tę dwudrzwiową szafę na wysoki połysk, co niedawno ją kupiliśmy.

— Jak nie musisz to nie chodź — powiadam. — Bo z tą szafą nie będę chyba rozmawiał, bo jak. Powiem — „szafo, przemów do mnie", a ona i tak się nie odezwie.

Wacia uśmiechnęła się smutno, już nie poszła zakładać płaszcza, tylko poszła do kuchenki coś przygotować do jedzenia. A ja nadal leżałem jak martwy, cały obolały, nadal patrząc na to małe pęknięcie na suficie.

KONIEC

NERWICA A ROZWÓJ CZŁOWIEKA

Karen Horney, psychiatra i psychoanalityk pochodzenia niemieckiego, żyła w latach 1885—1952. Po ukończeniu studiów medycznych pracowała w Instytucie Psychoanalitycznym w Berlinie. W 1932 roku wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, gdzie wykładała na tamtejszych uczelniach. Wspólnie z E. Frommem była współzałożycielką Amerykańskiego Instytutu Psychoanalitycznego. Założyła również czasopismo poświęcone problemom psychoanalityki, wydała na ten temat pięć książek.

„Nerwica a rozwój człowieka", opublikowana w 1951 roku to piąta i ostatnia praca Karen Horney. Daje ona przegląd rodzajów nerwic i ich terapii. Ale autorka pragnie, aby jej książka dała czytelnikowi jeszcze więcej, aby pomogła człowiekowi w uwolnieniu jego twórczych sił, w samorealizacji.

Oto cytat charakterystyczny dla ogólnej wymowy książki Karen Horney: „... dostrzegamy bowiem lepszy sposób postępowania z tkwiącymi w nas siłami destrukcyjnymi, a mianowicie wyrastanie z nich, przezwyciężanie ich w toku rozwoju. Drogą prowadzącą do tego celu jest wzrastająca samoświadomość i zrozumienie samego siebie. Poznanie siebie nie jest zatem celem samym w sobie, lecz środkiem do wyzwolenia spontanicznych sił rozwojowych".

Karen Horney, „Nerwica a rozwój człowieka", przełożyła: Z. Dorosowa, PIW, W-wa 1978, str. 502, cena 55 zł.

KOCHANICA FRANCUZA

W Klubie Interesującej Książki ukazał się ostatnio przekład powieści „Kochanica Francuza", której autorem jest współczesny pisarz angielski John Fowles. Fowles urodził się w roku 1926, sławę i rozgłos przyniosła mu w latach sześćdziesiątych powieść „Kolekcjoner". Nakręcony według niej film, znany także w Polsce, zalicza się do najciekawszych filmów tego okresu. Popularność angielskiego pisarza została ugruntowana następującymi pozycjmi książkowymi, do których należy „Mag", tłumaczony obecnie na język polski oraz prezentowana tu „Kochanica Francuza", której pierwsze polskie wydanie wysoko oceniła zarówno krytyka, jak i czytelnicy.

„Kochanica Francuza", ta interesująca opowieść o kobiecie namiętnej i walczącej o swą niezależność, w konstrukcji fabuły nawiązuje do tradycji powieści wiktoriańskiej. Rychło jednak czytelnik przekonuje się, że pisarz, sięgając po tę metodę, poddaje w wątpliwość powszechnie utarte pojęcie o obyczajowości „wiktorianizmu". „Kochanica Francuza" to powieść, w której czytelnik musi się poddać pisarzowi proponującemu mu zabawę literacką, pełną finezji, ironii, aluzji i podtekstów. Słowem, jest to lektura, w którą trzeba się wciągnąć bez reszty.

John Fowles „Kochanica Francuza", przełożyła W. Komarnicka, PIW, W-wa 1978, str. 523, cena zł 80. —

WIELKIE SPRAWY WSPÓŁCZESNOŚCI

Każdy, komu nieobojętna jest historia europejskiej polityki XX wieku powinien sięgnąć po książkę „Wielkie spory współczesności — 1914—1945". Jej autorem jest belgijski historyk, Jacques de Launay, znany już polskiemu czytelnikowi z wydanej u nas przed paroma laty „Tajnej dyplomacji".

W bardzo przejrzysty sposób, jak najprostszym językiem trafiającym do każdego czytelnika, belgijski historyk przedstawia kontrowersyjne zagadnienia lat 1914—1945, a więc okresu, który w politycznej historii Europy miał znaczenie zasadnicze i przełomowe.

„Przedmiotem wysiłku badawczego — pisze we wstępie do książki de Launaya prof. Włodzimierz T. Kowalski — jest analiza wybranego zestawu najbardziej spornych problemów historii XX wieku w świetle katalogu prac i świadectw historycznych wyselekcjonowanego przez zespół badaczy. Oczywiście — wybór, jak wiele rzeczy tego świata, ma charakter względny, umowny i trudno jest znaleźć formułę, która mogłaby zadowolić wszystkich zainteresowanych, zwłaszcza w kwestii możliwych do przyjęcia propozycji. Otóż w tej ostatniej kwestii książka de Launaya zawiera materię, która ani w zakresie problemów, ani katalogu uwzględnionych pozycji historiografii światowej nie może być przyjęta — i to nie tylko w Polsce — bez słowa sprzeciwu. W rzeczy samej książka powinna nosić tytuł: „Wielkie spory współczesności w świetle historiografii zachodniej" (...)

Jacques de Launay, „Wielkie spory współczesności — 1914—1945" przełożyła W. Błońska, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1978, str. 355, cena zł 60. —

zdarzenia i zwierzenia

KRAINA POETÓW

Pisałem niedawno — myśląc o **„Alchemii słowa" Jana Parandowskiego** — że na szczęście są jeszcze książki wiecznotrwałe, o klarownej czystości polszczyzny, na szczęście są książki mądre, które z natłoku codziennego bełkotu wyprowadzają nas w świat pełen powagi, jasności i precyzji.

Chciałem też komuś kupić w prezencie „Alchemię słowa". Niestety — księgarz, na dźwięk tego tytułu roześmiał mi się w nos: **„Drogi panie! Pan żartuje, dawno już nie widziałem na oczy tego tytułu. Nawet w zapowiedziach wznowień."**

Nie wznowiono także wydanej przed paroma laty pięknej książki **Rasula Gamzatowa „Mój Dagestan"**. To też jest „Alchemia słowa" — piękny odpowiednik wiecznotrwałego dzieła Parandowskiego.

Kiedy więc patrzę na rzeczywistość współczesnej prozy na te nie czytane wznowienia i jałowe premiery, myślę że warto przypomnieć dagestańską „alchemię słowa" mądrego Awara z aułu Cada.

Pisze Rasul Gamzatow: **„Znam literatów, którzy dzisiaj robią to co wygodnie robić dzisiaj, a jutro będą robili to, co będzie wygodnie robić jutro (...) Temat — to skrzynia z rzeczami. Ale rzeczy w mojej skrzyni powinny być moje własne, a nie cudze. (...) Niektórym wydaje się, że wystarczy obrać sobie wielki temat, a sami od razu staną się wielcy. (...) Bywa czasem tak: utalentowani pisarze smucą się, a pozbawieni talentu chodzą z zadartą głową. Dzieje się tak wówczas, kiedy brane są pod uwagę tylko szlachetne zamiary autora, a jak jest napisana jego książka, jaki on ma talent, jaka technika pisarska — tego się nie ocenia w sposób należyty. Wówczas pouczających jest więcej niż pouczanych..."**

Rasul Gamzatow często swoje przypowieści rozpoczyna słowami: „Bywa czasem tak". Święta prawda — bywa! Niedawno ujawnił się w łódzkiej gazecie taki pouczający. Przypomina mi on Alibułata z książki Gamzatowa. Otóż nab powiedział mu: Przygotuj się, jutro rano pojedziesz do aułu Teletl".

Alibułat wstał rano, wsiadł na konia i pojechał do aułu Teletl. Dotarł tam w południe, zawrócił i przed wieczorem znalazł się z powrotem w domu. Spytano go: „Po co jeździłeś do aułu Teletl?" Odpowiedział: „Nie wiem. O tych sprawach wie nab. Powiedział mi wczoraj, że trzeba pojechać więc pojechałem."

Bywa czasem tak. Nie tylko krytyków i pouczających jest wielu...

Kiedy Gamzatow studiował w Instytucie Literatury, to — jak pisze — na pierwszym roku było dwudziestu poetów, czterech prozaików i jeden dramatopisarz. Na drugim roku — piętnastu poetów, ośmiu prozaików, jeden dramatopisarz i jeden krytyk. Na trzecim roku — ośmiu poetów, dziesięciu prozaików jeden dramatopisarz i sześciu krytyków. Pod koniec piątego roku — jeden poeta, jeden prozaik, jeden dramatopisarz. Reszta — krytycy.

Czytana przed laty książkę Rasula Gamzatowa zdjąłem z półki i czytałem powtórnie całą noc. Pisana była około 20 lat temu, jest więc to książka współczesna. Ale emanuje z niej wielowiekowa mądrość Dagestanu — dalekiego i dziwnego kraju, gdzie mówiące własnym językiem narody liczą 50 tysięcy osób a są i takie, które liczą zaledwie po 10 tysięcy... I nawet wśród tych najmniejszych narodów jest bardzo wielu poetów.

W górach Dagestanu powstają wiersze w językach: awarskim, lackim, tackim, lezgińskim, dargijskim, kumyckim, dżalaturyjskim... Milionowy Dagestan zamieszkuje... trzydzieści różnych narodowości mówiących własnymi językami. I wszędzie powstają wiersze. Jest to kraina poetów i dlatego tam mogła powstać tak piękna książka, jak „Mój Dagestan" Rasula Gamzatowa.

Dzięki opowieściom Gamzatowa jego Dagestan stał się po trosze i naszym Dagestanem. Żaden reportaż, żaden film, żadna rozprawa naukowa nie potrafiłaby przybliżyć nam tak bardzo owego kraju mądrych starców i poetów mówiących:

„Śpiewamy już od lat tysięcy,
W górach, jest pieśni dużo,
Więc bierz ich, bierz ich jak najwięcej
Bo one cię nie znużą."

U nas w Polsce mówimy że:

„Skarby mieczowi spustoszą
złodzieje
Pieśń ujdzie cało — tłum
ludzi obiega."

Blisko jest z Dagestanu do Polski.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

HENRYK CZARNECKI

Niedaleko od szosy
Filmowe młóci kłosy

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

propozycje

PISZĄ DO MNIE

Poczta organizowała kiedyś miesiąc, czy tydzień, a może w ogóle dzień pisania listów. Dokładnie już tego nie pamiętam, bo ostatnio częściej słyszę o listach wysłanych, które albo w ogóle nie dotarły do adresata, albo przychodzą długo po terminie. Jeśli więc ktoś wyśle mi zaproszenie a ja nie przyjdę, to proszę nie myśleć, że się obraziłem, albo to zaproszenie lekceważę, ale po prostu mogłem je dostać później niż należało. Wiem, że takie stanowisko mnie rozgrzesza, a cała winę zwala na pocztę, ale co robić. Skoro już nie piszemy do siebie listów, to nadal piszemy różne oświadczenia. Jest to prosty skutek zwalczonego kiedyś analfabetyzmu.

Kiedy w szybce kiosku „Ruchu" spotykam karteczkę informującą mnie, że „wrócę o 14.30" to nawet robi mi się przyjemnie, choć do następnego kiosku daleko. Ale szacunek do człowieka jest. I to się liczy. W sklepie informują mnie o różnych sprawach: kiedy skargi i zażalenia przyjmuje dyrektor, gdzie jest książka zażaleń, albo gdzie jej nie ma, informuje się mnie o tym i owym, albo czegoś mnie się zabrania, coś mi się nakazuje, o coś mnie się prosi, ale to ostatnie raczej rzadko. Pisze do mnie „Społem", pisze WPHW, pisze MPK, PKP, PKS, pisze kto chce i może oraz ma gdzie przyczepić skrawek papieru. Przypomina mi się o moich obowiązkach, rzadziej informuje się mnie, jakie mam prawa.

Czytam ja sobie te napisy i myślę: na jakiej zasadzie, na jakiej prawnej podstawie? Bardzo rzadko bowiem się zdarza, aby obok jakiegoś zakazu lub obok jakiejś informacji, istotnej przecież dla klienta czy petenta, widniała malutkimi choćby literkami wypisana zasada prawna, w oparciu o którą taki zakaz czy nakaz ustanowiono. A sprawa to niebagatelna, gdyż wiele z tych napisów powstało tylko z widzimisię instytucji i jedynie dla jej wygody.

Kiedyś napisałem felieton pt. „Z ograniczoną odpowiedzialnością", w którym zacytowałem napis, jaki spotkałem w szatni restauracji „Kaskada" w Łodzi. Napis ten głosił: „Za rzeczy pozostawione w płaszczach szatniarz nie odpowiada". Poddałem w wątpliwość takie ograniczenie odpowiedzialności szatniarza, a kierownictwo gastronomii miało do mnie o to pretensje, wychodząc z zupełnie innego stanowiska. Przypominam te sprawę bez większej przyjemności, a jedynie z obowiązku, gdyż znów zaczął się sezon chodzenia w płaszczach, a mogą z tego wyniknąć kłopoty, jako że niektóre restauracje i inne lokale, w których trzeba jednak zdjąć okrycie, powiadamiają klientów, że „za rzeczy zaginione zakład nie ponosi odpowiedzialności". Jest to oświadczenie całkowicie bezpodstawne.

Wypowiedział się w tej sprawie Sąd Najwyższy, a powodem była sprawa jaką ajentowi lubelskiego baru „Maleńki" i lubelskiemu „Społem" wytoczył Henryk P. Zdarzyło mu się bowiem być w Lublinie i jeść w barze „Maleńki", gdzie powiesił kożuch na wieszaku, a znalazł tam, po spożyciu posiłku, stara marynarkę. Jego kożuch odpłynął w siną dal, jak marzenie senne. Henryk P. zaskarżył więc do sądu ajenta i „Społem", gdyż nie chcieli mu zwrócić wartości kożucha. Sąd uznał roszczenia Henryka P. i nakazał zapłacić ajentowi i „Społem" za skradziony kożuch. Sprawa oparła się aż o Sąd Najwyższy i ten stwierdził między innymi:

„...zakład gastronomiczny odpowiada za utratę lub uszkodzenie odzieży wierzchniej pozostawionej przez konsumenta nie tylko wtedy, gdy w zakładzie jest płatna, strzeżona szatnia, lecz również i wówczas, gdy z charakteru i rodzaju spożywanych posiłków wynika, że konsumenci z reguły pozostawiają odzież wierzchnią na znajdujących się w zakładzie wieszakach."

I tu uwaga! Sąd Najwyższy stwierdza dalej:

„Od tej odpowiedzialności nie zwalnia ogłoszenie, że zakład za pozostawioną przez konsumenta odzież nie odpowiada."

Przytoczone wyżej zasady nie obowiązują w barach masowej obsługi, jak na przykład w poczekalniach kolejowych, autobusowych itp.

Kiedy więc czytam jakieś oświadczenie złożone wobec mnie i innych klientów czy petentów przez taką czy inną instytucję, to zastanawiam się: na jakiej podstawie to uczyniono? I sądzę, że każdy powinien nad tym się zastanowić, a gdyby to było możliwe, to nawet zapytać o to. Być może tych wszystkich piszących do nas różne zalecenia zmusiłoby to do zastanowienia, czy mają jakiekolwiek podstawy prawne do tego, co czynią. A jeśli mają, to niech poinformują nas o tym. Również na piśmie pod tym czy innym nakazem, czy zakazem.

MARCIN RODAK

Hodujcie kanarki!

lewym okiem

Każdy z nas jest nieomal co dzień klientem jakiejś instytucji, przy czym oczywiście styka się z tą instytucją poprzez jej pracownika, tak jak każdy z nas z osobna jest pracownikiem jakiejś instytucji. Mówię cały czas „pracownikiem", a nie „przedstawicielem" — z bardzo ważnego powodu.

Oddaję na przykład garnitur do czyszczenia w pralni. Ustalają mi termin — dwa tygodnie, idę po trzech tygodniach i garnituru nie ma. Po dalszym tygodniu jest, ale wcale nie oczyszczony — ten sam archipelag plam po bigosach z całego kraju i po soku tryskającym zjedzonych na stojaka kiełbasek z rożna. Pani przyjmująca i wydająca towar w punkcie pralniczym jest już trochę zdenerwowana, niechętnie wypisuje skierowanie do poprawki, nie może mi darować że nie poddaję się siłom wyższym i nie przyjmuję ubrania jak leci.

Potem przychodzę dwa, cztery razy, za piątym nie wytrzymuję i daję wyraz swemu niezadowoleniu. Na to pani wybucha już całkiem otwarcie: — To co pan ma do mnie pretensję że źle oczyścili? Czy to ja czyszczę? Czy to moja wina, że nie przysłali?

O n i. Oni nie zrobili, nie przysłali, o n i są winni, więc jeśli zgłaszać pretensję to do n i c h: znaleźć tego co stoi przy balii, tego co ładuje na samochód, ewidencjonuje, kontroluje, wysyła. Każdemu z osobna naurągać, bo jak inaczej: przecież ten przy balii nie odpowiada za to, że termin nie dotrzymany, a ten przy samochodzie za to, że na spodniach zostały plamy. A może nawet nikt za nic nie odpowiada?

Wybierałem się na rejs okrężny organizowany przez Morskie Biuro Podróży. Pracownik biura był bardzo uprzejmy, podał szczegóły, przyjął wysoki zadatek i formularze paszportowe. Niestety zdarzyło mi się zachorować i musiałem pisemnie zawiadomić biuro przed terminem imprezy, że udziału w niej nie wezmę. Od tamtej pory minęło dwa miesiące i nie mogę doprosić się zwrotu wpłaconego zadatku.

Ten sam pan dwa razy jest bardzo uprzejmy, ale nic nie załatwia. Za trzecim razem się dziwi, za czwartym — jest oburzony. Na mnie, oczywiście. — Co ja jestem winien, powiada, że nie zwracają... Że mi nie przysłali z Koszalina... Dlaczego pan ma do mnie pretensje, kiedy to tamci w Koszalinie...

Czyli powinienem jechać teraz do Koszalina, znaleźć kogoś tam, kto zaksięgował spokojnie mój zadatek i przeoczył, że stał się on bezprzedmiotowym, obstrugać kasjerkę, że przyjmuje forsę nie wiedząc za co, a właściwie za nic, zbesztać urzędnika który to wszystko miał kontrolować a nie kontrolował — i znów każdego osobno, bo — i tak dalej, jak w pralni...

— Co oni tu powypisywali! — dziwi się urzędniczka, wręczając mi dokument przygotowany właśnie przez jej urząd. O N I. Mówi to, gdy ja sam zwracam uwagę na błędy i bzdury w dokumencie, przedtem nie uznała za potrzebne rzucić okiem na papierek, który ma dać klientowi. Najwyżej klient przyjdzie jeszcze raz i jeszcze raz, dopóki mu się nie znudzi. Albowiem żaden pracownik — czy to w pralni, czy w biurze podróży czy w urzędzie nie uważa się za p r z e d s t a w i c i e l a swej firmy. Jest tylko pracownikiem, który działa odtąd-dotąd. Nie identyfikuje się z firmą, firma to „oni", czyli nikt. Nikt nie identyfikuje się z niczym większym od siebie, nie poczuwa się do solidarności ze swą instytucją. Dlatego namawiam wszystkich na hodowlę kanarków. Kanarek odpowiada wyłącznie sam za siebie, nikogo nie reprezentuje i zawsze wiadomo, że jak nie zechce zaśpiewać to nie, i koniec. Hodujcie kanarki!

ĆWIEK

sport

ŁKS — 70

Kobiety nie przyznają się do wieku. Czyż więc kobietom wypada snuć refleksje nad mijaniem czasu? Dlatego nie będę biadolił nad tym, jak ten czas szybko leci, nie będę się zastanawiał nad tym, czy 70 lat w historii klubu sportowego to dużo, czy mało? Jest bowiem faktem, że Łódzki Klub Sportowy ma 70 lat, że należy do grona najstarszych polskich klubów sportowych. Jest też faktem, że w klubie tym uprawiało sport kilka pokoleń łodzian.

70 lat — to dużo i mało zarazem. W ogólnej historii sportu — to bardzo mało, jeśli zważy się, że początków sportu szuka się w czasach starożytnych. W historii sportu nowożytnego — to bardzo dużo. Niech więc 70 rocznica ŁKS będzie okazją do porównania, jak to kiedyś uprawiało się sport i jak to wygląda dzisiaj. A różnice są ogromne.

Na początku jednak nie było żadnych różnic. Nie było podziału na działaczy, zawodników, pracowników. W ogóle nic nie było, ani lokalu, ani pieniędzy, ani boiska. Żeby zdobyć pieniądze organizowano zabawy, a prezes ŁKS występował w roli wodzireja. Boisko zafundowały dla ŁKS zakłady I. K. Poznańskiego, czyli dzisiejszy „Marchlewski" i w tym jest podobieństwo, bo i dziś boisko znajduje się „na stanie" tych zakładów.

Nie było też różnic między zawodnikami poszczególnych dyscyplin. Jeden z założycieli ŁKS — Henryk Lubawski biegał na 100 i 400 metrów i w tej konkurencji był nawet mistrzem Łodzi. Inż. Zenon Sienkiewicz, który był znakomitym piłkarzem, skakał też wzwyż osiągając bardzo dobry wynik... 1,40 m.

Warto tutaj przypomnieć, że pierwsze zawody lekkoatletyczne odbyły się w Łodzi z okazji otwarcia stadionu ŁKS przy ulicy Srebrzyńskiej, a było to 12 maja 1912 roku. Wtedy to łodzianie mogli na przykład obejrzeć biegi pocztowe, jak wówczas nazywano sztafetę, a biegało się trzy razy po 100 m i trzy razy po 200 m. Jeszcze po pierwszej wojnie światowej kulą, dyskiem i oszczepem rzucało się zarówno oburącz, jak i jedną ręką. W powojennej historii ŁKS jest też taki okres, kiedy grano w... palanta. Nikt się wtedy z tego nie śmiał, gdyż była to gra bardzo poważna, a w 1922 roku powstał nawet Polski Związek Palanta i Gier Ruchowych.

Były to czasy pomieszania z poplątaniem, jako że wszyscy robili wszystko i nikt właściwie nie wiedział, jakiej dyscypliny jest zawodnikiem. Lekkoatleci dla treningu grywali w siatkówkę, koszykówkę, kopali nawet piłkę. W piłkę nożną grali bokserzy. Zawodniczki ŁKS — głównie lekkoatletki — były mistrzyniami Polski w hazenie. Kto dziś pamięta, co to była hazena? A była to odmiana piłki ręcznej. Wymyślił ją praski nauczyciel, A. Kristof, aby odciągnąć czeską młodzież od niebezpiecznej — jego zdaniem — piłki nożnej. Dziś już nikt nie gra w hazenę, a bracia Czesi wcale nieźle sobie poczynają właśnie w piłce nożnej.

W okresie międzywojennym zaczęły się już krystalizować podziały. Wprawdzie jeszcze w siatkówkę grają między innymi: piłkarz Mieczysław Ałaszewski, lekkoatleci: Czesław Rembowski, Tadeusz Maciaszczyk i inni, ale coraz częściej zawodnicy decydują się na wybór jednej czy dwóch dyscyplin. Przez długie lata uniwersalnym sportowcem był Władysław Król. Grał on w piłkę nożną i w tej dyscyplinie reprezentował barwy Polski na międzynarodowej arenie, grał również w hokeja, był olimpijczykiem w tej dyscyplinie. Grał też w tenisa, zdobywając mistrzostwa Łodzi. On też sam sobie był trenerem. Później wychowywał młodych sportowców, trenował piłkarzy, którzy za jego trenerskich czasów zdobyli Puchar Polski i mistrzostwo Polski. Trenował również hokeistów.

Długo można byłoby snuć opowieść o 70 latach ŁKS, o ludziach, którzy przeszli w tym czasie przez klub, zostawiając po sobie nie tylko zdobyte trofea, ale też wiele wspomnień, pozostawiając wkład swej pracy w rozwój klubu. 70-lecie ŁKS stanowi doskonałą okazję do przypomnienia ich młodszym pokoleniom. Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi nakręciła film, który pokazuje tradycje i dzień dzisiejszy klubu. Będzie to doskonała okazja do spopularyzowania ŁKS i Łodzi w całym kraju. Zresztą nie jedyna.

A dzień dzisiejszy klubu? O tym pisze się na co dzień. Kibice i sympatycy ŁKS doskonale znają pozycje poszczególnych zespołów. Chciałabym tylko dodać, że cieszy coraz lepsza pozycja piłkarskiej drużyny ŁKS i znakomita hokeistów. Oby tak dalej. A i inne zespoły robią co mogą, aby nie wypaść gorzej. Być może w nowym 70-leciu ŁKS przyjdą dla klubu dużo lepsze czasy. Czego serdecznie życzę nie tylko z okazji jubileuszu.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 41 i 680 99 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, za strzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Nr indeksu 26762. Zam. 2486. I-10.